



KONSTANCJA
NOWICKA

Trup
NA TRZĘPAKU

Niewiarygodna
ZAGADKA KRYMINALNA,
mężczyźni, egzotyczne krajobrazy,
a przede wszystkim
SIŁA babskiej PRZYJAŹNI

NOVAE RES

Ten ebook jest chroniony znakiem wodnym

ebookpoint.pl Kopia dla:

Mena Es mena2015@interia.pl G01112434361

mena2015@interia.pl

KONSTANCJA NOWICKA

Trup
NA TRZEPAKU



NOVAE RES

Spis treści

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[ROZDZIAŁ 38](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[ROZDZIAŁ 40](#)

[ROZDZIAŁ 41](#)

[ROZDZIAŁ 42](#)

[ROZDZIAŁ 43](#)

[ROZDZIAŁ 44](#)

[ROZDZIAŁ 45](#)

[ROZDZIAŁ 46](#)

[ROZDZIAŁ 47](#)

[ROZDZIAŁ 48](#)

[ROZDZIAŁ 49](#)

[ROZDZIAŁ 50](#)

[ROZDZIAŁ 51](#)

[ROZDZIAŁ 52](#)

Rozdział 1

Na trzepaku wisiał trup.

W czasach wszechobecnych odkurzaczy, wezyrów i kärcherów nikt już nie pamięta, do czego służą trzepaki.

Trzepak to konstrukcja pomagająca w zasadniczy sposób w trzepaniu dywanów, była szczególnie popularna przed upowszechnieniem się odkurzaczy. Obecnie dopuszcza się inne zastosowania trzepaka. Rusztowanie bywa huśtawką dla dzieci, altanką dla zakochanej młodzieży bez finansów na kawiarnię lub piwiarnio-winiarnią dla okolicznych żulików. W tym opisie bezwzględnie nie mieszczą się trumna, kaplica ani nawet miejsce zbrodni.

Dlatego też przez cały ranek nikt nie zwrócił na trupa uwagi, nie dopuszczając myśli, że trzepak mógłby tak oburzająco nieodpowiedzialnie zmienić swoje podstawowe zastosowanie. Pech chciał, że feralna konstrukcja znajdowała się akurat na drodze Kudłatej, która jak zwykle pędziła z prędkością światła, próbując bezskutecznie zdążyć na wcześniejszy tramwaj.

Do dziewczyny to przezwisko przyczepiło się wcale nie bezpodstawnie – za czasów wczesnolicealnych nosiła bardzo długą, falowaną czuprynę. Fakt, że owa fryzura zniknęła bezpowrotnie w czasie studiów medycznych, zamieniając się w krótko przyciętego i dodatkowo prostowanego pazia, nie wpłynął wcale na zmianę ksywki.

Będąc młodą lekarką, Kudłata poczuwała się do udzielania pomocy wszelkim bytom cierpiącym, toteż w jej trzydziestokilkumetrowym mieszkaniu po babci rezydowali kulawy pies, dwa wiecznie liniejące koty, stwór będący kiedyś królikiem oraz jej nieustannie nękany bólem istnienia chłopak. Kiedy tylko Kudłatej udało się o poranku ogarnąć wszystkich cierpiących domowników, to zwykle była już spóźniona. Tego dnia spóźnienie urosło dramatycznie z powodu wyjątkowo dobrej zabawy kotów w „kto ukradnie pani rajstopy”.

Zanim zabachutała się we wszystkie bambetle (dla nieznających gwary poznańskiej: ubrała się w wiele ubrań) i wyszła na trzaskający mróz, było już tak późno, że uznała, iż bieg – sypniętą odrobiną soli, ale znacznie dłuższą ścieżką dookoła parku – nie wchodzi w grę. Zebrała się w sobie, napięła drobne łydki schowane w zamszowych bucikach na obcasach i zaszarżowała prosto przez oblodzony park w kierunku przystanku tramwajowego. Szumne określenie park dotyczyło kilku ławek, oszronionych drzewek i felernego trzepaka.

Kudłata bardzo chciała w ogóle trupa nie zauważyć.

Szansa była spora, bo miała na głowie olbrzymią czapę z nausznikami, na którą naciągnęła jeszcze kaptur. Dodatkowo szczelnie owinęła twarz szalikiem, zostawiając tylko szparę na oczy. Niestety, jej bystry wzrok zlokalizował niecodzienne zjawisko na trzepaku i poczucie misji pani doktor wygrało z niechęcią do trupów i ze świadomością spóźnienia.

Stanąła przy przewieszonym przez trzepak ciele i bezskutecznie próbowała nawiązać z nim kontakt słowny i wzrokowy. Przypuszczała, że to któryś z okolicznych żulików w stanie głębokiego zamroczenia potraktował trzepak jak łożo. Fakt, że uczynił to przy minus dwunastu stopniach Celsjusza, tym bardziej skłaniał Kudłatą do ponowienia próby wybudzenia dziada i przetransportowania do ciepłego miejsca. Niestety dziad nie zamierzał współpracować, co okazało się zrozumiałe dopiero wtedy, gdy sprawdziła mu tętno.

Tętna oczywiście nie było.

Kudłata, ogarnięta chęcią wybawienia bezwładnego człowieka z opresji i obeznana z ABC pierwszej pomocy, próbowała delikatnie zdjąć mężczyznę z trzepaka. Nie udało się. Ani zdjąć, ani delikatnie. Dopiero kiedy pod wpływem jej manewrów ciało samo zsunęło się i gruchnęło z łoskotem na zamarznąłą ziemię, zauważyła na środku czoła nieszczęśnika dziurę wlotową po kuli.

Rozdział 2

- No dobra, to może wprosimy się do ciebie? - zapytała Kudłata.

- OK, ale po dwudziestej, bo muszę najpierw położyć szarańczę - usłyszała w słuchawce.

Tak zakończyła się wyjątkowo krótka konwersacja telefoniczna między Kudłatą a jej najlepszą kumpelą Bazylią.

Bazylią mieszkała na obrzeżach miasta w urokliwym miejscu, w przepięknym domku, z kochającym mężem, trzema precudnymi bobaskami oraz ślicznym pieseczkiem. Taka była prawda. Na szczęście Bazyliowa rodzinka była trochę mniej przesłodzona niż na tym przeuroczym obrazku.

- Wchodźcie, wchodźcie, bo wieje z tych stepów akermańskich - mówiła Bazylią, pokazując pustą przestrzeń przed domem.

- *Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;/Tam z dala błyszczą obłoki? tam jutrzeńka*

wschodzi? - przypomniała sobie nagle Kudłata.

- Jaka jutrzienka, to światła fabryki Volkswagena - Bazylia skomentowała romantyczne uniesienie Kudłatej zainspirowane Mickiewiczem.

- Ciocia, coda? - tak witała się z Kudłatą średnia latorośl Bazylii, robiąc przy tym słodką minę kota ze *Shreka*.

- A może tak najpierw „dzień dobry” - skarciła synka Bazylia, łapiąc w locie kurtki Kudłatej i Obolałego, chłopaka, którego przyjaciółka przyciągnęła ze sobą.

Obolały lubił przychodzić do Bazylii, o ile lubieniem można nazwać fakt, że kiedy do niej szedł, zamiast zwyczajowego biadolenia typu: „Ja nigdzie nie idę, będę się tam źle czuł, wszyscy twoi znajomi nie rozumieją fali pustki/morza nienawiści/szerzącej się zarazy bólu istnienia”, wypowiadał tylko trzy słowa: „No, jeśli musimy...”.

Właściwie wszyscy lubili przychodzić do Bazylii.

Po pierwsze karmiła bosko, mimo że jej potrawy nie były wyszukane, bo specjalizowała się w spaghetti w stu odmianach. Z bazylią również, a jakże. Robiła też doskonałe kluski, które podawała z różnymi rodzajami mięs. Wszystko na tłusto i na bogato. Przedziwne, że mimo takiej kuchni jej cztery chłopaki były raczej z gatunku tych chudych, wysokich i wiecznie głodnych. Za to sama Bazylia zachwycała kobiecością - nie była gruba, tylko bardzo apetycznie zaokrąglona dokładnie tam, gdzie trzeba. Na jej pucołowatej twarzy, dużo

młódziej wyglądającej niż wynikałoby z metryki, zawsze gościł uśmiech.

Po drugie u Bazylia zawsze było wesoło i zawsze działo się coś fajnego, co podobało się wszystkim niezależnie od wieku. Główna zasługa w tym względzie przypadła męskiej części rodziny i zabawkom, których w domu Bazylia było więcej niż w niejednym Smyku. W zasadzie przeuroczy domek stanowił połączenie hurtowni zabawek z hurtownią modelarską oraz sklepem elektronicznym i AGD.

A i teraz Kudłata z ledwością uniknęła zderzenia czołowego – w dosłownym znaczeniu – z miniaturowym helikopterem patrolującym właśnie obszar korytarza. Za maszyną biegł najstarszy, czteroletni synek Bazylia, wrzeszcząc w niebogłoso: „Ciocia, koptek, koptek!”. W ślad za chłopcem pędził oszalały z radości, tłusty labrador, któremu na zakrętach rozjeżdżały się łapy. Peleton zamykał mąż Bazylia. Szedł zadowolony ze swojego najnowszego wynalazku, w ręku trzymał aparaturę sterującą, a nieco osmarkana pielucha leżała mu na ramieniu.

- I co, zeżarł i odbeknął? - to pytanie Bazylia skierowała do męża. Dotyczyło ono, jak słusznie domyślała się Kudłata, tego, czy najmłodszy, czteromiesięczny potomek wypił odpowiednią ilość swojego mleczka oraz je przyswoił.

- No ba! Cze... Ciaaaaapa, nie skacz!!! - krzyknął, ale było już za późno. Kiedy tylko helikopter roztrzaskał się o ścianę i spadł z hukiem, tłusty labrador skierował swoje

zainteresowanie ku nowo przybyłym i właściwym sobie sposobem przywitał ich gorąco. Efektem tego było rozłożenie Obolałego na łopatki i przyparcie Kudłatej do ściennej wnęki. Szczęśliwie Obolały ucierpiał bardziej – szczęśliwie, bo on przecież lubował się w bólu istnienia.

Ceremonia przywitania nowych gości powtarzała się jeszcze dwa razy, kiedy przychodziły pozostałe przyjaciółki Bazylia. Wreszcie wszyscy przybyli zostali usadzeni na wygodnej kanapie, młodsza część domowników po długich negocjacjach spoczęła w łóžeczkach, tłusty labrador pochrapywał spokojnie na najwygodniejszym fotelu, a na stole stały miska parującego makaronu i cudownie pachnący sos.

Po późnej kolacji przyszedł czas na gruntowne babskie pogaduchy. Obolały na szczęście rozumiał potrzebę kobiet, więc skierował się do kuchni, w której mąż Bazylia z miliona męskich badziewi rozłożonych na olbrzymim kuchennym stole składał swoje nowe elektroniczne cudo.

- No i co z tym trupem? - zapytała Bazylia.

- Z trupem nic, jak trup, to już nie moja działka, tylko patomorfologa - odpowiedziała przytomnie Kudłata.

- No, ale chyba będzie jakieś śledztwo? - drążyła Bazylia.

- A to to tak, już mnie wstępnie przesłuchiwali - odpowiedziała dumnie.

- A ty oczywiście wszystko powiedziałaś jak jakaś naiwna, zamiast uprzednio skontaktować się ze swoim

adwokatem w myśl przysługującego ci prawa – odparła lekko obrażonym tonem prawniczka Antonina.

U Antoniny lekko obrażony ton był na porządku dziennym, więc nikt już na niego nie reagował. Było wiadomo, że mimo całej swojej wyniosłości i oziębłej powierzchowności Antonina (bo nikt nie śmiałyby jej nazwać Antosią, a co dopiero Tosią), to chodząca dobroć, tylko głęboko ukryta. Chodząca, a właściwie w obecnej chwili siedząca dobroć manifestowała swój żal, strzepując wyimaginowane psie futro ze swojej nienagannie skrojonej, brzoskwiniowej garsonki. Bazylia zawsze zastanawiała się, jakim cudem ona potrafi zachować te kostiumy nieupaprane. „A może zakładała codziennie nowy?”, snuła rozmyślenia.

- Oj, oj, przecież to nie ja byłam oskarżona, zeznałam tylko, jak trupa znalazłam i jak się można ze mną skontaktować. Zresztą rozmowa z inspektorem Boskim-Męskim była zadziwiająco przyjemna – zarumieniła się zniecka Kudłata.

Wszystkie kobiety na świecie, niezależnie od narodowości, kultury, świadomości społecznej, mają naturalnie wbudowany radar emocjonalny. Mężczyzna konsekwentnie i metodycznie wypytałby o dalsze dzieje trupa i szczegóły przesłuchania, nie dopuszczając myśli, że rozmowa bądź co bądź o zwłokach mogłaby być w jakimkolwiek aspekcie przyjemna. Ale kobiety działają inaczej, ożywiły się nagle zainteresowane zgoła ciekawszym tematem.

- I jak wyglądał ten inspektor? Stary? Młody? A chociaż kawę ci postawił? A właściwie gdzie rozmawialiście? A o czymś poza śledztwem? A na kiedy się znów umówiliście? A gdzie mieszka? Sam? A obrączkę miał?

Kudłata zasypana pytaniami zarumieniła się jeszcze bardziej, zerknęła z daleka na Obolałego i prychnęła z niezadowoleniem:

- No wstrętny nie był. A właściwie skąd ja mam to wszystko wiedzieć? Służbowo rozmawialiśmy.

Oho, to była zaszyfrowana kobieca wiadomość: „Nie inwigilujcie, skoro jeszcze nie wiem, co z tego będzie. Mimo że był bosko przystojny i męski, to jest przecież Obolały, który byłby jeszcze bardziej obolały, jakbym się z jakimś Boskim-Męskim spotykała na boku na jakieś kawy”. Mężczyzna nigdy by nie zrozumiał takiego przesłania podprogowego, ale dla wszystkich dziewczyn był on jasny, więc grzecznie przeszły do znacznie mniej interesującego tematu trupa.

- Trupem okazał się mój sąsiad, tylko że nie z mojego osiedla, to znaczy nie z tego, na którym obecnie mieszkam - opowiadała Kudłata.

- A z którego? - zdziwiła się Bazylia.

- No z mojego poprzedniego, tego, na którym mieszkałam z rodzicami. Normalnie nienormalne, że ktoś mi poprzedniego sąsiada pod obecny blok podrzucił i to jeszcze w stanie nieżywym.

- A może on sam chciał ci jakąś wiadomość przekazać i szedł, szedł aż utknął na tym trzepaku - stwierdziła tajemniczo Bazylia.

- Baza, pomyśl. Z kulą w głowie daleko by nie uszedł, prawda? Kudłata, zacznijmy od początku. Czym się zajmował ten sąsiad i czy miał jakiś wrogów? Albo żonę? - spytała Szabla.

Czwarta przyjaciółka prezentowała umysł analityczny i ścisły, typowy dla mężczyzny. Właściwie Szabla cała była niemal jak facet. Miała męską figurę, zawsze chodziła w spodniach, jako instruktorka jazdy konnej była bardzo umięśniona i wysportowana. Za to z buzi - istny anioł. Wrażenie anielskości niweczyła jednak skutecznie ciętym językiem.

- Miał, miał, aż nadmiar - powiedziała Kudłata w zamyśleniu.

- Czego nadmiar, żon czy wrogów? - zirytowała się Szabla.

- No w sumie i tego, i tego - stwierdziła Kudłata. - Kiedy mieszkałam na tamtym osiedlu, to miał drugą żonę, ale rodzice mówili, że się z nią rozwiódł i miał właśnie sprawić sobie kolejną, znaczy się, trzecią żonę. Sądząc po odgłosach towarzyszących rozstaniom, to obie porzucone żony możemy równie dobrze nazwać wrogami.

- A co ten twój sąsiad taki lowelas? - spytała Bazylia.

- Wiesz, on miał taką przedziwną manierę. Lubił opowiadać o swoich perypetiach i zawsze kreował się w nich na ofiarę jakiegoś wrednego policjanta,

niesprawiedliwego dozorca, taksówkarza złodzieja, niedobrej żony. A przy tym był przekonujący, nie można mu było nie wierzyć.

- Ha, ha! No to teraz mu wierzymy, że jest ofiarą - skomentowała z czarnym humorem Antonina.

- No dobra, a skąd ten pieprzony czarujący jedi miał kasę na te wszystkie żony? - chciała wiedzieć jak zawsze analityczna Szabla.

- Biuro podróży miał. Dziura Travel czy jakoś tak...- odparła Kudłata.

Nagle Bazylia się roześmiała.

- Diuna Travel. Ciotka Miodzia z nim na Maderę jechała. Mówiła, że właściciel ją tak oczarował, że wzięła wszystko najdroższe. *All inclusive*, driny i mariny. A zważając na to, że ciotka niepijąca, mimo sporej tuszy jedząca jak kanarek i cierpiąca na chorobę morską od samego patrzenia na łódzie, to wtopiła niezłą kasę. W dodatku najbardziej zależało jej na piaszczystej plaży, a tej przecież na Maderze nie uświadczysz. Po powrocie z wycieczki zgłosiła się do biura z reklamacją. Facet tak ją urobił, że uznała, iż Madera była cudowna, i nawet wpłaciła zaliczkę na następny wyjazd za rok.

- No to niezłe miał facet możliwości - odparła Szabla w zamyśleniu. - Dziewczyny, plan jest taki: ja idę jutro do tego *travel* biura wybadać sprawę, Kudłata inwigiluje nadal inspektora Boskiego-Męskiego, a przy najbliższej okazji pojawia się u rodziców i sprawdza grunt. Antonina bada aspekty prawne całej sprawy i to, czy inspektor może nam jakoś Kudłatą udupić.

- A ja? - zainteresowała się Bazylia.

- Ty gotujesz obiad, a widzimy się w piątek.

*

Jak to zwykle bywa, kiedy baby precyzyjnie się umawiają, to nigdy im się spotkać o wyznaczonej porze nie uda. W piątek Antonina musiała pracować do późna, Szabla zapomniała o spotkaniu i umówiła się na nierandkę ze swoim niechłopakiem, jak go sama określała. A Kudłatej wypadło powtórne spotkanie z inspektorem Boskim-Męskim.

Rozdział 3

Inspektor Boski-Męski, czyli Tomasz Milewski, miał swoje wybitnie nieprofesjonalne powody, żeby z Kudłatą spotkać się raz jeszcze. Co tu dużo ukrywać, mimo pierwszego wrażenia, jakie dziewczyna zrobiła na wszystkich funkcjonariuszach przybyłych na miejsce zdarzenia, coś go ciągnęło do następnego spotkania z nią. Jako typowy mężczyzna wcale się nie zastanawiał, co go ciągnie, gdzie, po co i dlaczego, i co z tego może wyniknąć. Ciągnie, znaczy, że należy się pociągowi poddać.

A pierwsze wrażenie, jakie zrobiła Kudłata, na długo zostanie przedmiotem policyjnych żartów. Kiedy funkcjonariusze przyjechali na miejsce zdarzenia, ich oczom ukazał się niezwykle widok. Młoda kobieta usilnie reanimowała człowieka z lodu z dziurą po kuli w głowie. Niepoprawna optymistka zacierała wszelkie ewentualne ślady przestępstwa. Kiedy wreszcie udało jej się wytłumaczyć, że te próby nie mają sensu, usiadła na zlodowaciałej ziemi i, jak to baba, popłakała się, mówiąc: „Jeszcze nie doszłam, a już mi nie wyszło”.

Kudłata oczywiście zastosowała skrót myślowy. Chodziło jej o to, że jeszcze nie dotarła do pracy na izbę przyjęć, a już miała za sobą zdecydowanie nieefektywną (za to efektowną) reanimację. Policjanci oczywiście zrozumieli jej słowa jak chcieli i posyłali sobie znaczące uśmiešky, których z kolei nie rozumiała Kudłata.

Inspektor Tomasz, jako osobnik z natury opiekuńczy oraz nieco w kobiecej psychice zorientowany, przetransportował Kudłatą na komisariat, obficie spoił kawą i dopiero potem zaczął wypytywać o szczegóły fatalnego poranka. Kiedy Kudłata doszła do siebie, całkiem składnie wszystko zeznała i nawet rozpoznała ofiarę. Jej opowieść potwierdziło kilku sąsiadów, którzy również o podobnie wczesnej godzinie pędzili do pracy, tyle że nie mieli jej poczucia misji ani ochoty na dotykanie lodowatego trupa.

No dobrze, inspektor miał ofiarę, miał kilkoro świadków odnalezienia ofiary, miał domniemane narzędzie zbrodni. Czekał tylko na techników, którzy mieli ocenić kulę. Brakowało mu jeszcze mordercy i motywu. Na tym etapie śledztwa Kudłata pozostawała główną podejrzaną, co było inspektorowi na rękę, bo rodziło konieczność kolejnych spotkań z dziewczyną. Oczywiście trzeba było przesłuchać rodzinę, sąsiadów, znajomych denata, ale cóż, wszystko po kolei, jak mówił jego ulubiony Herkules Poirot: „najważniejsze są małe szare komórki”.

Rozdział 4

Kudłata ubrała się tego dnia niezwykle jak na nią starannie, nawet usunęła kocią sierść z rajstop i otrzepała zamszowe kozaki z pozostałości śnieżno-solnej brei. Inspektor Tomasz Milewski wybrał na spotkanie kawiarnię w pobliżu komisariatu. Teoretycznie powinien prowadzić przesłuchanie w swoim gabinecie, jeśli można tak nazwać prostokąt metr na dwa wydzielony pseudościankami z większej powierzchni paskudnie nazywanej *openspace'em*. Policjant przeklinał w myślach tego, który takie kurniki wymyślił.

Kawiarnia tchnęła trochę klimatem późnego PRL-u, co dla osoby w wieku trzydzieści plus było nawet kojące, bo kojarzyło się z latami dzieciństwa. U Janeczki przeszłość i terażniejszość idealnie się splatały: kawę podawano w filizance, a herbatę w uszczerbionej szklance umieszczonej w metalowym koszyczku, który rozgrzewał się do takiej temperatury, że można było za niego złapać tylko wtedy, gdy napój już zupełnie wystygł. Na stolikach leżały serwety i stały wazoniki rodem z filmów Barei. Co ciekawe, w wazonikach tkwiły sobie

całkiem żywe tulipanki. Personel kawiarni też pochodził z dwóch różnych światów: jedna pani burknęła z obrażoną miną, że „mleka do kawy ni ma”, a inna pobiegła do pobliskiej Żabki i chwilę później podała kawę z mlekiem i uśmiechem na deser.

- I co z tymi sąsiadami? - Kudłata prowadziła inwigilację.

Od kiedy pojawili się w kawiarni, inspektor Tomasz zdążył zadać może dwa pytania, bo niecierpliwa Kudłata zarzuciła go swoimi. Milewski przyjmował to ze spokojem i odpowiadał na tyle, na ile oczywiście uważał za stosowne, umiejętnie omijając szczegóły, o których mówić nie chciał. Lubił przypatrywać się Kudłatej, która emocjonowała się jego odpowiedziami. Obiektywnie rzecz biorąc, dziewczyna była ładna, drobna, może trochę zbyt energiczna. Miała bardzo ciemne oczy i także włosy. „Tylko te włosy mogłaby mieć trochę dłuższe”, myślał inspektor.

- Wydaje się, że poprzedniego dnia sąsiad zachowywał się normalnie. Był w pracy, potem odwiedził lokalny sklepik. Jak co dzień dokonał podstawowych zakupów, podrzucił mleko i pomarańcze starszej sąsiadce i poszedł do domu. Prawdopodobnie. Od przyszłej małżonki niewiele mogliśmy się dowiedzieć, gdyż była akurat nieobecna, po południu wyjechała na kilka dni do rodziców.

- Wyjechała, no fakt, przecież się pokłócili, moi rodzice mówili - odparła Kudłata.

- A mówili może, o co się posprzeczali? Bo narzeczona zeznała, że rozstali się w perfekcyjnej zgodzie - dopytywał Inspektor.

- Nie, tego nie słyszeli, w końcu mieszkają dwa piętra niżej. Za to słyszeli rumor przestawianych albo przewracanych mebli i podniesione głosy, a potem ona wyszła z walizami i wyjechała. Tak koło siedemnastej może było.

- Sąsiedzi zeznali, że układało im się dobrze, prawie wdowa była zrozpaczona i opowiadała o Diunskim, tak nazywała się ofiara, w samych superlatywach. Podobnie zresztą jak i pozostałe wdowy, znaczy, były żony. I sąsiedzi. I administrator osiedla. I nieliczna rodzina. I pracownicy biura. I nawet pani w sklepiku. Wydaje się, jakby ten nasz trup nie miał kompletnie żadnych wrogów, wręcz przeciwnie, wszyscy go uwielbiali.

I wtedy inspektora tknęło, że uwielbiali Diunskiego aż za bardzo...

Rozdział 5

- No dobra, ale powiedział ci, dlaczego ktoś go kropnął? - Szabla próbowała wyciągnąć z Kudłatej jakiegokolwiek rzetelne informacje.

- Skoro wszyscy go lubili, to po co mieliby go kropać... Kroplić. No, zaciukać - odpowiedziała Kudłata.

Dziewczynom w końcu udało się spotkać, ale oczywiście nie w tym miejscu, nie w tym czasie i nie w tym celu, w którym były umówione. Siedziały właśnie w przymierzalni sklepu H&M ze zrozpaczoną Bazylią, która próbowała wybrać dla siebie sukienkę na chrzest swojego najmłodszego bobasa. Zakupy się przeciągały, ponieważ dziewczyna z uporem maniaka próbowała się wcisnąć w rozmiar 38, z którego wyrosła jeszcze w czasach liceum. Z kolei Antonina z uporem maniaka próbowała jej ten fakt delikatnie wytłumaczyć. Uświadamianie nie przynosiło skutku, bo Bazylia nadal upychała swe rubensowskie kształty w kolejne za ciasne kiecki.

- Oj, no ty to naiwna jesteś - powiedział Szabla z przekąsem. - Myślisz, że teraz nie ściemniają? Jakbyś kogoś zaciukała, to co, potem byś mówiła, że miałaś motyw, bo był dla ciebie niedobry?

- Czy ja wiem? - odparła bez przekonania Kudłata. - Ja zwykle próbuję ludzi ratować, a nie krzywdzić...

- E, no i dlatego nie masz dystansu do tej sprawy - rozgniewała się Szabla.

- Okropna ta kiecka, Bazylia, weź inną - oceniła Kudłata. - A byłaś w tym biurze podróży, Szabla?

- A byłam. I, rany, ale mi się wakacji zachciało...

- Przecież ty w czasie wakacji masz najwięcej pracy - powiedziała praktyczna Antonina.

- Ale mi się wyjazdowych wakacji zachciało, nie terminowych. Są takie kraje, w których nie musisz łązić zabachutana w tysiąc warstw, nie spędzasz codziennie dwóch godzin na odśnieżaniu i próbie zastartowania zamarznętego auta. Tam kobiety wrzucają na siebie lekką sukieneczkę i idą w pięknym słońcu do pracy... - rozmarzyła się Szabla.

- O matko! - wysapała spocona Bazylia. - Chyba będę musiała kupić też elegancki płaszcz.

- Na razie nie widać postępu z kiecką - jak zwykle ciętym językiem skomentowała Szabla.

- Bo ta ma zły krój, kto to wymyślił, żeby takie coś na kobietę zakładać. Nie martw się, Bazylia, weź tamtą różową - przekonywała Antonina, po czym zwróciła się do Szabli: - I co, wywachałaś coś?

- O tak, już prawie czułam zapach wiśni w malowniczej Japonii, strelicji na Maderze i stefanotisu na Madagaskarze... Baby, a może się gdzieś wybierzemy, co? Zobaczycie, będzie cudnie, ja wszystko zaplanuję, wybierzemy jakieś ciepłe miejsce, poza sezonem, wygrzejemy się jak nigdy, teraz ceny są całkiem przystępne - rozmarzyła się Szabla.

- No jasne, ja mam aż nadto pracy. Jeżeli się nudzisz, to ci podrzucę coś do roboty - burknęła Antonina.

- Ja mam dyżury ułożone na trzy miesiące z góry i chyba by mnie zabili, gdybym chciała pozamieniać coś w grafiku. I tak przez tę aferę z trupem musiałam nieźle pokombinować, żeby posprzedawać kilka dyżurów w tym miesiącu - odparła Kudłata.

- A ja mam chrzest i chyba pójde na niego na golasa przy minus pięciu - jęknęła płaczliwie Bazylia.

- O matko! Baza! - zirytowała się Szabla. - Twój rozmiar to 42. Weź to czarne, to cię wyszczupli, a od jutra zaplanuj sobie, kiedy przychodzisz do mnie na treningi, to może latem wbijesz się w 38, ale powiem ci szczerze, że akurat twoje krągłości są bardzo na miejscu i nic bym w nich nie zmieniała. To samo zresztą zawsze powtarza twój własny małżonek. A wy, dziewczyny, z tą robotą to nie przesadzajcie. Robota to nie życie, to coś, co się robi, żeby żyć. Znacie kogoś, kto na łożu śmierci żałował, że więcej nie pracował? - zapytała Szabla. - No, a ja już wam wakacje zaplanuję.

I w ten oto sposób przyjaciółki nie ruszyły do przodu sprawy śledztwa, ale za to załatwiły dużo innych, równie

ważnych spraw.

Rozdział 6

Ostatnią dobę, bo dyżury Kudłatej trwały 24 godziny, młoda lekarka zaliczyła do pamiętnych w negatywnym tego słowa znaczeniu. Na izbie przyjęć jednego z większych miejskich szpitali nigdy nie było łatwo, ale tym razem chaos przekroczył wszelkie granice.

Kudłata przeklinała wszelkie balangi świata. Z jednej dyskoteki przywieziono trzech pacjentów: pobitego, połamanego i pogryzionego. Co gorsza zorientowała się, że poszkodowani brali udział w tej samej bójce dopiero wtedy, gdy wysłała ich do gabinetu RTG. Tam chłopcy urządzili powtórkę z rozrywki, poważnie się poturbowali i zwymyślali personel szpitala, z Kudłatą na czele. A to był dopiero początek nocnej części dyżuru lekarki.

Każda izba przyjęć ma swoich stałych bywalców – w lżejszych lub cięższych stanach, bardziej lub mniej lubianych, ale takich, na których zawsze trzeba zwrócić uwagę. Jednym z ulubieńców Kudłatej był pan Kramik. Tak naprawdę miał na imię Kamil, ale jako że był bezdomny i cały dobytek woził ze sobą w wózku-kramiku,

dostał właśnie taki przydomek. Był lubiany przez wszystkich, ponieważ mimo kiepskiego stanu zdrowia zawsze obdarzał uśmiechem personel szpitala i innych pacjentów. Niestety, pan Kramik kompletnie nie stosował się do zaleceń lekarskich, nigdy nie wykupywał przepisanych mu leków, toteż wracał na izbę jak bumerang – regularnie raz na tydzień.

Tego dnia pan Kramik trafił do szpitala w stanie cięższym niż zazwyczaj. Rozchwiana cukrzyca, choroba niedokrwienna serca i POChP dały w efekcie miks bardzo złego samopoczucia, duszności i obrzęków.

Kudłata dwoiła się i troiła w pękającej w szwach izbie przyjęć. W międzyczasie doglądała pacjentów w cięższym stanie. Całą noc biegała jak kot z pęcherzem i nie miała czasu zapytać pana Kramika, jak się czuje, ani po prostu z nim porozmawiać. Dopiero rano, kiedy przyszedł na dyżur kolejny lekarz, podeszła do swojego ulubionego pacjenta. Nie miała dobrych wieści. Choć jego stan nieznacznie się poprawił, to nadal wymagał hospitalizacji oraz kolejnych inwazyjnych badań. Kudłata wiedziała, że jeśli chory nie zacznie regularnie stosować leków, to nie ma dla niego przyszłości. Pan Kramik, jak zwykle filozoficznie i jak zwykle z uśmiechem, skwitował zatroskanie Kudłatej: „Pani doktor się nie martwi. Hipokrates mówił, że wyleczyć można rzadko, za to często można ulżyć, a pocieszyć zawsze”, a lekarce łzy stanęły w oczach.

Po takim dyżurze Kudłata nie miała nawet siły, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Wyszła tak, jak stała, i powlekła się nogą za nogą na przystanek tramwajowy.

Głodna i zziębnięta usiadła na ostatnim wolnym miejscu w tramwaju. „Jedyna pozytywna rzecz tego dnia”, pomyślała zrezygnowana. Biorąc pod uwagę to, że do domu będzie musiała przejść jeszcze przez zamarznęty park, obok feralnego trzepaka, na który od czasu bliskiego spotkania trzeciego stopnia z trupem spoglądała zawsze z niepokojem, i to, że w domu zapewne nie czeka na nią ani ciepłe powitanie, ani ciepły posiłek, poczuła się jeszcze bardziej zmęczona. Obolały i owszem, wypełnił ostatnio lodówkę, ale produktami niekoniecznie jadalnymi dla Kudłatej, mianowicie sushi i kawiozem.

Z Obolałym to było tak, że zasadniczo był artystą, choć bardziej przypominał celebrytę, tyle że nie był sławny. Imał się różnych chałtur, ale przez większość czasu nie pracował i dlatego żył na rachunek Kudłatej. Czasem zdarzały się okresy, że za swoją działalność organizacyjno-teatralno-klubowo-warsztatowo-muzyczno-plastyczno-nijką otrzymywał całkiem spore wynagrodzenie. Wtedy to zabierał Kudłatą na wystawne kolacje, teatralne premiery oraz wypełniał lodówkę – niestety tylko i wyłącznie produktami, które według dziewczyny nie nadawały się do jedzenia. Kupował też gadżety, z których nawet nie umiał korzystać, toteż od dwóch lat Kudłata wieszała pranie na lince rozpiętej między niezłożonym teleskopem, a hydrosferą dźwiękoczułą, która zaskakująco świetnie sprawdzała się jako wieszak, choć przypominała nowoczesną rzeźbę. Wszystkie domowe szuflady pełne były elektronicznych i artystycznych dziwów. Pieniądze nie trzymały się

Obolałego, w dodatku miał duży rozmach w ich wydawaniu. Kudłata żałowała, że nie kupował choć czasami rzeczy bardziej w jej guście. Tak właściwie Obolały uważał, że dziewczyna nie ma stylu i próbował jej narzucić swój. Na szczęście Kudłata była odporna na te zabiegi i insynuacje.

Owego zimowego poranka jechała tramwajem, rozmyślając o oślizgłej, surowej rybie czekającej w jej lodówce i o tym, że pewnie Obolały spodziewa się, że ona w ramach nauki stylu ową rybę przyrządzi. „Prawda jest taka, że twój związek jest jak ta oślizgła, surowa ryba w lodówce. Wszyscy mówią, że jest pyszna, a ty nie masz ochoty jej nawet spróbować”, pomyślała sobie Kudłata.

Myśli dziewczyny zaczęły krążyć wokół jedzenia. „Rany, ale bym sobie zjadła pyszny, gorący, polski rosółek”, rozmarzyła się. „Ciekawe, czy inspektor Boski-Męski lubi rosółki? Nie... On pewnie zabrałby mnie do restauracji na sztukę mięsa układaną na bukietach warzyw z sosem chrzanowo-śmietanowym. Na deser zamówiłby dla mnie *crème brûlée* i oczywiście doskonałe wino, a dla siebie Vesper Martini wstrząśnięte, niez mieszane...”, tak snując marzenia kulinarne, Kudłata zasnęła w tramwaju snem kamiennym.

Obudziła się dopiero na trzeci dźwięk dzwonka. Motorniczy próbował w ten sposób ocucić pasażerkę, bo tramwaj dojechał już na końcowy przystanek. Kudłata w nagłym przypiływie adrenaliny wybiegła z pojazdu i usilnie szukała tego, kogo trzeba było reanimować/ratować/badać/opatrywać. Na szczęście nikt

nie potrzebował pomocy, na nieszczęście nikogo wokół nie było. Było za to pierońsko zimno.

Dopiero po chwili dziewczyna zorientowała się, w której części miasta się znajduje, i z radością uświadomiła sobie, że żwawo maszerując, już za dwadzieścia minut może być w ciepłym mieszkaniu rodziców. Zadzwoiła do mamy, ta szczęśliwa, że może nieco podtuczyć wiecznie niedożywną córkę, kazała Kudłatej przychodzić jak najszybciej.

Tak naprawdę Kudłata nie była niedożywna. Była po prostu drobna, a rozmiar jej ubrań był odwrotnie proporcjonalny do ilości dyżurów w miesiącu. Im więcej miała dyżurów, tym mniejszy rozmiar nosiła.

Perspektywa ciepłego pomieszczenia i gorącego posiłku była tak kusząca, że Kudłata z uśmiechem pobiegła do rodziców, zapominając o wszelkich udrękach minionego dyżuru.

Po solidnej porcji domowej roboty pierogów z mięskiem, dwugodzinnej drzemce i jeszcze jednej przekąsce (mama gotowała wspaniale) Kudłata czuła się na tyle na siłach, żeby zahaczyć o temat trupa, czyli sąsiada Diunskiego.

- Oj, wiesz co, córa, dziwne rzeczy się tutaj dzieją - zaczęła opowieść mama Kudłatej. - Najpierw zadziwiająco często kręciły się tu byłe żony, obie, ale nie razem. Dziwne, że zazwyczaj przychodziły, kiedy go w domu nie było. Mówiły, że niby wpadają po coś, co zostawiły. Ciekawe, że zostawiły to coś jedna dwa, a druga cztery lata temu i do tej pory nie było im to coś

potrzebne. Ale to było, jak jeszcze żył Diunski. Potem coraz głośniejsza robiła się ta jego narzeczona. Niby taka miłusia, a jak się czasem wydarła, to aż się blok sypał. Aż mi Diunskiego było żal. A dzień przed tą jego wycieczką na twój trzepak to się strasznie pokłócili i ona chyba meble przestawiała ze złości, bo słyhać było szuranie. Potem z podwórka jeszcze wrzeszczała, że Diunski jest kłamcą i nie dba o jej przyszłość, i ma się u niej z tym zjawić albo w ogóle się już nie pokazywać. A potem zapadła cisza, jak się okazało, grobowa. A następnego dnia zrobiło się głośno i kolorowo od policyjnych kogutów. Wiesz, że oni tu pół bloku przeszukali? I jeszcze nas odpytywali. Wszystkich. Nawet tę pokreconą Mopę od kotów! - Kudłata przypomniła sobie sąsiadkę z dredami - takimi prawdziwymi, powstającymi naturalnie z brudu i braku higieny.

- Ta im dopiero nagadała! - cieszyła się mama Kudłatej. - Najpierw to jej słuchali i pisali wszystko. Ciekawa jestem, do którego momentu, hi, hi. Zaczęła od tego, że Diunski był przemytnikiem afrykańskich zaczarowanych masek szamanów i że ich duchy krążą po bloku, a ona kontaktuje się z nimi, bo pojękują przez rury. To one jej podobno powiedziały, że Diunski ma eliksiry takie, że każdy mu wierzy, i że w lodówce pod kluczem więzi różowe baletnice zamknięte w jajkach. Ha, ha, ha! To mi sąsiadka powiedziała, bo u niej w łazience było słyhać całe przesłuchanie, które odbywało się w salonie Mopy. Jeszcze na schodach opowiadała policjantom, że Diunski był czarodziejem, bo umiał zaciągnąć wszystkie

zasłony naraz, a kłaśnięciem zapalał światła. Pomyśl, kto by coś takiego wymyślił?

- Ha, ha, to moi znajomi, znasz ich, śliczna Jabłkowa i tłusty Jabłecznik, też są czarodziejami, bo mają taki sam system w salonie. Światło na kłaśnięcie i zsynchronizowane rolety, i jeszcze garaż na pik, i jakieś ustrojstwo w drzwiach, które wyje, kiedy ktoś niepowołany wchodzi - stwierdziła Kudłata.

- O, zobacz, a myślałam, że Mopie zupełnie odbiło. A tak przy okazji, wiesz, jak odbiło Rudej Małpie spod czterdziestki, tej, co wyszła za starego Lincolna? - i mama Kudłatej popłynęła z kolejną opowieścią na zupełnie inny temat.

Rozdział 7

Inspektor Boski-Męski, czyli Tomasz Milewski, był zarówno wstrząśnięty, jak i zmieszany wynikami sekcji zwłok Diunskiego. Często zdarza się, że trudno jest określić przyczynę zgonu. Za to nigdy się jeszcze w karierze inspektora nie zdarzyło, żeby przyczyn było aż za dużo.

- O co tu chodzi? - myślał głośno. - Trup jeden, a przyczyny zgonu trzy?

- Ano! - powiedział ospały patomorfolog. - Najpierw mu przysolili przez łeb czymś całkiem ciężkim, stąd zmiążdżenie czaszki, strona lewa, płąt ciemieniowy z krwiakiem. Pasuje mi tu obuch siekiery albo na przykład żelazko. Ale to uderzenie go nie zabiło, choć mogłoby się tak wydawać. Potem oberwał jakimś cienkim narzędziem: nożem, bagnetem chińskim albo prętem do kruszenia lodu. Tym został ugodzony w lewy bok, między czwartym a piątym żebrzem w linii pachowej przedniej. Ta rana była śmiertelna. Narzędzie spenetrowało lewe płuco, dosięgło lewej komory serca. Ofiarę postrzelono

już po śmierci. Jama wlotowa kuli znajduje się w okolicy czołowej, nabój przeszedł przez blaszkę sitową i ugrzął prawie dokładnie między półkulami mózgu. Pocisk to Parabellum 9x19 mm, najpopularniejszy na świecie nabój pistoletowy używany w większości typów broni wojskowej i policyjnej. Ale to przecież wiesz. Nic oryginalnego.

- No dobra - drażył Milewski. - To tak etapami go mordowano?

- No, rzekłbym, że etapami i w odstępach czasowych. Trudno ustalić dokładnie, ale prawdopodobnie około dwie godziny minęły między uderzeniem a raną kłutą. Trochę trudniej określić odstęp czasu między kłutą a pociskiem. Na oko daję dwie do czterech godzin. Zgon z powodu krwawienia wewnętrznego, uszkodzenia serca i płuc, wreszcie obrzęku płuc i wstrząsu nastąpił około dwudziestej czwartej.

- Ho, ho! Godzina duchów - włączył się do rozmowy szuszfolowaty, niewysoki człowieczek przysłuchujący się mężczyznom z kąta gabinetu. Był to prawdziwy gabinet (a nie prostokątna klitka) nadinspektora Nadymanego, którego nieobecność Milewski zwykł wykorzystywać w celu odbycia narad.

Mały człowieczek był wyjątkowo niechlujnie ubrany, wydawało się nawet, że miejscami brudnawy, a jego postawa wyrażała życzliwe znudzenie. Z wysokim, postawnym, bardzo elegancko - można by powiedzieć, że pedantycznie - odzianym Milewskim stanowił intrygujące przeciwieństwo.

- Ano, panie prokuratorze - odpowiedział małemu człowieczkowi patomorfolog.

- Co dało przesłuchanie świadków? - zapytał niby bez zainteresowania prokurator.

Milewski streścił mu efekty kilku spotkań z Kudłatą, pomijając oczywiście wszelkie aspekty towarzyskie owych.

- A co z rodziną, znajomymi, sąsiadami? - dopytywał się pozornie znudzony prokurator.

Milewski znał już prokuratora Columbo dość dobrze i wiedział, że ksywka, jaką potajemnie dostał, wybitnie odpowiadała jego osobowości i sposobowi działania. Wydawało się, że Columbo zawsze jest niezbyt zorientowany w dochodzeniu, sprawiał wrażenie niezainteresowanego, ale Milewski wiedział, że prokurator słucha z niebywałą uwagą, rejestruje i łączy fakty, by w odpowiednim momencie zabłysnąć trafnym spostrzeżeniem, które pomoże rozwiązać śledztwo. Dlatego inspektor cierpliwie streścił zeznania wszystkich żon, rodziny, znajomych, a nawet bzdury, jakie plotła jedna z pokręconych sąsiadek denata.

- Zasadniczo dziwna sprawa. Niby nic ciekawego: facet wiódł normalne życie, nie miał żadnych porachunków, żadnych wrogów, żadnych wad, był znany, lubiany, tylko jego osobliwe przejście w stan nieżywy jakoś tu nie pasuje - podsumował Milewski.

- Hm, zaiste, dziwna sprawa - potwierdził Columbo. - Możliwości są dwie: albo mamy do czynienia z kompletnym idiotą, który mordował denata dla hecy na

raty, a chodząc po mieście z plecakiem pełnym przeróżnej broni, narażał się trzykrotnie na niebezpieczeństwo identyfikacji, albo mamy do czynienia z morderstwem potrójnym. W związku z tym, że osobiście, mimo zidiocenia ogólnego, jestem za opcją numer dwa, to radzę szukać trzech różnych osób i, co za tym idzie, trzech motywów, trzech sposobności, trzech braków alibi. Które trzy osoby najbardziej zyskały na śmierci Diunskiego?

- Obecna, to znaczy przyszła, właściwie przeszła, bo nie dojdzie do ślubu, żona, właściwie narzeczona, była... - zakręcił się Milewski. - Ona zyskałaby, gdyby została żoną, czyli za około miesiąc. Byłe żony zyskują po kawałku niewielkiego majątku. Diunski i owszem, był dość kasiasty, ale dużo podróżował, i co zarobił, to wydawał, bo na wakacjach nie oszczędzał. Żonom zostaje do podziału pięćdziesięciometrowe mieszkanie w bloku i może ze trzysta tysięcy. Starego forda Diunski zapisał jednemu synowi z pierwszego małżeństwa, Karolowi Diunskiemu. I tyle.

- A biuro podróży? - dopytywał Columbo.

- Przejmuje przyjaciel wspólnik - odparł Milewski.

- OK, sprawdź przyjaciela i całe to biuro podróży. Jakies szemrane interesy, przemyt, kontakty, dziwne przelewy. Poza tym trzeba śledzić syna i wszystkie żony. Rozumiem, że przeszukanie mieszkania nic nie dało?

- Nie. Nie znaleźliśmy nic, co by odbiegało od normy. Miał zadziwiająco fajne to mieszkanie. Stare budownictwo, ale wyposażenie nowoczesne, wszystko zautomatyzowane, nawet klima na termostat, a ekspres

sam rano zrobił nam kawę. Facet musiał się nieźle namęczyć przy aranżacji tego lokum, pewnie pasjonował się takimi bajerami.

- Hm, powtórzcie przeszukanie, coś mi tu nie pasuje. Jakiś taki za fajny ten Diunski, żeby go tak niefajnie mordować - zakończył Columbo, po czym uklonił się w pas, jak to miał w zwyczaju, i cichym, kocim krokiem zniknął za drzwiami.

Rozdział 8

Będąc młodą lekarką, wszedł raz do mnie pacjent... i zagaił, Kudłata przypominała sobie fragmenty audycji radiowej z Ewą Szumańską.

Ach, jakie wszystko wydawało się Kudłatej łatwe, kiedy na studiach słuchała w radiu audycji o perypetiach młodej lekarki. Ona zawsze miała nietypowy pomysł na uleczenie swojego pacjenta i pacjent zawsze zdrowiał.

Kudłata siedziała właśnie na murku przy stacji karetek, czekając na następne wezwanie, a pierwsze ciepławe promienie wczesnomarcowego słońca delikatnie muskały ją po twarzy. Zawinęła się szczelnie w dużo za dużą czerwoną kurtkę z napisem LEKARZ i wdychała rześkie powietrze. „Czy ja w ogóle lubię to, co robię?“, rozmyślała.

Jasne, że lubiła. Według niej radość z uratowania człowieka była najfajniejszym uczuciem na świecie. Super było dać prawdziwą pomoc, otrzymać prawdziwą wdzięczność, widzieć spokój w oczach poprzednio przerażonego pacjenta, widzieć ulgę po bólu. To uczucie

było jak narkotyk, uzależniało, nie pozwalało rezygnować, zmuszało do wiary w niemożliwe, szukania rozwiązań, możliwości. Płaciło się za ten narkotyk wysoką cenę. Cenę koszmarów sennych, w których nie udaje się uratować człowieka, w których przewijają się twarze pacjentów, w których powraca uczucie niepewności nawet wtedy, gdy dla chorego zrobiło się wszystko, co można było i co było w danym momencie najkorzystniejsze.

Kiedy Kudłata wracała z dyżuru, zasypiała snem kamiennym, a kiedy nie miała dyżuru, nie potrafiła spać. Nienawidziła też dźwięku telefonu, kojarzył się jej z następnym wezwaniem do chorego, następnym stresem. Dlatego w swojej komórce ustawiła dzwonek z utworu *Happy* Pharrella Williamsa, żeby się lepiej kojarzył. Działo. Działo szczególnie na ekipę karetki, która akurat tego dnia składała się z dwóch rozrywkowych chłopaków – pielęgniarza i kierowcy.

Because I am happy..., zaśpiewała komórka i przerwała Kudłatej rozmyślenia. Słyszając energetyzujące dźwięki, dwaj radośni faceci w czerwonych kurtkach zaczęli dziko podskakiwać wokoło karetki i robić śmieszne miny. Wygibasy chłopaków podziały na Kudłatą rozweselająco, więc zanim odebrała, była już nieźle uchachana.

- No heja, co u was tak wesoło? Myślałam, że na karecie dzisiaj jesteś? - usłyszała zdyszany głos Bazylii.

- Chwilowo wydaje mi się, że raczej na kursie tańca dla pokręconych - śmiała się Kudłata. - Co tam?

- Wiesz co, widziałam tę twoją...- nagle głos Bazylia zaczął dobiegać z daleka i stanowczo nie był skierowany do Kudłatej, bo przybrał matczyne ton. Bazylia tłumaczyła synkowi, że dzisiaj już nie pojedą do sklepu, bo jest późno, a muszą jeszcze wyprowadzić Ciapę na spacer. Chłopiec tak głośno protestował, że Kudłata musiała odsunąć słuchawkę od ucha.

- Nic nie słyszę, Baza! - przyjaciółka usilnie próbowała przekrzyczeć dziarskie „ła” malucha, ale Bazylia nie reagowała.

Do ucha Kudłatej dobiegał osobliwy dialog:

SYN: Ja chcę ciacho misia!!! Łaa!!!

MATKA: Ale Ciapka musi wyjść na spacer, przecież kochasz Ciapkę, prawda?

SYN: (coraz głośniej) Łaaa!!!

TAJEMNICZY GŁOS: Liii!

Kudłatą zaintrygował trzeci głos zdecydowanie nienależący ani do Bazylia, ani do jej najstarszego synka walczącego o swoje ulubione ciacho misia.

MATKA: (do TAJEMNICZEGO GŁOSU, którym okazał się najmłodszy syn) Ciii, kochanie. To tylko twój braciszek bardzo brzydko się zachowuje, ale zaraz dojedziemy do domku i dostaniesz swoje mleczko.

„Łaaa” i „liii” na zmianę wpadały do ucha Kudłatej, ale Bazylia udało się w końcu przekrzyczeć chłopców.

- Kudłata, jesteś? Tę twoją sąsiadkę widziałam, niedoszłą żonę tego, no, jak mu tam... - Głos Bazylia

niepokojąco zanikał, płacz chłopców się wzmagał. Kudłata słyszała z oddali lamentującego malucha i spokojnie odpowiadającą matkę:

SYN STARSZY: Łaaa, chcę ciacho misia!!!

MATKA: Jutro, kochanie.

Nagle głos Bazy znów rozbrzmiał tuż przy uchu Kudłatej:

- Tę od tego czarusia z trzepaka... - „Łaaa” i „liii” po raz kolejny przerwały konwersację przyjaciółek. Minęła dłuższa chwila ciszy przerywana dwoma płaczliwymi tonami zanim Kudłata zrozumiała, że Bazylia mówi o narzeczonej Diunskiego.

- No i?

- No i z innym dziadem była... - Rozmowa dziewczyn rwała się na strzępy. Kudłata mimochodem była świadkiem kolejnej wymiany zdań matki z synami:

SYN STARSZY: Łaaa, ja chcę teraz ciacho!!!

MATKA: Jak będziesz grzeczny, to w czasie spaceru z Ciapką pójdziemy do sklepu i kupimy. Teraz na pewno jeszcze nie dowieźli ciastek do sklepu, dowiozą, jak pójdziemy z Ciapką.

SYN NAJMŁODSZY: Liii!!

MATKA: Mleczko za chwilę, kochanie!

Wydawało się, że nie ma już szansy na dogadanie się z Bazylią, bo choć „łaa” trochę traciło na sile, to „liii” przybierało.

Kudłata niecierpliwiła się:

- Halo, Baza, no i?

- Słuchaj, Kudłata, ja nie mogę teraz gadać, bo razem z najmłodszym odbieramy starszego z przedszkola i na dodatek dochodzę do skrzyżowania. Wpadnij do mnie jutro po dyżurze, co? Będę tylko z najmłodszym, to może uda się nam zamienić kilka słów.

- OK! Wpadnę! Ale ostrzegam, że mogę zasnąć u ciebie! - wydarła się Kudłata. Po czym pomyślała, że przy takich wrzaskach odpłynięcie w sen raczej by jej nie groziło.

- No to do jutra, pa!

Uch, męcząca dla kostek słuchowych była ta rozmowa. W takie drgania to chyba tylko w operze wpadały. Kudłatej przemknęło przez myśl, że podziwia Bazylię funkcjonującą w takim zamieszaniu i trochę zazdrości jej tych głośnych, małych zbójów.

Dzzzzzyyńńń! Wyrzut adrenaliny przyprawił Kudłatą o szybsze bicie serca. To był ten psychodeliczny dzwonek, który tak bardzo źle się jej kojarzył.

- Ból w klatce piersiowej od godziny, jedziemy, pani doktor!

Rozdział 9

Późnym rankiem następnego dnia Kudłata dotarła do Bazylii. Szabla też już była i spokojnie piła kawę z mlekiem.

- Ty to nigdy nie pracujesz? - zapytała zdziwiona Kudłata.

- Ja pracuję w ilości umożliwiającej mi funkcjonowanie, a nie w ilości prowadzącej mnie szybką trasą do psychiatryka - odgryzła się z uśmiechem Szabla.
- Poza tym zimno jest, a ja mam dzisiaj jazdy dopiero od piętnastej, to co mam robić - dodała, pochylając się nad kubkiem parującej, pysznej kawy z ekspresu.

U Bazylii zawsze była dobra kawa z ekspresu i to takiego porządnego, na prawdziwe ziarenka, a nie na plastikowe żetony zawierające nie wiadomo co. Sam zapach kawy nastrajał pozytywnie, uspokajał i w Kudłatej już zaczynał topnieć podyżurowy stres.

Zadziwiająca cisza panowała dzisiaj w domu Bazylii. Nikt nie biegał, nie skakał, było słychać jedynie pyrkający na kuchence rosółek i bulgoczący ekspres do kawy.

Zapachy kawy, obiadu, środków czystości i kremów małego bobasa tworzyły cudownie aromatyczną domową mieszankę.

Kudłatą niespodziewanie ogarnęły spokój i błogość. „O rany, ale tu fajnie”, pomyślała. Po chwili z korytarza wyłoniła się Bazylia. Była naprawdę piękna ze swoimi lekko zaczerwienionymi, okrągłymi policzkami, zawsze uśmiechniętymi oczami i naturalnie falowanymi, brązowymi włosami, które mieniły się od blasku porannego słońca. Taka nieuczesa i niezrobiona była najpiękniejsza.

- No, młodziak zasnął - powiedziała do dziewczyn. - Kawki, Kudłatka?

- Jasne - uśmiechnęła się całkiem już dobrze nastrojona koleżanka. - Pięknie wyglądasz, Baza.

- Dzięki - odparła, nalewając niespiesznie kawy do wielgaśnego kubka z ZygZakiem McQueenem. - Malec dał mi się dzisiaj wyspać, mieliśmy w nocy tylko jedną pobudkę - odpowiedziała z dumą i uśmiechem, który sprawił, że była jeszcze piękniejsza.

Kudłata pomyślała sobie, że chciałaby umieć tak przyjmować komplementy, jak robiła to Bazylia. Ona sama, podobnie jak większość kobiet, zawsze krygowała się i na miłe słowa odpowiadała: „E, nieprawda, no co ty”. Zaraz też wyliczała: a tu jestem za szara, a tu rozmazana, a tu pryszcz, a tu zmarcha, a tu wałek z tłuszczu, a tu w ogóle beznadzieja. Kudłata zrozumiała, jaką głupotę popełniała. Pomyślała, że jeżeli jeden człowiek ubierze w słowa pozytywną myśl o drugim

człowieku, to znaczy, że albo tak faktycznie myśli i nie ma co go zbijać z pantałyku, bo a nuż ma rację, albo chce się tylko podlizać. Niezależnie od intencji dobre słowo trzeba wykorzystać i wprawić się w pogodny nastrój. Przecież komplementy po to właśnie są, żeby się w nie pięknie otulić jak w kaszmirowe szale i ich z siebie nie zdejmować przez cały dzień albo nawet przez całe życie. „O nie! Nie będę dłużej tarzać się w rozlazłej kupie swoich niedoskonałości i od tego momentu nie będę zdejmować swoich kaszmirowych szali! Każdy z nich będę nosiła z uśmiechem i dumą. Tak jak Bazylia”, rozmyślała Kudłata.

- Właściwie jak ty to robisz, Baza, że się z wszystkim wyrobisz? - wypaliła nagle Szabla.

Było to dziwne pytanie, bo Szablę rzadko interesowały tematy egzystencjalne, była na to zbyt konkretna.

- Wyrobię w sensie, co? - odpowiedziała perfekcyjną składnią Bazylia.

- No, duża ilość dzieci - zarechotała Szabla. - I dom, i pies, i kot, i obiad, i zakupy, i ogródek, i ziółka na parapecie, i sprząatanie, i pranie. Na dodatek zawsze jest u ciebie tak jakoś fajnie... Ciepło... Jakoś mi bliżej do ciebie za miasto niż do własnego domu. - Szabla właśnie dokładnie wyraziła myśli Kudłatej.

- Jak już przeleziesz przez to szczerze pole z przystanku do mojego domu i cię wichura nie porwie, to nic dziwnego, że wydaje ci się być przytulnie - zachichotała Bazylia. - Tak naprawdę to trochę kwestia

organizacji, której trójka dzieci uczy szybciej i lepiej niż wszystkie profesjonalne kursy razem wzięte, i trochę kwestia nieprzejmowania się. W końcu nie wszystko i nie zawsze musi być zrobione perfekcyjnie. Ostatnio zauważyłam, że im mniej się przejmuję, tym lepiej mi wychodzi. Poza tym gdyby tu wkroczyła perfekcyjna pani domu, to by mnie wyśmiała. Zauważ, że u nas zabawki rozlażą się z dzieciennego pokoju na cały dom, a kiedy już jakieś pomieszczenie cudem uniknie zdziecinnienia, to na pewno zagnieżdżą się w nim elektroniczne badziewia mojego męża, psie gryzaki, kocie myszaki i babskie fatałaszk.

- No i to właśnie jest synonim fajnego, ciepłego domu, choć oczywiście wbrew instrukcjom perfekcyjnej pani domu - śmiała się Kudłata. - Ciekawe, co by powiedziała, gdyby zobaczyła teraz moje mieszkanie. Nie byłam w nim od dwóch dni, więc na pewno kocie lulasy krążą po całym domu, służąc za zabawki do gonienia. Chyba że Obolały zapomniał dać psiemu żarłakowi jeść, to będzie czysto, bo zeżre nawet kocie jedzenie. Wszystkie zwierzaki masowo kłaczą, więc ilość futra na podłodze przekracza ludzkie pojęcie. Poza tym sterty brudnych albo niewyprasowanych ubrań zapewne nadal zasypują kanapę, bo nie wierzę, że się same wyprały, wyprasowały, złożyły, kiedy mnie nie było. A surowa ryba to już chyba uciekła z lodówki.

- No i właśnie to jest normalny dom - stwierdziła Szabla i roześmiała się. - Ha, ha, nie martw się, Kudłata, u mnie też by tak wyglądało, jakbym miała jakiegoś

zwierzaka, dlatego właśnie nie mam. Ulubieńca trzymam w stajni, a nie we własnym łóżku.

- Ha, ha, ale to zabrzmiało, Szabla. To Obolałego też mam do stajni dać? Poza tym myślę, że nie trzymasz Korca - tak się nazywał ulubiony gniady konik Szabli - w łóżku tylko dlatego, że się rozpycha kopytami i swoim tłustym, końskim zadem - chichrała się już na dobre Kudłata.

- Mój Korniszon - Szabla nie lubiła, kiedy zdrobniało się imię jej ulubieńca - nie jest otyły, tylko dobrze zbudowany - odparła nieco urażona.

- Ha, ha, ha! - Obie kumpele wyobraziły sobie tłustego Korniszona w łóżku i wybuchnęły szczerym śmiechem.

- Poza tym, ty masz Gazele - przypomniała sobie Kudłata.

Gazela była nieprzyzwoicie chudą współlokatorką Szabli, która tłumiała napady głodu, szorując całe mieszkanie na błysk. Miewała te ataki co najmniej dwa razy w tygodniu, dlatego wszystkie pomieszczenia wyglądały jak wylizane. Sterylność w połączeniu z białymi ścianami i czarnymi meblami czyniła z mieszkania Szabli zimną, nieprzytulną galerię. Dziewczyna usilnie próbowała je oswoić, zrzucając śmierdzące buty do jazdy konnej i czapsy na świeżo umytą podłogę, ale kończyło się to sugestywnym chrumkaniem i obrażoną miną złej, bo głodnej, współlokatorki. Szabla wołała się więc nie narażać, w końcu musiały jakoś razem egzystować, bo tego

wymagały liczne rachunki, które w wersji na jednego płatnika prezentowały się przerażająco niewykonalnie.

Szabla zastanawiała się, co by było, gdyby Gazela czasem zjadła coś normalnego, czyli niepozbawionego tłuszczu. Możliwe, że trafiłaby na izbę przyjęć z ostrym brzuchem, bo po wielu latach jedzenia surowej marchwi, brokułów, sałaty, szparagów oraz z rzadka smętnego kurczaczka z parowaru już chyba nie miała czym strawić zrazika z sosikiem, ziemniaczkami i buraczkami z masełkiem. Szablę czasem korciło, żeby do suchego ryżu dorzucić Gazeli łyżeczkę masełka, ale bała się reakcji dziewczyny, która miewała wahania nastroju. W jednej chwili potrafiła przejść od stanu zadowolenia do wściekłości i depresji. Dlatego właśnie Szabla zwykle jadła na mieście, w stajni, z rzadka u rodziców, a częściej u Bazylia, żeby samym zapachem potraw nie drażnić Gazeli, bo dieta Szabli była przeciwieństwem diety współlokatorki. Jadła wszystko, co się przed nią postawiło, a im tłuszciej, tym lepiej. Jej praca i dobre geny sprawiały, że wcale nie było tego po niej widać. Za sprawą kilku godzin codziennie spędzonych w siodle wyglądała rewelacyjnie. Szabla uwielbiała swoją pracę, prowadziła lekcje jazdy konnej, latem organizowała obozy jeździeckie dla dzieci i dorosłych, no i sama objężdżała codziennie jednego lub dwa młodziaki, czyli wierzchowce, które musiały się jeszcze uczyć chodzenia pod siodłem. Nie lubiła tylko zimna. Latem potrafiła siedzieć w stajni od rana do nocy, a zimą wpadała, robiła, co do niej należało, i uciekała na ciepłą herbatę lub obiadek do Bazylia albo rodziców. Teraz nad kubkiem

cieplej kawy też rozmyślała, jak sprawić, żeby zima była mniej zimna. I wymyśliła.

- Wyspy Kanaryjskie!

- No są takie - jak zwykle przytomnie odparła Kudłata.

- Musicie ze mną wyjechać na Wyspy Kanaryjskie - stwierdziła spokojnie Szabla.

- No dobra, tylko bikini spakuję i możemy wychodzić - powiedziała uchachana Bazylia.

- Oj, no, nie tak natychmiast. Dziewczyny, ja wszystko przemyślałam, od trzech lat oszczędzam. Głównie na obiadach, które jem u ciebie, Baza, więc właściwie to ty oszczędzasz. Antonina da radę się sfinansować, Kudłata wywęszy wysyp u Obolałego i przejmie kasę we właściwym momencie, i jedziemy. Teraz nie ma sezonu, trzeba zapolować na *last minute*. Na Kanarach jest zawsze ciepłutko, przez cały rok. Jedziemy grzać zady, kobiety! - mówiła coraz bardziej z siebie zadowolona Szabla.

- No jasne, Szabla, nie pomyślałaś tylko, że ja mam dyżury ustawione na trzy miechy do przodu - odparła Kudłata.

- Oj, piętrzysz trudności. A jakbyś się pochorowała na tydzień?

- Lekarze nie chorują, mamy zakaz - śmiała się Kudłata.

- U nas młody jest jeszcze trochę za młody, takie samolotowe wycieczki to dopiero po szóstym miesiącu,

Szabla - odpowiedziała Baza.

- Oj, nie przesadzaj, Baza, skoro niektórzy jeżdżą z dziećmi na koniec świata, do dżungli, na koło podbiegunowe, to ty się możesz na Kanary ruszyć! - Szabla nie chciała dać za wygraną.

- No fakt, są ludzie, którzy nawet z bardzo małymi dziećmi podróżują na koniec świata, jeżdżą w dziwne miejsca, niebezpieczne, głośne. Chcą udowodnić, że dziecko nic w życiu nie zmienia i wszystko się da. Ja wiem, że się da, ale po co? Po to, żeby umęczyć siebie i dziecko? Bez sensu, ten okres, kiedy dzieci są małe tak szybko mija i tak obfituje w intensywne emocje, że nie ma sensu ich sobie dokładać. Dziecko zmienia w życiu bardzo dużo i nie ma co udawać, że jest inaczej, ale na pewno dużo więcej się zyskuje, niż traci. Ja ciągle nie mogę uwierzyć, że mój synek ma już cztery latka, zawsze będzie moją małą dzidzią... - I Bazylia, jak to mama, rozkleiła się na dobre.

- OK, Baza, przestań mnie już wzruszać, bo zawsze po pobycie u ciebie zachciewa mi się bąbelka, a nie jestem pewna, co do wyboru kandydata na tatusia takiego bąbelka. A właściwie, przypominam, miałaś mi coś zeznać o mojej niedoszłej sąsiadce - zmieniła temat Kudłata.

- A, fakt - pozbierała się do kupy Bazylia. - No więc widziałam wczoraj tę twoją sąsiadkę, dziwnie się zachowywała i obściskowała się z jakimś nowym dziadem.

- Trudno, żeby się obściskowała z poprzednim - Szabla zaprezentowała czarny humor.

- Wiesz, skoro była narzeczoną, to wydaje mi się podejrzane, że dwa tygodnie po pogrzebie już się z innym miętoli. Chyba jakaś żałoba obowiązuje, nie?

- A może to był jej brat albo jakiś znajomy? - zapytała Kudłata.

- Oj, wierz mi, nie brat i nie dalszy znajomy. Ja tam wstydliva nie jestem, ale dzieciom to oczy musiałam zasłaniać.

- No to dziwne faktycznie. Moja mama mówiła, że ona była taka trochę narwana i awanturna, z drugiej strony inspektor Boski-Męski wspominał, że bardzo wymownie prezentowała żałobę.

- Wiesz, przed inspektorem mogła udawać, co chciała. Przecież to aż kusi, żeby takiemu ściemniać - stwierdziła Szabla.

- Po co, ja nie ściemniam - skwitowała Kudłata.

- E, bo ty to w ogóle nieżyciowo uczciwa jesteś - odparowała Szabla.

- Liiiii - usłyszały nagle z pokoju obok.

- O, koniec kawki, teraz będzie mleko. Już nadchodzi mleczna kraina, bobasie! - zawołała Bazylia, kierując się do pokoju swojego synka.

Rozdział 10

Szabla wracała do domu w dobrym humorze.

Jeźdźcy byli dzisiaj mało upierdliwi. Należeli do stałej ekipy, więc niczego nie musiała tłumaczyć. Szło im całkiem dobrze, nawet pokusili się o kilka skoków w grupie galopującej. Jej koniki objazdowe też dzisiaj były wyjątkowo spokojne.

Myślała o wieczornej randce w ciemno, na którą się umówiła. Antonina ostrzegała ją przed randkowiczami, których poznawała przez Internet, ale Szabla twierdziła, że sporo świrów spotyka codziennie na ulicy i jeden więcej na randce niewiele zmieni. Umawiała się zawsze w miejscu publicznym, w jakiejś kawiarni albo knajpie. Dzisiejsze spotkanie miało się odbyć w jej ulubionym klubie. Kandydat na faceta sam wpadł na ten pomysł, więc Szabla stwierdziła, że dobrze rokuje.

Gdy weszła do domu, jej nozdrza wyczuły zaskakującą woń. W mieszkaniu zwykle pachniało środkami czystości, czasami cytryną, jeżeli Gazela miała dzień koktajlu cytrynowego (sok wyciśnięty z dwóch

owoców i gorąca woda po brzeg kubka - miało to służyć regenerująco, prozdrowotnie i oczyszczająco, choć Szabla nie bardzo wiedziała, z czego Gazela chciała się oczyszczać). Dzisiaj dało się wyczuć woń słodkiego kurczaka...

Zadziwiająca.

Przechodząc przez korytarz, Szabla zauważyła przewrócone obcasiki Gazeli, dalej były jak rzucony płaszcz i kilka siatek z supermarketu. Hm...

Szabla zaczęła się na serio martwić.

Ostrożnie weszła do pokoju.

Gazela siedziała na podłodze przed kanapą, wokół niej walały się torebki po pieczonym kurczaku i puszki coca-coli (nie light!). Na stoliku stał wielgaśny, słodko pachnący tort z wyjedzoną na środku dziurą. Wtedy dopiero Szabla spojrzała na twarz Gazeli.

Zrozumiała wszystko.

- A alkohol masz? - zapytała tylko, nie zdejmując kurtki.

Zapłakana Gazela pokręciła przecząco rozczochraną głową.

- Jestem za minutę, nie ruszaj się, wszystko będzie dobrze - wyrzuciła z siebie Szabla i wykonała szaleńczy bieg do Żabki po dwa wina i wódkę. W drodze do domu capnęła kilka folderów z osiedlowego biura podróży.

- No chodź do mnie - Szabla przytuliła Gazelę nadal siedzącą na podłodze. - Co zrobić?

Wiedziała, że chodziło o Żabola, wstrętnego faceta Gazeli. Szabla nie trawiła go organicznie od momentu, gdy usłyszała jego rozmowę z kumplem. Żabol, siedząc w swojej beemce, chwalił się stanem posiadania, mówił: „Taki ze mnie facet, że skóra, fura i chuda rura, he, he, he”. Szabla winiła go za wszelkie odjazdy Gazeli i miała rację. Poza tym kiedy wieczorem przyjeżdżał po dziewczynę, to zamiast wejść po nią do mieszkania i przywitać się jak normalny, wychowany facet, siedział pod blokiem przyspawany do swojej beemki i trąbił klaksonem, aż Gazela do niego zeszła. Szabla w takich momentach dostawała napadu wściekłości, podobnie jak większość mieszkańców bloku. Jednak Żabol był łysy, duży i zwykle przyjeżdżał z kolegami, więc każdy bał się zwrócić mu uwagę.

- No już, już, nie rycz - pocieszała niewprawnie Szabla. - Zobacz - otworzyła folder biura podróży na stronie, która prezentowała wielokilometrową, pustą plażę cud. - Tu pojedziemy i odpoczniemy od durnych dziadów. No to powiesz mi, co się stało?

- Znalazł chudsza! Beeee!

Rozdział 11

Szabla stanęła przed biurem podróży Diuna Travel. Wyglądało luksusowo. „Możliwe, że nie splajtuje do czasu naszej wycieczki”, pomyślała i weszła do środka.

Wnętrze prezentowało się równie bogato, ściany były oblepione relaksującymi zdjęciami plaż. Na środku pomieszczenia stało olbrzymie biurko, zza którego zachęcająco uśmiechała się elegancko ubrana panienska z nienagannym makijażem. Szabla nie przepadała za tym typem kobiet – zawsze perfekcyjnych od paznokci u stóp po rzęsy, w idealnie dopasowanych garsonkach i z przyklejonym kpiącym, wymuszonym uśmiechem. Szabla przymknęłaby oko na te mankamenty panienski, gdyby nie jeden ledwie widoczny błąd, który ta popełniła. Mianowicie zmierzyła Szablę szybkim, taksującym spojrzeniem od stóp do głów i na jej twarzy przez ulotną chwilę pojawił się wyraz pogardy. To ocenianie trwało mniej niż sekundę, ale zdecydowanie wystarczająco długo, żeby wkurzyć Szablę.

Szabla podeszła zatem do panienki nonszalanckim krokiem, eksponując swoje lekko zdarte bojówki i ubrudzone trapery, po czym opadła na przepastny, wygodny fotel co najmniej jak gwiazda filmowa, zręcznie przerzucając swoją nieprzemakalną kurtę w kratę przez oparcie drugiego fotela. Z włóczkowej torebki wygrzebała folder i pokazała panience zdjęcie plaży cud.

- Tu chciałabym jechać.

- Uhm... - panienka spojrzała niechętnie.

Już wydawała się znudzona, nie wierzyła, że ta klientka przyniesie jej premię od zamówienia.

- Playa de Sotavento Fuerteventura, to są Wyspy Kanaryjskie.

- Uhm... - mruknęła Szabla, naśladowując znudzony ton panienki.

- Mamy sporo ofert z tamtych rejonów, ale może wspomnę od razu, że ceny są dość wysokie. Chętnie zaproponuję pani Egipt albo...

- Chyba wyraziłam się jasno i pokazałam szanownej pani paluszką, żeby nie było wątpliwości, dokąd chcę jechać - odparła z fałszywym spokojem Szabla.

- Tak, oczywiście - powiedziała nieco zbita z tropu panienka i wyciągnęła kilka kolorowych gazetek. - Tutaj mamy folder ze wszystkimi wyspami, a jakiego typu lokum pani by sobie życzyła? Hotel? Hostel? Domek? Od razu wspomnę, że te zlokalizowane przy plaży są droższe. Tu są hotele z basenami. Najlepszy jest pięciogwiazdkowy, dysponuje on szeroką ofertą

animacyjną, ma cztery baseny oraz brodzik i jacuzzi. Oczywiście zewnętrzne. Oprócz tego jest spa, basen wewnętrzny, trzy restauracje i bar przy basenie, piękne pokoje z widokiem na ocean i wielokilometrową, piaszczystą plażę zaczynającą się tuż przy hotelowym ogrodzie. Cena za osobę jest podana tutaj – panienka wskazała wymanikiurowanym pazurem róg strony. Szabla spojrzała i zastygła.

- To jest oczywiście cena za tygodniowy pobyt jednej osoby w pokoju dwuosobowym, dojazd własny.

- Słucham? Jak to własny? Przecież to na Atlantyku leży. Mam rowerem dojechać? – zapytała zbulwersowana Szabla.

- Leży, trzeba samolotem dolecieć, tu są ceny za przelot naszym czarterem, od osoby oczywiście. Tu limit bagażu. Większy za dopłatą – panienka zarzucała Szablę jakimiś świstkami z wyrazem źle ukrywanej satysfakcji.

- No dobrze, a hotel mniej gwiazdkowy istnieje? – spasowała Szabla.

- Jasne. I może sprawdzimy jeszcze przelot balonem?
- zapytała już bez oporów panienka.

Szabla wykazała maksimum opanowania. Cicho i dobitnie powiedziała:

- Z szefem poproszę.

- Szef dysponuje tymi samymi ofertami... – zaczęła panienka, ale Szabla nie dała jej skończyć.

- Jeżeli w tej chwili nie skontaktuje mnie pani z szefem, to sama znajdę do niego numer i tak panią

obsmaruję, że w żadnej firmie pani nawet do sprzątnia nie przyjmą!

Szabla już nie panowała nad swoim głosem. Lata pracy w hali, w której musiała przekrzykiwać tętent końskich kopyt, zrobiły swoje. Mówiła bardzo donośnie, mimo że nie krzyczała. Jeszcze...

- Pani Karolinko, co się tutaj dzieje? - zza bocznych drzwi wychynęła męska twarz. Całkiem przystojna twarz.

- Nic, szefie...- zaczęła panienka.

- Jak to nic? Wręcz przeciwnie - zagrzmiała Szabla. - Pani Karolinka - tu podkreśliła zdrobnienie lekkim uśmiechem - obraża klientkę pańskiego biura.

- Ja nie... - próbowała zaprzeczyć pani Karolina.

- Ależ tak! - grzmiała nieźle już wkurzona Szabla.

- Oj, proszę pań, na pewno da się tę sytuację jakoś wyjaśnić - powiedziała z rozbijającym uśmiechem przystojna męska twarz i zza drzwi wysunęła się reszta szefa. Reszta też była niczego sobie: ponad dwumetrowa, dobrze zbudowana oraz, ku uciechu Szabli, ubrana w bojówki i luźną koszulę.

- Bizon. - Właściciel i twarzy, i reszty podał rękę Szabli. - Jacek - dodał z szerokim uśmiechem. - Pani Karolinko, może ja z klientką porozmawiam, już i tak zbliża się pani przerwa na luncz.

Pani Karolinka posłusznie wstała, swoje wypielegnowane jestestwo wcisnęła w zbyt opięty płaszczyk od co najmniej Zary i wyszła. Bizon też się zdematerializował, ale po chwili powrócił z dwiema

filizankami pachnącej kawy, mimo że wcale nie zapytał Szabli, czy ma ochotę na coś do picia. Dziewczyna była w bojowym nastroju, więc w pierwszej chwili chciała go ofuknąć, ale kiedy filizanka z aromatycznym płynem wylądowała przed nią, a wielki przystojniak zapytał, czy życzy sobie śmietanki i cukru, od razu zmiękła. Pomyślała: „Dziwne, mało kto potrafi tak na mnie działać. To pewnie wina tej kawy. Może dodają do niej ziółka uspokajające albo tabletki gwałtu, żeby klienci zgadzali się na wszystko”.

- Widzę, że interesuje panią wyjazd na najpiękniejszą z Wysp Kanaryjskich. Zwiedziłem wszystkie wyspy należące do archipelagu i uważam, że dokonała pani doskonałego wyboru. Teraz trzeba tylko dobrać odpowiednią ofertę zgodną z pani oczekiwaniami. Już moja w tym głowa.

Tak zaczęła się długa rozmowa zakończona wyborem kilku rewelacyjnych hoteli w całkiem przystępnych cenach. Potem owocna rozmowa rozkwitła na nowo, choć już kompletnie nie dotyczyła oferty sprzedaży wycieczki. Ważne, że Szabli dobrze siedziało się w tym biurze i przegadała z panem Jackiem prawie dwie godziny. Umówili się na następny tydzień na dokonanie ostatecznej rezerwacji po konsultacjach z koleżankami.

- Ale rozumiem, że jestem umówiona z panem, a nie z panią... Karolinką?

- Ja zawsze kiedy się umawiam, jestem punktualnie i osobiście - odparł, staroświecko całując dłoń Szabli na pożegnanie.

Zazwyczaj w takiej sytuacji odzywała się w Szabli feministka. Dzisiaj jednak nie cofnęła dłoni, bo poczuła się całkiem miło. „O *shit!*”, zaklęła w duchu Szabla, bo właśnie przypomniała sobie o wczorajszej niedoszłej randce. Biedak musiał czekać na nią w knajpie, kiedy ona zajmowała się załamana Gazelą. „*Shit, shit*, trudno, trzeba jak najszybciej przeprosić chłopaka przez kompa. I namówić dziewczyny na wyjazd, też jak najszybciej”. Szabla spojrzała na zegarek. Oj, nie, jak najszybciej to musiała lecieć na jazdy! I z głową pełną myśli dziewczyna pędziła przez miasto, kompletnie nieświadoma wielkiego uśmiechu na swojej twarzy.

Rozdział 12

Inspektor Milewski nie był zadowolony z postępów śledztwa.

Siedział w swoim mieszkaniu, w starym, ulubionym fotelu straszliwie już zniszczonym przez kotkę Fugę, która uznała, że oparcie mebla jest najlepszym drapakiem na świecie. Inspektor sącył całkiem niezłe, jak na bezokazyjne, wino i wchłaniał najnowszą płytę Diany Krall. Obawiał się, że sprawa Diunskiego będzie jedną z tych nierozwiązanych zawałających archiwum. Bardzo nie chciał, żeby tak było. Nie tylko z tego powodu, że przypadek wydawał się nader intrygujący, ale też dlatego, że pewna młoda, ciekawska osóbka była tak bardzo pewna, że on tę sprawę rozwiąże. Ze zdziwieniem zauważał, że zależy mu na zdaniu tej osóbki. Jego myśli krążyły wokół śledztwa: „No tak, biuro teoretycznie czyste. Skarbówka pewnie przyczepiłaby się do czegoś, ale z karniaka nie ma im czego wlepić. Przyjaciel denata, Bizon Jacek, uczciwy do bólu, ale jeszcze go trochę pośledzimy, bo alibi ma średnie, był sam w domu. Syn wydaje się w porzo, trochę narwany, szczególnie

muzycznie, ale póki grzmoty i tłuki wpadają tylko do jego głowy przez słuchawki, to nie ma się do czego przyczepić. Alibi też ma średnie. Był z dziewczyną. Ta potwierdziła, ale dziewczyny często potwierdzają. No i żony. Aż trzy, ale one akurat mają dobre alibi, potwierdzone przez kilka osób, a dwie przez siebie nawzajem. To jeszcze trzeba dopracować co najmniej do trzeciej linii znajomych. I też je pośledzić... No i Kudłata... Gdyby Kudłata zabiła Diunskiego, to chyba raczej zwiąłaby z miejsca zbrodni, jak piszą w każdym nawet marnym kryminale, a nie zostawiałaby odciski palców dookoła denata. Roztrzepana może i jest, ale za to logiczna”.

Tim-tim, tim-tim, tim-tirim-tim-tim - popłynęły dźwięki charlestona z komórki Milewskiego.

- No, co tam? - odebrał, widząc, że telefonuje jeden z funkcjonariuszy, którzy mieli śledzić niedoszlą żonę Diunskiego.

- Dziwna rzecz, szefie, baba łązi razem z jakimiś typami już od godziny dookoła mieszkania denata, a teraz to się chyba włamują do piwnicy. Interweniować?

- Hm, na razie obserwujcie i na bieżąco dawajcie mi znać, co tam się dzieje. Już do was jadę - odpowiedział. - Może znajdą to, czego szukają, i będziemy trochę bliżej rozwiązania sprawy...

„Tylko trzeba ich w odpowiednim momencie zgarnąć”, pomyślał.

Rozdział 13

Tego dnia Kudłata wstała lewą nogą i absolutnie wszystko szło jej jak po grudzie. Stwory wcale nie chciały się rano obudzić, Obolały też nie miał zamiaru wstawać z łóżka, więc to Kudłata musiała biec na poranny spacer z psem Cystofiksem. Ciuchy wcale nie chciały się znaleźć, a jak już się znalazły, to okazywało się, że są albo brudne, albo niedopasowane. Wysiłki dopasowania od razu niweczyły koty, kłacząc na wszystko obficie. Tramwaj uciekł, a następny nie chciał przyjechać. Szef nie był wyrozumiały dla spóźnionej Kudłatej podobnie jak czekający pacjenci. Na domiar złego zepsuł się jedyny w całym szpitalu ekspres do kawy i dostępne były tylko „rozpuszczalniki”, co oznaczało, że Kudłata została pozbawiona swojej codziennej przyjemności. Zasadniczo poziom zdenerwowania lekarki oscylował już między krzykiem a płaczem. Co w takich momentach działa najlepiej?

- Halo, córcia?

- No tak, mamó, dzwonisz do córki, więc córka - odparła Kudłata nieco wkurzona, że jedną ręką musi pisać tysięczną receptę, a drugą trzymać telefon. Wolała jednak odebrać, bo wiedziała, że po pierwsze matka nie odpuści i będzie dzwoniła do upadłego, a po drugie, jeśli już odpuści, to albo się obrazi, albo zamartwi na amen. Każde rozwiązanie było złe, najlepiej było więc odebrać i wypisywać recepty z mamą przy uchu.

- Twój rowerek został zniszczony - usłyszała w słuchawce grobowy ton mamy i usilnie próbowała sobie przypomnieć, o jaki rowerek chodzi i czy ona w ogóle ma jakiś rowerek.

- Halo, córka, przejęłaś się?

- Rany, czym? Jaki rowerek, mamó? Ja w pracy jestem - rzuciła do słuchawki i wróciła do rozmowy z pacjentką. - Zapisałam pani antybiotyk. Tak, to na pewno zapalenie oskrzeli. Zdjęcie RTG płuc jest czyste, ale osłuchowo mi się nie podoba. No i parametry stanu zapalnego podwyższone. Tu zapisałam, jak brać leki, ale co najmniej siedem dni proszę i potem na kontrolę do lekarza rodzinnego. Tu jest jeszcze probiotyk, a tu leki wykrztuśne, dawkowanie tutaj, a na noc to tutaj - tłumaczyła Kudłata, palcem wskazując zapisy na receptach, po czym rzuciła do telefonu:

- Mamó, ja nie wiem, jaki rowerek.

- Jaki biotyk? Co na noc? To wieczorem było, nie w nocy! No twój rowerek, ten trzykołowy, kanarkowy.

- A, o matko! - westchnięcie lekarki zaskoczyło pacjentkę. - Nie, to nie do pani. To już wszystko, do

widzenia.

Kiedy kobieta wyszła z gabinetu, Kudłata huknęła do telefonu:

- Mieliście jeszcze moją małą srakę?

- Kanarkowy był, nie sraczkowaty. Uch, powtarzam ci to całe życie... No nic, chciałam powiedzieć, że mi bardzo przykro, ale rowerek nie przeżył, bo jak weszli ci policjanci, to jeden się oparł, a wiesz, tam była ta ścianka, co to wujek w nią wjechał po pijanemu i stawiali z tatą - Kudłata jak przez mgłę pamiętała wydarzenia sprzed dwudziestu lat i nic nie rozumiała z potoku słów mamy.

- Mamo, ale co ma wujek do rowerka, rowerek do ścianki i ścianka do policjanta? A właściwie dlaczego był u was policjant? I gdzie? W piwnicy? I niszczył stare rowerki felernymi ściankami? Dlaczego?

- No przez tego twojego inspektora, on to zarządził!

- Jakiego mojego? - zarumieniła się Kudłata. Trochę nie w porę, bo do gabinetu tarabanił się już następny pacjent. - No i co zarządził? Zbiorowe niszcycielstwo dziecięcych, sraczkowatych rowerków ściankami działowymi?

- Nie, no przeszukanie zarządził, bo się okazało, że już ktoś te piwnice przeszukał przed nimi i chyba nie chcieli być gorsi.

- Od kogo gorsi?

- No mówię przecież, że od przestępcy. Tego mordercy pewnie, bo on zabił, a teraz szuka czegoś

i najpierw on przeszukał, a potem chciała przeszukać ta, wiesz, Pinda-Lafirynda - tak mama Kudłatej zaczęła nazywać niedoszłą byłą żonę Diunskiego, od kiedy dowiedziała się, że po śmierci narzeczonego niezwykle szybko zaczęła pocieszać się w ramionach innego. - A policjanci śledzili Pindę-Lafiryndę i trach, wpadli, narobili rabanu, ją wzięli na spowiedź na komisariat, a nam kazali mówić, czy co nie zginęło.

- Aaaa, i zginął rowerek?

- Ty mnie w ogóle nie słuchasz, no właśnie dziwne, bo wszystko przeryte w naszym wejściu do piwnicy, ale nic nie zginęło. Tylko ten policjant oprał się i ta ścianka przewróciła się prosto na rowerek, chociaż też dziwne, bo dwadzieścia lat stała, a naporu władzy nie wytrzymała.

- Kto by wytrzymał... - filozoficznie podsumowała Kudłata i zaprosiła do gabinetu następnego pacjenta.

Rozdział 14

- Możesz powtórzyć? Coś ty zrobiła? - Antonina trzymała się za brzuch odziany w idealną garsonkę w kolorze fuksji i śmiała się do rozpuku.

- No nawóz, znaczy się końską kupę wrzuciłam mu do samochodu - powiedziała Szabla z nieukrywana dumą.

Wreszcie przyjaciółkom udało się umówić na kawę. Były w komplecie, a nawet w zestawie powiększonym o Obolałego i najstarszą oraz średnią latorośl Bazylii. Porozmawiać mogły prawie spokojnie. Prawie, bo znajdowały się w dzidzioraju, czyli olbrzymiej sali zabaw dla dzieci wypełnionej dmuchanymi zamkami, zjeżdżalniami, drabinkami i basenami z piłkami. Dzieciaki Bazylii ulotniły się natychmiast i wtopiły w tłum szalejących, skaczących i krzyczących kilkulatków. Obolały bąknął coś o studiowaniu dziecięcej psychiki oraz szukaniu inspiracji do nowych projektów artystycznych i całkiem niezłe zasymilował się z resztą zadowolonej czeladki. Czasami pojawiał się w polu widzenia i Kudłata mogłaby przysiąc, że na jego twarzy widniał autentyczny

uśmiech. „Może jednak byłby fajnym ojcem... Uch, ale ojciec musi być i fajny, i odpowiedzialny... Może...”, zadumała się dziewczyna.

Na szczęście ktoś litościwy pomyślał o rodzicach bawiących się pociech i zrobił niewielką wnękę z kilkoma stolikami w dorosłym rozmiarze. W barku przy wejściu można było kupić zaskakująco pyszną kawę, która nie była ani na niby, ani w różowej filiżance, tylko w wielkim kubasie. W pomieszczeniu było tylko trochę głośno. Bazylia oceniała ten poziom hałasu jako normalny, według Szabli był do zniesienia, dla Kudłatej oznaczał jawne niszcycielstwo bębenków słuchowych, z kolei według Antoniny w sposób karalny przekraczał normę i był nie do wytrzymania.

Szabla miała tak donośny głos, że potrafiła przebić się nawet przez okrzyki radości wydobywające się, na oko licząc, z czterdziestu dziecięcych gardełek.

- Ale dlaczego mu wrzuciłaś tę kupę? I skąd ją miałaś? - Kudłata próbowała dorównać głośnością Szabli.

- Mówiłam wam, jak paskudnie potraktował Gazełę, no więc kiedy po tygodniu udało mi się ją wreszcie względnie postawić na nogi za pomocą dużej ilości alkoholu i sernika... Więc po tygodniu udręki...

- Mmm, alkohol i sernik... Nie brzmi jak udręka - wtrąciła Bazylia.

- Wiktuały były niezmiernie istotne dla sprawy, ale spowodowały, że moje cielsko powiększyło się o trzy kilogramy. W każdym razie wyobraźcie sobie, że ten palant, Żabolec, miał czelność chcieć jeszcze czegoś od

Gazeli. Szczęśliwie tego dnia pracowała do późna. A ten podjechał pod balkon i trąbił tym swoim klaksonem. Debil.

- Debil - potwierdziły wszystkie zebrane.

- No to mu wrzeszczę z balkonu, że Gazeli nie ma i dla niego już nigdy nie będzie. I wyobraźcie sobie, że mi nawet nie odpowiedział, tylko otworzył ten cholerny dach swojego cholernego samochodu, pokazał mi środkowy palec i dalej trąbił.

- Ojjj! - przyjaciółki wiedziały, czym się kończy wkurzanie Szabli.

- No to wzięłam wiadro stojące na balkonie, bo wiecie, przyniosłam właśnie świeży nawozik ze stajni, postawiałam na tym balkonie, żeby wywietrzał trochę, bo chciałam nim przed wiosną kwiatki zasilić... Ale nie zdążył, znaczy się, wywietrzeć nie zdążył - zachichotała Szabla. - I jebut, walnęłam kupą z drugiego piętra w ten samochód i, wyobraźcie sobie, trafiłam prościutko w otwarty dach - cieszyła się Szabla. - Żabol puścił taką wiązanekę, że jak żyję, podobnej nie słyszałam, a stajenni potrafią niezłe zakląć!

- Ha, ha, ha!!! - radość koleżanek była porównywalna z uciechą wszystkich dzieciaków w sali zabaw.

- Jak myślisz, Antonina, Żabol może mi coś zrobić za nawiezenie skórzanych obić jego auteczka? - dopytywała się Szabla.

- E tam, wiało ostatnio, mogło samo kupą zawiąć, a ludzie z domów nie wychodzili, pewnie nikt cię nie

widział na tym balkonie. Sąsiedzi na pewno nie zeznają, że rzucałaś kupą z rozmysłem. Co prawda mienie Żabola jest śmierdzące i ufajdane, ale uszkodzenia są pewnie minimalne. Nic ci nie grozi, przynajmniej na drodze sądowej - uspokoiła ją Antonina.

- No to super, bo ubaw miałam rewelacyjny - cieszyła się Szabla.

- Ty tylko uważaj, żeby cię z kolegami na drodze niesądowej nie spotkał - powiedziała ostrożnie Bazylia.

- E tam, biegam szybko, a z niego taki osiłek, co to robi trzy ruchy i puchnie, mięśnie ma napakowane sterydami, a nie siłą, mam rację Kudłatka?

- A tak, tak, i wybrałaś, powiem ci, najlepszy sposób obrony. Na studiach wyłuszczał nam taki jeden doktor od fizjologii, że jak cię dopadną osiłki z mesia, to trzeba zachować spokój i uciekać. Zanim wytarabanią się z mesia i spróbują cię dogonić, to dawno spuchną, bo siłę mają, ale chwilową, a wytrzymałości zero. W końcu zwykle jest tak, że jadą mesiem, wysiadają, napięprzają, wsiadają do mesia i jadą dalej. Doktorek przestrzegał, żeby nie uciekać za szybko, bo jak taki osiłek się wkurzy i nabierze prędkości, to, jako że mięśni kupa i serce niedokrwione, może paść po drodze na zawał i trzeba się będzie wracać, żeby go reanimować.

- A, to już twój obowiązek - stwierdziła Szabla. - Ja mam obowiązek tylko uciekać.

- Mama, picia i ciacho - przypomniały o sobie pociechy Bazylia.

Obolały bawił się tak dobrze, że nawet na ciacho i soczek nie przyszedł. Kudłata była zadziwiona, nie знаła go z tej strony.

- No dobra, ale ja z wami chciałam się spotkać w innej sprawie - zaczęła dyplomatycznie Szabla. - Poszłam trochę zwinigilować to biuro podróży Diunskiego. Wydaje się bardzo profesjonalne. Wyobraźcie sobie, że znalazłam tam świetną wycieczkę w promocji!

Na słowo „promocja” każda kobieta, nawet niezwykle zrównoważona, doznaje wyrzutu adrenaliny. Jej źrenice rozszerzają się, żeby mogła lepiej widzieć metki z cenami. Mięśnie poprzecznie prążkowane stają się bardziej ukrwione, żeby mogła przegonić inną klientkę w wyścigu do tej samej rzeczy w promocji. Słuch się wyostriża, żeby dokładnie mogła usłyszeć, jak dużo zyska na zakupie. Serce przyspiesza, bo krew krąży szybciej w radosnym podnieceniu. Tak, kobieca miłość do promocji niezaprzeczalnie istnieje i jest bardzo silnym uczuciem potwierdzonym obiektywnie objawami somatycznymi.

Kiedy Szabla zauważyła u koleżanek wszystkie symptomy kobiecego uwielbienia promocji, rozpoczęła kampanię reklamową wycieczki na Wyspy Kanaryjskie. Początkowa porażka spowodowała, że dzisiaj była przygotowana do tego zadania naprawdę dobrze. Miała nawet pomoce naukowe w postaci zdjęć przecudnych, pustych, długasných plaż ciągnących się nad lazurową wodą oraz foldery z hotelami wyposażonymi w dziesiątki basenów i knajp.

- Ja wszystko sprawdziłam. Zresztą ten Bizon, znaczy Jacek, był przemiły i wszystko mi opowiedział, bo był na Kanarach. Zobaczcie, jak tam cudnie i zawsze ciepłutko - Szabla rozłożyła przed dziewczynami foldery. - Wiem już, co zwiedzić, wiem, gdzie są najcudniejsze plaże, gdzie wieje, gdzie nie wieje, gdzie dobrze zjeść. Bizon opowiadał, że tam w knajpie łowią ci świeżą rybkę, kładą ją przy tobie na grill, przyprawiają czosnkiem i po chwili podają ci gotową do zjedzenia. Pychota! Wyobraźcie sobie czyste, świeżutkie oceaniczne rybki... Nawet gdzieś tu mam nazwy tych, które są najsmaczniejsze. No i jeszcze piña coladę podobno mają najlepszą na świecie. Zresztą same spójrzcie na ten raj! - i zamachała widokiem cudnej mariny, błyszczącego oceanu. - Z takim widokiem, jak mogłaby piña colada nie smakować?!

- Mmmm...- kobiety mruczały oczarowane. I wtedy przyszła kolej na ostateczny cios.

- I wyobraźcie sobie, że ten Bizon, znaczy Jacek, może dać nam taką super promocję, że dostaniemy ten oto piękny hotel!

Szabla otworzyła folder na odpowiedniej stronie i odwracając kolejne kartki broszury, mówiła dalej:

- Z olbrzymiastymi basenami, z widokiem na ocean i z cudną plażą tuż przy hotelu. A to wszystko za jedyne... I jej palec wskazał na kolorowy folder i niezbyt wygórowaną cenę napisaną na zdjęciu cudownej plaży.

Takiej reklamie nie oparłaby się żadna kobieta. Każda z przyjaciółek widziała się już w pełnym słońcu na leżaczku na fuerteventuriańskiej plaży. Każda była

piękna, opalona i miała figurę jak pani z folderu. Każda piła bezkaloryczną piña coladę i dumiała, gdzie zje przepyszną rybkę.

Tak, tylko kasę trzeba skombinować, kupić piękne bikini i jakąś plażową sukienkę. I na jakieś masaże iść, żeby nie było widać cellulitu. I schudnąć z trzy, pięć, piętnaście kilogramów, i...

I cztery kobiece umysły rozpoczęły intensywną pracę organizacyjną.

Rozdział 15

Marzenia marzeniami, ale kobiety, wbrew męskim przypuszczeniom, są zwykle bardzo logiczne i dokonują przemyślanych wyborów.

To znaczy najpierw dokonują wyborów pod wpływem chwili, a potem, jak już przemyślą, to dokonują tych przemyślanych. Te przemyślane często są odmienne od spontanicznych, dlatego można odnieść mylne wrażenie, że kobiety nie potrafią podejmować decyzji. Ta opinia jest wierutnym kłamstwem - kobiety podejmują ich aż za dużo i czasem tylko gubią się w tym nadmiarze.

Po gruntownym przemyśleniu sprawy egzotycznej wycieczki Bazylia zdecydowała się, owszem, jechać na upragnioną Fuerteventurę, ale w przyszłym roku, kiedy najmłodsza latorośl uzyska cechy osobnika stojącego, a może nawet chodzącego, a już na pewno niewymagającego takiej ilości opieki jak obecnie. Co prawda Bazylia wiedziała z doświadczenia, że później wcale nie będzie łatwiej, bo okres intensywnie opiekuńczy zostanie zamieniony na opiekuńczo-

wychowawczy. Może będzie mniej problemu z karmieniem, przewijaniem (a zdarzało się, że wykonywali te czynności nawet kilkanaście razy dziennie), doglądaniem, za to więcej z tłumaczeniem, wyjaśnianiem, proszeniem, przekonywaniem. Czasem Bazylia zastanawiała się, dlaczego kobietom w ciąży proponuje się szkoły rodzenia, a nie kursy negocjacji. W końcu łatwiej albo trudniej, szybciej albo wolniej, ale każda „ciążarówka” urodzi. Tak wymyśliła natura. Bazylia nie знаła takiej kobiety, która się zaparła i stwierdziła, że będzie chodzić z dzieckiem w brzuchu i nie urodzi.

Trudności przychodzą później, kiedy dziecko jest już na świecie i trzeba na przykład o określonej godzinie dotrzeć do określonego miejsca w dodatku niezbyt przyjemnego dla malucha. Jak się okazuje, młody człowiek w drugim roku życia wykazuje niezwykle umiejętności w zakresie wymuszania, asertywności, mobbingu, a nawet jest skłonny do aktów represji, tyranii, wyzysku czy terroru. Toteż strona przeciwna, czyli matka, musi nie dość że poznać wszystkie taktyki małego przywódcy - a trzeba pamiętać, że ten wymyśla co rusz nowe i ćwiczy je w rozmaitych kombinacjach - to jeszcze musi opanować sztukę pokojowego radzenia sobie z nimi.

Macierzyństwo wymaga znajomości technik negocjacyjnych najwyższych lotów. I Bazylia była tego świadoma, kiedy wybierała się z synkiem do lekarza.

- Kochanie, idziemy do doktora - klasyczne zdefiniowanie problemu.

- Nie, nie, nie, nie, nie, nie idę! - faza rozbieżności.

- Kochanie, trzeba iść do doktora, doktor tylko zobaczy uszko i nic więcej - faza poszukiwania porozumienia.

- Nie, nie, nie! Ja nie chcę, nie idę, nie! - nadal faza rozbieżności plus poczucie frustracji.

- Ale jak nie pójdziesz, to uszko będzie bolało, a jak pójdziesz, to doktor da lekarstwo i przestanie boleć - druga próba podjęcia porozumienia. Zdefiniowanie korzyści i interesów obu stron.

- Nie chcę lekarstwa, nic nie boli, lekarstwa niedobre, nie, nie, nie! - tu powinna pojawić się faza porozumienia, ale narasta rozbieżność interesów oraz różnica w postrzeganiu faktów.

- Ale szybko wrócimy i zabiorę cię na plac zabaw - rozszerzanie możliwości w celu uzyskania obustronnych zysków, czyli faza przekupstwa.

- Nie!!! Mówiłem, że nie! Nie lubię cię! - angażowanie się w osobiste potyczki, frustracja i złość.

- A jak będziesz grzeczny, to doktor da naklejkę! - opracowywanie nowych możliwości i kryteriów.

- Nie!!! Buuu!!! Nie chcę naklejki, naklejki są bzydkie! - brak aktywnego słuchania, trudności w komunikowaniu się.

- No dobrze, to nie idziemy do doktora, za to może moglibyśmy iść na lody - odseparowanie od rzeczywistego problemu.

- Buu? No... - powrót aktywnego słuchania, skupienie się na celach, nie na pozycjach.

- A jakie byś chciał? Truskawkowe czy czekoladowe?
- wizualizacja zysków.

- Czekoladowe - faza wstępnego porozumienia.

- No tak, ale żeby iść na lody, trzeba mieć zdrowe uszko... Co my teraz zrobimy? ... Może szybko pójdziemy do doktora i damy lekarstwo na uszko, i pójdziemy na lody? - podjęcie decyzji odnośnie do planu działania, opracowanie nowych kryteriów i możliwości.

- No, ale kupis loda? - skupienie na zyskach, nie na trudnościach.

- Tak, ale najpierw zakładaj buciki i idziemy do doktora - porozumienie stron po opracowaniu nowych kryteriów.

I niech mi ktoś wmówi, że wychowywanie dzieci jest łatwe.

Kiedy wreszcie średnia latorośl Bazylia została umieszczona w foteliku samochodowym, napatoczyła się Słonina - wielgaśna, okrągła i, delikatnie mówiąc, średnio miła sąsiadka Bazylia.

- Podwiezie mnie pani do miasta? - usłyszała Bazylia, zanim zdążyła pozapinać pasy wierzgającemu maluchowi bawiącemu się w rodeo. Co było robić?

- Tak, oczywiście, niech pani wsiada - Bazylia z przerażeniem patrzyła, jak nadwozie jej starawej Fordki obniża się pod ciężarem Słoiny.

Bazylija szczerze uwielbiała swoje autko, choć dawno był już czas na jego wymianę, bo Fordka odmawiała posłuszeństwa średnio raz w miesiącu. Bazylija przyczepiła się do niej i nie chciała jej sprzedać. Kobiety już tak mają, czego mężczyźni zrozumieć nie potrafią. Mąż Bazylii już wielokrotnie przeprowadzał kampanię reklamową nowych aut, pokazywał wszystkie bajery, które one mają. Wyliczył, że wysokość raty za nowy samochód będzie porównywalna z kosztami, jakie miesięcznie ponosi Baza za naprawy starej Fordki. Nic z tego. To były argumenty dobre dla facetów. Kobiety wcale nie lubią nowości, bajerów, w których się gubią, systemów, których nie rozumieją i nie mają ochoty poznać. „To jak porzucić przyjaciela. Nie pozbywasz się psa, bo jest stary i niezbyt piękny, i gubi futro. Autka też nie oddam tylko dlatego, że mu się czasem coś gubi i nie chce jechać. Ty też bywasz zmęczony i nie chce ci się biegać, czy Fordce zawsze musi się chcieć?“, pytała Bazylija. Przy takiej argumentacji, mimo przekonania o własnej słuszności, mężowi Bazylii trudno było znaleźć ripostę. Przychodził mu do głowy tylko jeden atut nowych samochodów, którego kobieta nie mogła zlekceważyć, a mianowicie bezpieczeństwo. Baza jeździła głównie po dzieci i z dziećmi, więc wiedziała, że w końcu musi ulec namowom męża, ale przeciągała ten moment.

Tymczasem Słonina wygodnie rozparta w fotelu Fordki zarzuciła synka Bazylii pytaniami:

SŁONINA: No to dokąd jedziecie?

CHŁOPIEC: Na lody.

SŁONINA: (spoglądając na Bazylię jak na wyrodną matkę) A nie jest za zimno na lody?

CHŁOPIEC: Nie, mama mówi, że to wyleczy chore ucho.

SŁONINA: (spoglądając na Bazylię jak na wyrodną matkę) Masz chore ucho?

CHŁOPIEC: Tak.

SŁONINA: (spoglądając na Bazylię jak na wyrodną matkę) I nie idziecie do doktora?

CHŁOPIEC: Nie.

SŁONINA: (spoglądając na Bazylię jak na wyrodną matkę) Dlaczego?

CHŁOPIEC: Bo najpierw na lody.

SŁONINA: (spojrzenie jak poprzednio) Dlaczego?

CHŁOPIEC: Bo mama chciała.

SŁONINA: (spojrzenie jak poprzednio) Ale potem pójdziecie do doktora?

CHŁOPIEC: Tak, bo ja chciałem, bo jestem gżecny.

SŁONINA: (spojrzenie jak poprzednio; zgorszona, z żalem na stronie) Takie mądre dziecko, a ma taką wyrodną matkę. Trzeba to będzie opowiedzieć wszystkim sąsiadkom.

Dobrze, że stara, kochana, niezmiernie głośna Fordka całkowicie zagłuszyła rozmowę Słoniny z malcem, bo to oszczędziło Bazylii odrobiny stresu.

Rozdział 16

Kudłata była przywiązana do swoich decyzji tak bardzo, że gdy raz jakąś podjęła, to nie lubiła jej zmieniać. Nastawiała się na wykonanie założonego planu i już. Tym razem jednak musiała decyzję zmienić i to wbrew swojej woli.

Bikini było już kupione, fundusze uzbierane, dyżury poplanowane, ciało codziennie masowane i szczypane w celu szybkiej eliminacji cellulitu, a tu zonk. Inspektor Boski-Męski nie pozwolił jej opuszczać kraju! Był przy tym taki boski, męski i władczy, bardzo się Kudłatej podobał - chyba każda kobieta lubi, kiedy mężczyzna czasami jest taki stanowczy - i do głowy jej nie wpadło, żeby zaprotestować. Ale czy musiał być taki stanowczy akurat w tej sprawie? Wrrr... Musiała do kogoś zadzwonić, komuś o tym powiedzieć.

- Antonina?

- No, czego tam?

- Wyobraź sobie, że Boski-Męski nie pozwolił mi jechać z wami na Kanary - pożaliła się koleżance Kudłata.

- Uhm... - Antonina nie przestawała uderzać w klawiaturę, bo pisała wniosek oskarżenia.

- Czy on tak może? - chciała wiedzieć Kudłata.

- No wiesz, ja się na tym nie znam, Kudłatka, ale chyba może. Ty jesteś jeszcze podejrzana, co? Śledztwo się nie skończyło?

- No co ty, z tego co wiem, to ugrzęźli w martwym punkcie. Mają trupa, mają furę podejrzanych, furę przyczyn zgonu, furę zagadkowych poczynań podejrzanych i nic, dupa blada.

- W takim razie, niestety, chyba może cię uziemić.

- Uch, ale to ograniczanie moich swobód, kurczę, obywatelskich.

- No po to chyba jest policja, nie? A gdybyś była jednak morderczynią, Kudłatka? Wiesz, jesteś lekarzem, masz dostęp do różnych dziwnych narzędzi, orientujesz się w technikach, znalazłaś denata, mogłaś go celowo nie uratować, a teraz chcesz jeszcze zwać z kraju.

- Jasne, i zamiast czmychać ukradkiem przez granicę przebrana za niedźwiedzia, pytam inspektora, czy mogę wyjechać, i prezentuję moje nowe bikini!

- Prezentowałaś inspektorowi Boskiemu-Męskiemu nowe bikini???

- Yyyyyy, może...

- No nieźle, nieźle, i dziwisz się, że cię nie puścił do przystojnych Hiszpanów?

- Myślisz?

- No.

- Nie, nie, nie, co ty. On jest taki obowiązkowy. Służbista. I wcale nie prezentowałam mu bikini, tylko... Tak mi się założyło, znaczy złożyło... On chciał się spotkać, a ja akurat byłam na zakupach, mało czasu miałam i biegałam po sklepach jak dzika, bo jeszcze chciałam mamie kupić tego robota kuchennego, który był w promocji, w sumie po niego tylko wpadłam, a reszta sprawunków była przy okazji, jak się później zorientowałam, okazji było sporo... I umówiliśmy się, znaczy z Boskim-Męskim. Wiesz, jak to jest, kiedy coś kupujesz w pośpiechu. Na dodatek w tych wszystkich przymierzalniach światła są takie dziwne, że nawet nie jesteś pewna, czy brązowe wybrałaś, czy granatowe... No to kiedy dotarłam wreszcie do domu, musiałam bikini od razu przymierzyć. I on akurat wtedy zapukał. No i co było robić... Lepiej otworzyć drzwi w bikini niż w ręczniku, bo to mniej insynuuje, prawda?

- Tak, tak, Kudłatka, tak - potwierdziła Antonina, mimo że nie uchwyciła sensu tej opowieści.

- W każdym razie dupa i tak, bo jak mu wyjaśniłam, po co to bikini, to się nie zgodził na wyjazd... Uch... Za to obiecał, że mnie weźmie na ten olbrzymiasty basen, wiesz, ten, który niedawno wybudowali niedaleko domu Bazylii. Mówił, że już tam był i podobno jest rewelacyjnie: zjeżdżalnie, fale, rzeka i nawet palmy są... On w ogóle zdaje się nieźle pływa i taki usportowiony jest. Może pójdziesz z nami?

- Obejrzeć przystojnego faceta? Zawsze. A kiedy? - zapytała rzeczowo Antonina.

- Wstępnie sobota.

- Wstępnie OK. Obdzwonię resztę, Szabla będzie miała chyba swoją szkólkę, ale może Baza wybierze się z całym przybytkiem.

- OK.

Rozdział 17

Basen był rewelacyjnym, nowoczesnym parkiem wodnym. Znajdował się w wielkiej hali, miał sporo akwenów, a w każdym inne cuda: to zabawki dla dzieci, to zjeżdżalnie, to bulgoty do masażu kupra, to bulgoty do masażu pleców, to bulgoty do masażu wszystkiego innego; cieplejsze, zimniejsze, płynące, stojące, kolorowe, ze światełkami i bez światełek, słone, słodkie, zewnętrzne, wewnętrzne, a w jednym nawet stał statek piracki. Poza tym przy basenach rozstawione były leżaki (do odpoczynku po intensywnym wypoczynku), a w barku sprzedawano wielkie kule lodów. Z głośników sączyły się letnie przeboje, wokoło przechadzali się przystojni ratownicy. Faktycznie można było poczuć przedsmak wakacji.

Elegancka jak zwykle Antonina ubrana w biały, jednoczęściowy strój kąpielowy wypoczywała pod palmą na leżaczkę i rozmyślała, jak to będzie na Fuerteventurze. Wzięła nawet przewodnik do poczytania. Grunt to dobrze się przygotować i pozytywnie nastawić. Jak się okazało, niewiele wiedziała o Wyspach

Kanaryjskich. Myślała, jak chyba większość ludzi, że ich nazwa wzięła się od mieszkających na wyspach kanarków i kiedy wyjdzie z samolotu, otoczy ją stado żółtych ptaszków. W przewodniku jednak wyczytała, że było przeciwnie - to od nazwy *Canarios*, czyli Kanary, powstała nazwa ptaszków. Za to wyspy zawdzięczały swoje miano psom (po łacinie *Canis*) i stąd też wzięły się dwa psy w herbie Kanarów.

Myśli Antoniny płynęły leniwie: „Co prawda ekipa wyjeżdżających pomniejszyła się o Kudłatą i Bazylię, za to jechała Szabla z kimś tam, zdaje się z jakimś Jackiem, Gazela, na szczęście bez Żabolca, no i ja - Antonina. Może kogoś tam poznam, jakiegoś szarmanckiego Hiszpana? Hm, trzeba wypytać Kudłatą, ona poznała na studiach Hiszpanów, będzie wiedziała, jacy to ludzie”.

Dziewczyna rozejrzała się. Kudłata i inspektor Boski-Męski zajmowali się sobą, głównie ściganiem się na zjeżdżalniach. Inspektora bardziej od wszystkich akwaparkowych atrakcji kusiły sznureczki zabawnie dyndające przy nowym bikini Kudłatej i sugerujące, że za jednym pociągnięciem mogą odkryć całe piękno, które tak bardzo Boski-Męski chciałby zbadać. Kudłata wcale nie zauważała pociągu inspektora do owych sznureczków albo raczej udawała, że nie zauważa. Szabla zgodnie z przewidywaniem Antoniny nie pojawiła się na basenie, bo w soboty była bardzo zapracowana, a po zajęciach miała się spotkać z jakimś wielkim stworem, zubrem chyba. Nie, nie zubrem - z Bizonem. Za to Bazylika zjawiała się z całą swoją rodziną (no może bez wesołego psiska) i znajomymi, którzy przyprowadzili innych znajomych,

a że wszyscy oni mieli po kilkoro dzieci, więc zasadniczo zabawa zrobiła się szalona.

Ekipa czterolatek pod wodzą męża Bazylia przypuściła szturm na statek piracki, inny mąż przewodził grupie sześciolatek przepływających się przez dziką rzekę, za to Baza mogła spokojnie zasiąść ze swoją najmłodszą pociechą w dziobiobasenie z ciepłą wodą i poplotkować z mamą maleńkiego szkraba.

Zabawa w akwaparku była bardzo udana, tyle że w sprawach wyjazdu i śledztwa, które przyjaciółki od dłuższego czasu chciały porządnie obgadać, nie udało się niczego ustalić.

Dobrze, że chociaż Antonina miała przewodnik, bo jak słusznie przewidywała, reszta towarzystwa pojedzie na Kanary kompletnie nieprzygotowana.

Rozdział 18

Komu się nie udało, temu się nie udało.

Inspektor Boski-Męski po chwilowym zastoju w śledztwie ustalał więcej faktów, niż mógł przerobić na rezultaty.

Przede wszystkim ustalił, że Kudłata nigdzie nie wyjeżdża. W sumie nie musiał być w tej sprawie aż tak stanowczy, ale liczył się z możliwością protestu ze strony dziewczyny, więc w negocjacjach chciał wystartować z lepszej pozycji. Dlatego zaplanował, że zacznie rozmowę od całkowitego zakazu wyjazdu Kudłatej na Wyspy Kanaryjskie, a zakończy na chwilowym, dzięki czemu wyjdzie na ugodowego i dostanie to, co chce. Nie przewidział jednak całkowitego podporządkowania się Kudłatej jego woli. Hm... Myślał, że baby zawsze muszą protestować, jątrzyć, nie zgadzać się po to tylko, żeby się nie zgadzać, a potem się obrażać. Tak przynajmniej robiła jego była. Doszedł do wniosku, że to miłe raz usłyszeć po prostu OK, zamiast wkręcać się w długie dyskusje i negocjacje. „Tak, ta kobieta prezentowała nową jakość”,

myślał Boski-Męski i z rozmarzeniem wspominał frędzle przy kostiumie kąpielowym Kudłatej, w którym ona tak pięknie wyglądała...

Tim-tim, tim-tim, tim-tirim-tim-tim - dźwięki komórkowego charlestona wyrwały inspektora z rozmyślań.

Columbo.

- Tak, panie prokuratorze? - zagaił grzecznie Milewski.

- Przeglądam wyniki obserwacji żon byłych i niedoszłej denata. Wszystkie harcują wokół jego mieszkania, zauważyłeś?

- Tak, faktycznie. Jedną, niedoszłą, to znaczy przyszłą-niedoszłą, złapaliśmy nawet na włamaniu do piwnicy, ale niczego nie zabrała. Przeszukaliśmy potem piwnice mieszkańców tej klatki, ale nic podejrzanego nie znaleźliśmy. Tylko strat narobiliśmy...

- A tak, czytałem. Rozumiem, że ten rowerek miał wielką wartość sentymentalną, skoro opis jego zniszczenia podany przez właścicielkę zajął bite trzy strony i został opatrzony rysunkiem.

- No tak, młody funkcjonariusz był spisać raport i kobieta zagadała go na amen...

- I wszystko było normalne podczas tego przeszukania? - chciał się upewnić prokurator.

- W sumie tak, tylko ta ściana nie powinna była się przewrócić. Według właścicielki wytrzymała naprawdę sporo, więc wziąłem specja, żeby obejrzał zawiasy, na

których ścianka była ustawiona. Okazało się, że ktoś celowo zrobił w ścianie dziwną i nieprzydatną dziurę tuż za zawiasem. Otwór nie zaburzyłby stabilności konstrukcji, chyba że ktoś oparłby się w nieodpowiednim miejscu.

- Rozumiem, że funkcjonariusz Buła, yyy... Bułecki, znalazł to nieodpowiednie miejsce?

- O tak, idealnie.

- I w tej dziurze nic nie było?

- Nic.

- Wymiary?

- Piętnaście na piętnaście centymetrów, wykuta w ścianie za zawiasem. Tam jest akurat podwójna ściana, bo się w tym miejscu łączą dwa bloki.

- Jakies zwierzę?

- Odpada.

- No dobra, raport z tego będzie?

- Już do pana wysyłam.

- Hm, poobserwujcie te wszystkie byłe, przyszłe, niedoszłe, bo zdaje mi się, że denat nie zawisł na tym trzepaku bezpodstawnie. One wyraźnie czegoś intensywnie poszukują.

- Biorę to pod uwagę. Szczególnie podpadła mi przyszła-niedoszła, ma kontakty ze światkiem przestępczym. Wozi się beemkami z ekipą z rosyjskim akcentem. Często odwiedzają małe bary i dyskoteki,

widzi mi się, że biorą coś na kształt haraczu. Oczywiście oficjalnie nigdzie ich nie było.

- Oczywiście. A ta firma? Biuro podróży?
- Na razie czyste, ale mogą się dobrze kamuflować.
- OK, obserwujcie dalej, daj znać, jak coś się ruszy.

Inspektor Milewski znał jeszcze kilka faktów niezawartych w raportach, ale na razie, skoro nie znał ich wartości, wolał się nie popisywać przed Columbo.

Rozdział 19

Dziewczyny: Szabla, Gazela i Antonina przez cały następny tydzień intensywnie przygotowywały się do wyjazdu, czyli w tłumaczeniu na babski - wyjmowały wszystkie ciuchy z szaf, przymierzały, wymieniały się, przebierały, wybierały, grymasiły, w końcu stwierdzały, że nie mają się w co ubrać, i biegnęły dokupić jakiś fatałaszek.

Pakowanie walizek uważały za bardzo poważną sprawę. W końcu czternaście dni wakacji mogło obfitować w różne sytuacje, a do każdej trzeba odpowiednio dopasować ubranie. Jasne było przecież, że na wieczorną kolację nie można iść w tej samej sukience, w której paradowało się po plaży w ciągu dnia. W niektórych restauracjach obowiązywał elegancki strój. Potrzebne były też spodnie, na wypadek wiatru. A poza tym - jak spodnie, to odpowiednie buty do spodni, te na obcasie, jak na obcasie do restauracji, to na plażę płaskie, no i bluzka, a może nie spodnie, tylko ta czerwona sukienka na wieczór będzie bardziej sexy, no i buty do sukienki te czarne, i torebka, ale ona to taka bardziej elegancka, więc trzeba wziąć drugą torebkę na

co dzień, ale którą - niebieską czy białą - bo większość rzeczy niebieskich, ale ta biała jest nowsza, no i jak raz założę to różowe wdzianko, to przecież nie wezmę tej niebieskiej torebki, bo nie pasuje do różowego, no i butów nie mam do tego zestawu, to może jednak zrezygnować z czerwonego...

Tyle jeszcze było do zrobienia przed wyjazdem! Zafarbować włosy (Szabla nawet planowała pasemka, a zwykle nie przejmowała się fryzurą), iść na depilację, zrobić paznokcie, zaliczyć co najmniej jedną wizytę w solarium (no, opalę się na Kanarach, ale przecież w pierwszym dniu też chcę się ładnie prezentować). Codziennie przyjaciółki biegały na zakupy, bo okazywało się, że brakuje im kosmetyków, leków w apteczce, środków higienicznych, książek, gazetek (przecież na miejscu będą tylko hiszpańskie), lakieru do paznokci w kolorze wody morskiej (ale przecież tam jest ocean, może powinniśmy kupić w kolorze wody oceanicznej?) no i wielu, wielu innych bezwzględnie niezbędnych pierdół.

Bez powodzenia próbowały upchnąć to wszystko, co kupiły, w walizkach, więc musiały wrócić do sklepów po to samo, ale w mniejszych opakowaniach.

Antonina usilnie doksztalała resztę wyjazdowego towarzystwa, co rusz odczytując na głos informacje z przewodnika o Fuerteventurze. Zaplanowała już nawet tyle miejsc do zwiedzenia, że w dwa tygodnie nie dałoby się wszystkiego zobaczyć, a co dopiero odpocząć.

- Musimy koniecznie zrobić sobie wycieczkę do krateru wulkanu, spakujcie wygodne tenisówki, bo nie

będziecie przecież leżeć plackiem cały czas, a w przewodniku jest napisane, że na trasie są ostre fragmenty zastygłej lawy. A może popłyniemy też na sąsiednią wyspę, Lanzarote, co? Tam jest aktywny wulkan i można sobie na nim kiełbasę upiec - cieszyła się.

- Błagam, przystopuj, ty nas wykończysz zwiedzaniem tej wyspy, na którą jedziemy. Ja chcę wypocząć, a nie latać wte i wewte! Mam obiecaną długą plażę, cudną wodę i słońce. W takim miejscu chcę usadzić swoją szanowną i przez dwa tygodnie ruszać ją jedynie po drinka z palemką - buntowanie się nie leżało w naturze Gazeli, więc zaskoczona Szabla spojrzała na koleżankę z uznaniem.

- Uch, no dobra, ale największy port i stolicę wyspy Puerto del Rosario musimy zwiedzić. Zobacz, to bliźniutko od naszego hotelu.

- No, pomyślę... Bo ja marzę tylko o tej plaży...- powiedziała już swoim zwykłym, cichutkim, lekko poddańczym tonem Gazela.

- Bizon, znaczy Jacek, mówił, że pokaże nam najpiękniejsze zakątki. Antonina, nie martw się na zapas, zwiedzisz to, co naprawdę warto - wtrąciła się Szabla, która z uporem próbowała znaleźć w szafie Gazeli jakieś spodnie do trekkingu. - Gazela, nie masz gaci trekkingowych, moje będą wisiały na tobie jak wory. Idziemy na zakupy!

Jacek Bizon również przygotowywał się do wyjazdu: wysłał e-maila do biura, że jedzie na Wyspy Kanaryjskie

zamiast zwyczajowego opiekuna wycieczki. Zadbął też o to, żeby jego pokój był położony obok pokoju dziewczyn i żeby oba miały widok na ocean. A, no i wygrzebał z szafy dwie pary krótkich spodenek. Powąchał je i stwierdził: „E, nie trzeba prac, przewietrzą się na Fuercie”.

Rozdział 20

Dzień przed wyjazdem dziewczyny spotkały się u Szabli i Gazeli na pożegnalne winko. Oczywiście tylko Antonina była już spakowana. Umówiły się późnym wieczorem, bo Kudłata szła z Obolałym na jakiś wernisaż młodych artystów i mogła zjawić się dopiero po imprezie, a Bazylia musiała najpierw położyć spać wszystkie szkraby.

- Rany, ale przemarzłam - stwierdziła Kudłata, odkładając elegancki, brązowy płaszcz na łóżko Gazeli.

Faktycznie, pogoda za oknem nie prezentowała się zachęcająco: wiało, kropiło i było kompletnie nieprzyjemnie. „Idzie luty, podkuj buty”, „W marcu jak w garncu”- mówiły porzekadła ludowe i natura wzięła je sobie w tym roku do serca, dlatego luty przymrażał, a w marcu pogoda była zmienna: raz taka, raz siaka.

Kiedy Kudłata odłożyła płaszcz, dziewczyny aż oniemiały. W prostej sukience w białe i czarne romby wyglądała zjawiskowo. Wrażenie było tym większe, że

Kudłata zwykle ubierała się w dżinsy lub sztruksowe spódnice, czyli niezbyt stylowo.

- No wiem, wiem - zamruczała, widząc miny przyjaciółek. - Ja myślałam, że już wiosna, dlatego ubrałam cienkie rajstopy i liche obcasiki, a tu wieczorem strasznie zimno się zrobiło i jeszcze zaczęło padać. Ale wiecie, ta impreza to było ważne wydarzenie dla Obolałego, bo on coś namieszał z tym wernisażem, rany, nawet nie wiem co, w każdym razie puszył się, jakby sam wszystkie te dzieła sztuki namalował, wyrzeźbił i wystawił.

- Nie no, Kudłata, wyglądasz rewelacyjnie. Fakt, że przy tej pogodzie to cię musiało nieźle przewiać, ale kieca niczego sobie - stwierdziła Szabla.

- A Pan Artysta to nie rozumie, że jak się baba wystroi dla niego, to wypada ją odwieźć jakimkolwiek pojazdem kołowym do jej własnego domu względnie domu koleżanki? - uszczypliwie zapytała Antonina.

- No i czym miałyby mnie odwieźć? Rowerem? Rower Obolałego ma to do siebie, że jest zwykłym rowerem, a nie roółłwerem - zachichotała Kudłata.

- Taksówki wynaleziono - wtrąciła cichutko Gazela.

- W sumie mogłam sama na to wpaść, ale myślałam, że zrobię sobie rześki spacer. Nie sądziłam, że akurat szaleje wichura stulecia. Poza tym ktoś musiał wyprowadzić Cystofiksa na siku.

- Kogo? - zdziwiła się Szabla.

- No psa przecież - odpowiedziała Kudłata.

Nagle dziewczyny usłyszały huk, jakby coś wybuchło, a potem terkot: „wrr”, a następnie lekkie „tssyt”. Szabla i Antonina odruchowo pobiegły w stronę, z której dochodziły dźwięki, a Gazela i Kudłata w odwrotną.

- No, a wy co, boidudy - zawołała Szabla i wyjrzała przez okno. - Bazylia rozkraczyła się Fordka, trzeba lecieć pomóc - mówiła, zakładając już buty.

Kiedy dziewczyny zbiegły na dół, okazało się, że na szczęście Bazylia nic się nie stało, za to jej ukochane autko rozkraczyło się na dobre. Nie chciało jechać, spod maski leciała para wyglądająca jak nieprzenikniony, biały dym odznaczający się wyraźnie na tle ciemnego nieba.

- No, zobaczcie, jaka ona dzielna - z dumą mówiła Bazylia, wysiadając z dymiącego samochodu. - Już po drodze tak stękała, ale dowiozła mnie do was.

- Baza, to jest samochód, w dodatku zepsuty, a nie dzielny - skomentowała bezlitośnie Szabla.

- Ona tu może stać? - spytała Bazylia, pokazując na Fordkę. - Czy musimy ją przepchnąć?

- Niczego nie będę przepychać, pakować się muszę, do rana chyba nikomu nie będzie przeszkadzać. A ty i tak będziesz wracała taksą, bo wino dobre mamy. Idziemy, bo się nam Kudłata trzęsie - zdecydowała Szabla.

Dziewczyny wróciły do ciepłego, ciuchowego rozgardiaszu. Gazela - odkąd przestała się zaciekle odchudzać - przestała też obsesyjnie sprzątać i mieszkanie dziewczyn już po niecałym miesiącu wyglądało jak normalny, zawalony babskimi rzeczami

chlewik. Obecnie bałagan został spotęgowany, ponieważ obie lokatorki próbowały spakować się na wyjazd.

- O, czuję się jak w domu. Wszędzie zabawki, tyle że same kobiece - zauważyła Bazylia, podnosząc z podłogi tusz do rzęs.

Dziewczyny dzielnie zabrały się do pakowania, a raczej do przymierzania, co spakować. Działy w myśl zasady, że jak na jedną jakiś ciuch nie pasuje, to może go wykorzystać druga. I tak zaczęła się generalna przeglądarnia i wymieniarnia ciuchów, okraszona suto pysznym winkiem i ciachem *made in* Bazylia. Po trzech godzinach działań dziewczyny kompletnie niespakowane, za to pięknie ubzdryngolone, wylegiwały się na starym, wielkim łóżku Gazeli udającym kanapę dzięki megapoduchom położonym u wezgłowia.

- Bo to szysko przez tego dziada mojego, on mi dał te foldery - bełkotała Bazylia.

- Ty już na dziada swojego nie narzekaj, rozpuszczona jesteś jak dziadowski bicz i tyle - stwierdziła Antonina.

- No fakt - przyznała Bazylia. - Dobry dziad mi się trafił, ale przez niego moje autko nie żyje. Wszystko przez te foldery.

- Jakie foldery? - zapytała Kudłata.

- No takie kolorowe, z autami, i tam taki, eee, ładny był w kolorze „Botticelli”, dlatego moja Fordka obraziła się na mnie i się rozkraczyła - kontynuowała płaczliwie Bazylia.

- Baza, Botticelli to malarz był, nie kolor - stwierdziła nadzwyczaj trzeźwo Kudłata.

- Nieprawda, kolor. Taki nie zielony, nie niebieski, tylko... Ładny, ale malarz może i też... - zgodziła się Bazylia.

- Co, ładny malarz? Przydałby mi się ładny malarz - stwierdziła Antonina. - Mieszkanie brudne, można by odmalować, a ja czysta jak mniszka, można by mnie pobrudzić...

- Nie malarz ładny, tylko kolor malarza - tłumaczyła Szabla.

- Hm, że opalony? A to chętnie, może Hiszpan? Bo ja jestem całkiem chętna na opalonego Hiszpana - stwierdziła Antonina.

- Nie, ten malarz to włoski był, jestem pewna - stwierdziła Kudłata.

- Od biedy też może być, choć już kilka słówek po hiszpańsku się nauczyłam i wołałabym malarza Hiszpana - przyznała Antonina.

- A co namalował? - spytała Szabla.

- No auto moje przecież na ten ładny kolor - odpowiedziała Bazylia.

- I taką babę w muszli, co miała falowane włosy - przedziwnie kojarzyła Kudłata.

- Wenus! - czknęła Gazela i wężykiem, między walającymi się po podłodze ciuchami, udała się do

łazienki. Po pijaku ten slalom gigant szedł jej zdecydowanie lepiej, niż jakby go robiła na trzeźwo.

- Możliwe, to dlaczego nie nazwali koloru „Wenus”, tak by mądrzej było, nie? - filozofowała Baza.

- Byłoby, ale to facet pewnie wymyślał, więc chciał wyjść na takiego mądrego, który wie, kto tę Wenus namalował. Wiesz przecież, że te dziady muszą się ciągle popisywać - stwierdziła Kudłata.

- Bizon nie musi, znaczy Jacek, i to w nim lubię, że jest taki, jak to się mówi... - zawiesiła się Szabla.

- Niepopisowy?

- Nieopisowy?

- Nieopisany?

- Niepopisany?

- Niewyszukany, umiarkowany, przyzwoity, bezpretensjonalny, skromny, malutki? - Antonina wyczytywała zbiór synonimów ze swojego tabletu, który zawsze trzymała w torebce (i jak to po pijaku wszystko w torebce znajdowała szybko i na czas - niesamowity kobiecy fenomen).

- Ha, ha, ha, ha! Malutki to nie bardzo do niego pasuje, skromny też nie - śmiała się Szabla.

- A ty skąd wiesz? Bo ja myślałam, że to nasz przewodnik tylko - wypytywała Antonina.

Szabla nagle zaczerwieniła się, ale na szczęście reszta bab tego nie zauważyła, bo była już pięknie wstawiona.

- No, tak jakby nie tylko... - stwierdziła.

- Szabla ma chłopaka, Szabla ma chłopaka, sik, sik, sik - niezwykle dorośle zaśpiewała Gazela.

- No, no, zobaczymy, jeszcze nic niepowiedziane i w ogóle...

- No i co, to ja jedyna będę polowała na plaży na opalonego przystojniaka? - zapytała żałośnie Antonina.

- Ja będę leżeć, nawet jeżeli podejście do mnie taki najprzystojniejszy na świecie przystojniak i powie: „¡Hola!, lala, piña colada?”, to ja nadal będę leżeć, najwyżej wyciągnę rękę po piña coladę. I dalej będę leżeć, nawet jeżeli przyjdzie stado przystojniaków i każdy będzie chciał się ze mną umówić, to ja leżę i będę leżeć, i nikt mnie nie zmusi do zejścia z leżaka - stwierdziła Gazela.

- Aż przyjdzie przyływ i zabierze wszystkie wieloryby z powrotem do oceanu, a jak przyływ nie da rady, to osiłki z Greenpeace' u już na pewno cię dźwigiem odtransportują - zaśmiała się Szabla.

- A wiecie, że Pinda-Lafirynda była u mojej mamy? - podała news Kudłata. Dziewczyny zrobiły tak dziwne miny, że poczuła się zobowiązana wyjaśnić. - Ta Pinda-Lafirynda od trupa na trzepaku!

Miny dziewczyn zrobiły się jeszcze dziwniejsze.

- Aaa! - pierwsza zorientowała się Antonina. - Czyli przyszła-niedoszła małżonka denata Diunskiego?

- No, właśnie to powiedziałam. I słuchajcie, wypytywała mamę o dziwne rzeczy. Niby na kawę się

wprosiła i narzekała, że jest taką biedną, niedoszlą wdową i że chce męża swojego niedoszłego powspominać, i że ją taką w biedzie zostawił, i jak tak można, człowiek człowiekowi i takie tam. A potem nagle przeszła do tego, czy małżonek jej przyszły-niedoszły coś gdzieś u mamy zostawiał, czy widziała, że coś chował, gdzie chodził i czy u niej bywał. Dziwne te pytania, nie? Czegoś to babsko szuka i ja się dowiem czego i dlaczego.

- Ja wam mówię, że z tym śledztwem jeszcze będzie ambaras - stwierdziła Szabla.

- A ty to nie gadaj. Miałaś inwigilować biuro podróży, zdaje się, i co? - uprzytomniła sobie Bazylia.

- No przecież inwigiluję!!! Intensywnie...- zachnęła się Szabla.

- Inwigiguliluje - zakręciła się Gazela. - Potwierdzam, nocami też inwigigugluje.

- Ha, ha! Jacka Bizona wykluczamy z grona morderców czy zaprzyjaźniamy się z nim jako domniemanym mordercą? - zapytała Antonina.

- No wiesz, skoro już kumplujemy się z domniemaną Kudłatą, to drugi domniemany zabójca nie zaszkodzi - stwierdziła pokojowo Bazylia.

- No fakt, to może z tą Pindą-Lafiryndą też się zaprzyjaźnimy? To będzie komplet? Czy jeszcze kogoś podejrzewa ten twój inspektor Boski-Męski?

- Nie wiem, ostatnio nie chce się dzielić ze mną informacjami. Ta sprawa to chyba jakaś grubsza afera - stwierdziła Kudłata. - Jakieś mafie nie mafie i inspektor

nie chce mnie mieszać, choć ja bym chętnie się trochę zmieszała. Poznał też Obolałego, niestety od strony ę-ą, i teraz rzadziej się do mnie odzywa, znaczy Boski-Męski, znaczy inspektor Milewski...

- Co, wyniuchał konkurencję i skapitulował?

- Jaką konkurencję, ja przecież nie zamierzam nic kombinować przeciwko Obolałemu - oburzyła się Kudłata.

- To się nazywa płynna zmiana dziada - czknęła cichutko Gazela.

- O, wyrobiłaś się kobieto, nasza cicha woda - zaśmiała się Szabla.

- Jaka płynna? - dziwiła się Kudłata. - Że niby mam kogoś oblać czymś?

- Może nie tyle oblać, co olać - wyjaśniła Szabla. - Jesteś z jednym, ale na tapetę wchodzi drugi, więc pierwszego zawijasz pod dywan i żyjesz z drugim długo i szczęśliwie. Tylko trudny jest moment, kiedy drugi już jest na tapecie, a pierwszy jeszcze nie pod dywanem. Wtedy trzeba zmyślnie i szybko działać - wyjaśniała teorię Szabla.

- Ja nic nie kapuję - stwierdziła Kudłata.

- No bo to też ekwilibrystyka nie dla ciebie, Kudłata - podsumowała Szabla.

- A niby dlaczego nie dla mnie?

- Bo jesteś za...

- Niewyszukana, umiarkowana, przyzwoita, bezpretensjonalna, skromna, malutka? - przypomniała sobie Antonina.

- A, tak, teraz pasuje - potwierdziła Szabla.

- No, a czy ja wam mówiłam już, że do tapet to tylko przystojny, opalony malarz? - zatopiła się w marzeniach Antonina, oglądając foldery plażowe.

- Taki w kolorze „Botticelli” - stwierdziła Bazylia, oglądając foldery samochodowe.

I tak oto mijał kobietom czas na rozmowach o wszystkim i niczym, wieczór był bardzo udany, mimo że pakowanie nie doszło do skutku.

Rozdział 21

Następny dzień zaczął się ciężko.

Dla wszystkich dziewczyn.

Bazylia co prawda już prawie trzeźwa wróciła do domu taksówką o drugiej w nocy, ale o czwartej jej najmłodsza pociecha obudziła się na mleko, więc nie bardzo zdążyła się wyspać. Na szczęście kochany mąż zostawił Bazyliei przy łóżku butelkę wody, a malcowi przy łóżeczku butelkę mleka w podgrzewaczu. Właściwie mógł też bobaska nakarmić, ale Bazylia była już tak stęskniona za swoją pociechą, że w życiu nie oddałaby porannego karmienia. Poza tym niezależnie od stopnia zmęczenia i tak zawsze budziła się na dźwięk płaczu malucha. Ten kolejny babski fenomen poparty został nawet badaniami. Kobieta na odgłos płaczu dziecka obudzi się szybciej niż facet, bo jej mózg jest tak skonstruowany, żeby reagować na dziecięce nieszczęście. Za to faceta z głębokiego snu wybudzi dźwięk zwiastujący zagrożenie. Skoczy na równe nogi, słysząc alarm w ukochanym samochodzie, a napompowany adrenaliną będzie gotowy do obrony

mienia i ataku na wroga. W innych sytuacjach facet śpi jak zabity.

Bazylika karmiła swojego pięknego, pulchnego bobasa, nie mogła się napatrzeć, jak mały smok pożera z zaangażowaniem swoje mleko. Zawsze, kiedy widział butlę, zachowywał się, jakby nic nie jadł od tygodnia: otwierał szeroko wielkie, niebieskie oczka i rączkami przyciągał flachę w swoją stronę jak największy skarb. Bazylika była typową mamusią, dlatego bezkrytycznie zachwycała się wszystkimi swoimi chłopaczkami. Trzeci etap macierzyństwa podobał jej się bardziej niż pierwszy i drugi, ponieważ była już spokojną mamą, nic jej nie przerażało, niczego nie robiła na siłę, nie trzymała się kurczowo książkowych rad, dużo mniej się przejmowała. Wiedziała też, że wszystkie trudne momenty szybko miną. Lubiała szczególnie ten okres, kiedy jej synkowie byli małymi, fajnymi kluseczkami i jeszcze nie umieli chodzić. Można ich było wtedy do woli przytulać i całować. Mąż śmiał się, że najmłodszego chłopczyka matka zacałuje, bo ten nie może się jeszcze bronić. Starsze pociechy uciekały przed przytulaśną mamą głównie dla zabawy, a czasem też dawały się jej złapać i wyściskać. Była bardzo szczęśliwa, lubiała być mamą, uwielbiała swój dom i rodzinę. O tym właśnie myślała nieco nieprzytomna, kiedy o czwartej rano szła zygzakiem przez zarzucony zabawkami, śpiący dom. Zaglądała do wszystkich pokoi. W każdym ktoś spokojnie pochrapywał, tłusty pies – najgłośniej.

Kudłata dotarła do domu w okolicach czwartej i też nie było jej dane się położyć. Obolały leżał w poprzek

łóżka w *trendy* ciuchach i głośno, pijacko chrapał. Z kolei Cystofiks nie spał, cieszył się jak wariat na widok pani. Brak obroży na szyi psa zaniepokoił Kudłatą, bo oznaczał, że pijany Obolały nie wyprowadził zwierzaka. Przecież zawsze zapominał mu zdjąć obrożę po spacerze. „Cóż, mus to mus”, pomyślała Kudłata i wciągnęła stare dresy. Wzięła na smycz oszalałego ze szczęścia Cystofiksa. Podczas spaceru starannie omijała wszelkie miejsca z trzepakami. Była wściekła, głowa ją bolała od niecodziennej dawki alkoholu, a miłe uczucie zawiania ustępowało bolesnemu trzeźwieniu. W myślach pomstowała na Obolałego: „Człowiek po całym tygodniu ciężkiej pracy jest zmęczony i raz na ruski rok chce wyjść na babski wieczór, a ten imbecyl nawet nie może zapamiętać, żeby psa wyprowadzić. Biedny Cystofiks. Właściwie po co ja się tak staram dla niego, znaczy, dla Obolałego? Picuję się na jego wernisaże, wspieram go, a on co... Dla mnie pies jest ważny...”. I wtedy Kudłata przerwała rozmyślenia, bo zobaczyła dziwne zjawisko. Zawsze przechodząc koło felernego trzepaka, mimowolnie spoglądała w jego stronę. Odruchowo sprawdzała, czy ktoś na nim nie wisi. Już się nieco uspokoiła, bo od ponad miesiąca trzepak był pusty. Ale nie dziś! Jak pech to pech! Tym razem zwłoki były zdecydowanie żeńskie, a świadczyła o tym krótka wiśniowa spódnica i wystające spod niej długie nogi w cytrynowych rajstopach i butach na niebotycznych obcasach.

Kiedy Kudłata zmobilizowała wszystkie mięśnie do biegu w celu podjęcia kolejnej reanimacji trzepakowej,

denatka zeskoczyła z konstrukcji i o własnych siłach zaczęła krążyć wokół niej.

Ufff, do Kudłatej dopiero po chwili dotarło, co się stało. „Jestem chora, mój mózg wszędzie widzi trupy, szczególnie na trzepakach”, pomyślała.

Coś jednak było nie tak. Fałszywa denatka miała koło czterdziestki, więc nie odpowiadała przedziałowi wiekowemu typowemu dla akrobacji na trzepaku. Poza tym po zejściu z niego zaczęła dziwnie dreptać wokoło. „Baletnica jakaś czy co?”, przemknęło Kudłatej przez myśl. Przyglądała się tajemniczej kobiecie schowana za krzakami odpowiednimi na psie siku. Nagle dziewczynę olśniło: „Toż to Pinda-Lafirynda! Co ona tutaj robi? Znów czegoś szuka? Zaraz coś zepsuje, jak mój rowerek”.

Kudłata pomstowała niepomna faktu, że rowerek został zniszczony przez ścianę, o którą niefortunnie oparł się policjant, który przeszukiwał piwnicę jej rodziców, którą wcześniej przeszukała Pinda-Lafirynda. „Czego ta małpa tu szuka?! Żeby nie mieć szacunku do, jakby nie było, miejsca spoczynku własnego narzeczonego?! Jak nic doniosę Boskiemu-Męskiemu! No żeby mnie tak stresować! Na bank nie zasnę już”, myślała wściekła Kudłata.

Dla Antoniny, Szabli i Gazeli dzień zaczął się szybko, ciężko i stresująco. Rano, czyli w dzień wyjazdu na Wyspy Kanaryjskie, współlokatorki uprzytomniły sobie, że tylko Antonina ma walizkę gotową do podróży. Na szczęście samolot odlatywał dopiero o drugiej po południu. Na lotnisku trzeba było stawić się przed dwunastą, co

oznaczało, że z domu należało wyjść o jedenastej. Skacowane dziewczyny obudziły się o dziesiątej i wpadły w dziką panikę.

Wystarczył jeden telefon przerażonej Szabli do Antoniny, a ta przybyła z odsieczą. Już o dziesiątej dwadzieścia przywiozła do dziewczyn swoje lśniące czerwone, praktyczne, bo widoczne, i elegancie walizki oraz magiczną listę rzeczy niezbędnych na Kanarach.

- Wiedziałam, że wam się przyda! Ten, kto kiedykolwiek krytykował moje listy, teraz będzie wszystko odszczekiwał - grzmiąca tryumfalnie.

- Błagam cię, Antonina, będę czekała całe pięć godzin lotu, ale pomóż - prosiła Szabla, uznając słuszność koleżanki.

- No dobra, przecież bez was, bałaganiary, nie pojedę. Dowody osobiste są? Inny dokument ze zdjęciem jest?

I tak się zaczęło pakowanie według długiej litanii niezbędnych rzeczy.

Oczywiście na odprawę przyjaciółki dotarły jako ostatnie, ale Bizon zajął im miejsce w kolejce, za co został obdarzony przez Szablę uśmiechem wdzięczności. Dopiero w samolocie, gdy zajęły swoje fotele, odetchnęły z ulgą. Były tak bardzo zestresowane możliwością spóźnienia się na samolot, że całkiem zapomniały, jak bardzo boją się samego lotu. Zanim się obejrzały, były już w górze, maszyna sunęła miękko, pod nimi były białe kłębowiska chmur układające się w przedziwne kształty, a nad nimi cudne, czyste niebo i słońce. Pięknie

uczesane, eleganckie panie stewardesy rozdawały kawkę, herbatkę, ciacha i gazetki. Przyjaciółki zaczęły się naprawdę relaksować. Sielanka trwała do czasu.

Za dziewczynami siedzieli inni uczestnicy wycieczki na Kanary. Ich rozbawienie spowodowane nielegalnym podpijaniem alkoholu osiągnęło już dość wysoki poziom objawiający się szczególną otwartością i miłością do świata. Kilku podstarzałych i podchmielonych facetów, nie zważając na obrażone żony, zaczęli Antoninę, Szablę i Gazelę i wyznawało im miłość. To jeszcze można było przetrwać. Gorzej zrobiło się, gdy poziom alkoholu wzrósł, bowiem spowodował, że mężczyźni pewni swoich talentów, zaczęli je bez skrępowań prezentować. A jak wiadomo z programów telewizyjnych, Polacy mają liczne talenty, szczególnie muzyczne i taneczne. I się zaczęło.

Panowie na całe gardła śpiewali ludowe piosenki, zupełnie nie zwracając uwagi ani na groźby i prośby stewardes, ani na kilkakrotne interwencje słusznych rozmiarów Bizona. Podpity Polak na wakacjach zamienia się w osobnika szczególnego – jest piękny, mądry, silny, dzielny, jedyny w swoim rodzaju i chce to natychmiast zaprezentować całemu światu, a każdy, kto mu w tym próbuje przeszkadzać, jest gburem. Taką właśnie postawą zaprezentowali panowie w samolocie i rozpoczęli jedyny w swoim rodzaju program rozrywkowy dla reszty pasażerów.

Po *Mam talent!*, a raczej „wcale nie mam talentu i się tego nie wstydzę” przyszła kolej na *Śpiewać każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej* – tylko tych, co śpiewają lepiej, zabrakło. Potem było *You Can Dance*, a właściwie

I can't dance, ale co tam, i tak się do łazienki dostaniemy tanecznym krokiem, bo „panie proszą panów” i przemieszczają się wężykiem, wężykiem. Na końcu odegrano *Rozmowy w toku*, czyli rozmowy w samolotowym tłoku.

Trwało to wszystko cztery i pół godziny, więc gdy panowie nareszcie zasnęli snem kamiennym, przez okna samolotu widać już było poszarpane wybrzeża Wysp Kanaryjskich.

Nareszcie!

- Która wyspa to nasza? - dopytywała się Szabla.

- Ta duża, ta, która w pewnym miejscu tak się zwęża, że plaża z jednego wybrzeża wyspy łączy się z plażą z drugiego. To Fuerteventura. A ten mały cypelek obok to Isla de los Lobos, rezerwat przyrody. Popłyniemy tam jachtem. A ta następna wyspa to Lanzarote, jest na niej czynny wulkan - wyjaśniał Bizon.

Potem zaczął coś jeszcze opowiadać o pofałdowaniu wulkanicznym i o tym, że Fuerteventura jest najstarszą geologicznie wyspą archipelagu, i że złote plaże są zasilane piaskiem przyniesionym przez gorące wiatry z afrykańskiej pustyni... Ale Szabla już nie słuchała, podziwiała cudny widok, a po głowie tłukła się jej myśl: „Jaki mądry i przystojny ten Bizon”.

Rozdział 22

Przyjaciółki odebrały bagaż i czekały na Bizona. Do jego obowiązków należało przekazanie uczestników wycieczki przewodnikom z odpowiednich hoteli. Kiedy wreszcie we czwórkę opuścili halę niewielkiego lotniska, dziewczyny odetchnęły z ulgą. Pachnące słodko powietrze łaskotało im nozdrza, długie spodnie nijak nie pasowały do aury, nadal było ciepło, mimo że pomarańczowe słońce powoli opadało ku linii horyzontu. Turystów witały wykołysane wiatrem palmy i setki kolorowych kwiatów posadzonych wzdłuż lotniska. Bizon wypożyczył od zaprzyjaźnionej firmy sporego dżipa, wpakował do niego oszołomione dziewczyny i zawiózł do hotelu.

Co tu dużo mówić, Bizon znał się na rzeczy, a gdy chciał komuś zaimponować (w tym przypadku Szabli), potrafił za nieduże pieniądze załatwić luksusy. I tak też zrobił.

Hotel był piękny, zadbany. Miał wielki, kolorowy hol, z którego wychodziło się prosto do cudnego ogrodu z kwiatami, palmami, kaktusami oraz z kilkoma basenami

z wesoło migającą czystą wodą. Była już pora kolacji, dlatego w ogrodzie boye hotelowi uprząтали leżaki, na dworze robiło się coraz ciszej, tak że można było usłyszeć szum oceanu i łagodne dźwięki jazzu dochodzące z baru na górnym piętrze.

Oba pokoje były eleganckie, sąsiadowały ze sobą i miały widok na ocean. Dziewczyny zachwyciły się, a Bizon wnosił bagaże. Jakoś tak wszystko zmiksował, że niby przypadkiem bagaże Szabli trafiły do jego pokoju, zamiast do pokoju dziewczyn. Na protest Szabli odpowiedział z szelmowskim uśmiechem:

- No nie, tych ciężarów już nigdzie nie przenoszę. Poza tym, nie będziecie się gnieździć w trójkę, podczas gdy u mnie jest sporo miejsca.

Szabla, oczarowana podstępem, uśmiechnęła się tylko. W cichości ducha miała nadzieję, że Bizon właśnie coś takiego wymyśli.

Widok z pokojów był cudny. Wzrok przyciągały podświetlane baseny rozlokowane między palmami w ogrodzie. Na horyzoncie ciemniał wieczorny ocean. Czyste, ciepłe powietrze pachniało urzekająco egzotycznymi kwiatami, słoną wodą i oceanicznymi stworzeniami.

Szabla oparła się o balustradę balkonu, rozmyślając, jakim dobrym pomysłem było wykupienie wycieczki. Kiedy poczuła za sobą ciepło i szerokie męskie ramiona objęły ją, pomyślała: „Mmm, tak, to zdecydowanie był świetny pomysł. Zostaję tu na zawsze”. Z tego błogostanu wyrwał ją radosny pisk.

- Ja chcę tam! Tam! Możemy zejść tam? Proszę! - Bizon i Szabla usłyszeli dochodzący z sąsiedniego balkonu głos Antoniny i zobaczyli jej wymanikiurowany palec pokazujący ocean.

- Hi, hi, możemy, możemy - powiedział Bizon. - Choć wolałbym tu stać do końca słońca - dodał cicho do ucha Szabli.

- Och, no w sumie słońce zachodzi, to lećmy je zobaczyć odbite na falach. Daleko do tego oceanu?

- Kilka minut ogrodem, pokażę ci.

Dziewczyny włożyły lekkie sukienki i sweterki, bo zaczęło trochę wiać. Bizon poprowadził je przez hotelowy ogród prosto na plażę. Przyjaciółki ogarnęła kompletna głupawka. Ściągnęły buty i biegały po piaszczystym brzegu, przeskakiwały ciepłe fale, rysowały uśmiechnięte buzie na mokrym, drobnutkim piasku i piszczały jak nastolatki. Bizon usiadł sobie kawałek dalej od rozbawionych dziewczyn na ciepłym piasku i patrzył na znikające za horyzontem pomarańczowe słońce częściowo zakryte przez chmury. „Witaj po raz kolejny, wyspo wiecznego wiatru”, pomyślał i posmutniał, bo przypomniał sobie, że jakiś czas temu był na tej samej plaży, w tym samym hotelu ze swoim kumplem, może nawet przyjacielem.

- Iiiiiiii! - dziki pisk wyrwał Bizona z zadumy. To Szabla wrzuciła Antoninę do wody, a ta zamiast się złościć, zanosila się śmiechem.

„Żyje się tu i teraz, Bizon”, powiedział do siebie i pobiegł powrzucać pozostałe dziewczyny w ciepłe fale

oceanu.

Rozdział 23

Kudłatej wcale nie było do śmiechu. Baby wyjechały bez niej na Kanary i pewnie smażyły się już na plaży, a ona tkwiła w zimnie, deszczu i zawierusze. Dreptała z nogi na nogę, czekając niecierpliwie na tramwaj, bo jak zwykle na wcześniejszy poranny nie zdążyła. W myślach narzekała: „Co to za pogoda w ogóle, wczoraj było ciepło, słońko nawet wychodziło, w wiosennym płaszczyku sobie paradowałam, a dzisiaj... Co to ma być?”. Cieszyła się, że chociaż w czeluściach swojej mega torebki znalazła zapomniane już zimowe rękawiczki. Do wiosennego płaszczyka co prawda pasowały jak pięść do nosa, ale co tam, przynajmniej dłoniom nie groziło odmrożenie. Kudłata dumiała nad naturą nieszczęść: „One to jednak nie chodzą parami, tylko trójkami, czwórkami albo i całymi tuzinami. Może te złe siły, które powodują nieszczęścia, też mają wyprzedaże? Na przykład sprzedają w pakiecie wyjazd przyjaciółek z awanturą z facetem, tak żeby nie było komu się poskarżyć, a denną pogodę dodają gratis”.

Od czasu awantury pokrywającej się z dniem wyjazdu dziewczyn, Obolały nie odzywał się do Kudłatej.

Awantura nie była gigantycznych rozmiarów, bo Kudłata nie bardzo umiała się kłócić. Są osoby, które rodzą się z talentem do pyskówek, Kudłata była nogą w tej dziedzinie. Szumna nazwa „awantura” dotyczyła upomnienia Obolałego, że nie wyprowadził psa, kiedy jej nie było w domu. Ale Obolały nie lubił być upominany i to jeszcze w tak, według niego, nieważnej sprawie, więc zrobił to, co urażona duma mu kazała - natychmiast wyszedł, trzaskając drzwiami. Faktem było, że właśnie miał wyjść, bo był spóźniony i to na rozpoczęcie nowego, ważnego projektu, więc obrażenie się było mu w sumie na rękę. Wiedział, że Kudłata nie popędzi za nim z prośbą, żeby znów wyszedł z psem na spacer albo uprzątnął kocią kuwetę czy wyniósł śmieci. Nie lubił tego robić, uważał. W jego wyobrażeniach były dwa rodzaje czynności: przyziemne zarezerwowane dla zwykłych ludzi, takich jak Kudłata i uduchowione charakterystyczne dla artystów, takich jak on. Obolały miał nabożny stosunek do swoich rąk, które tworzyły i dotykały najpiękniejszych wytworów człowieka. Nie można było ich zatem skalać wynoszeniem śmieci. Myślał w złości: „I cóż z tego, że ona jest mała, a wory ciężkie? Przecież jak zwykle sobie poradzi, a jak ma problem, którego nie umie rozwiązać, to niech komuś zleci wykonanie zadania”. Obolały tak właśnie robił, zrzucał obowiązki na innych, to zawsze działało i to od wielu lat.

Obolały nie zauważył jednak, że Kudłata nie bardzo miała komu zlecić wyrzucenie śmieci, dlatego - mimo

dręczących wyrzutów sumienia - zostawiła worki na klatce schodowej. Czuła wyrzuty sumienia również z powodu psa, z którym wyszła na bardzo szybkie siku. Ten obowiązek oczywiście należał do Obolałego, ale ten jak zwykle o nim zapomniał. Kolejnym wielkim wyrzutem sumienia był sam Obolały. Tak to już było z Kudłatą, że nie cierpiała konfliktów i obarczała się winą za wszystkie. Wiedziała, że robi źle, ale asertywność wywoływała w niej uczucie strachu. „Och, no dobra, po pracy kupię sushi na zgodę”, pomyślała, odmarzając w ciepłym tramwaju. Po raz kolejny spróbowała dodzwonić się do Bazylia, bo chciała się poskarżyć przyjaciółce.

- No halo, Baza?

- Hej - krótko przywitała się Bazylia. W tle dały się słyszeć protesty jej synka: „Nie, nie, nie idę!”.

- Masz chwilę? - Kudłata nie doczekała się odpowiedzi, bo chłopiec nadal krzyczał, a Bazylia przekonywała go, żeby ubrał buciki.

- Oj, chyba nie masz...

- *Sorry*, Kudłatka... Buciki natychmiast proszę ubrać!

- Spoko...

- Jakąś infekcję mamy i właśnie lecimy do pediatry - Kudłata z uchem przy telefonie mimowolnie stała się świadkiem dźwiękowej scenki rodzajowej:

BAZYLIA: Buciki!

CHŁOPIEC: Neeeeeee!!!

BAZYLIA: To ja jeden, a ty drugi, dobra? Żeby nóżce nie było smutno.

CHŁOPIEC: Nóska woli skarpetę. Nie idę do doktora.

BAZYLIA: A zobacz, moja woli bucik. Oj, to chyba nie mój bucik, a może jednak? Wciskam, wciskam i, uch, nie wchodzi!

CHŁOPIEC: To mój bucik!

BAZYLIA: Naprawdę? A może mój? Mojej nodze się podoba, moja noga chce założyć ten fajowy bucik!

CHŁOPIEC: Hi, hi, hi.

BAZYLIA: Uch, ale chyba jest jednak za mały, ale nóżce smutno...

CHŁOPIEC: Tu są twoje buciki, te załós, a ja te fajne!

- Słuchaj, Kudłata, muszę korzystać, jak mały chce iść do lekarza, zadzwonię do ciebie później, OK?

I Bazylika wyłączyła się.

Kudłata posmutniała. Nikt nie miał dla niej czasu... Nawet inspektor Boski-Męski się nie kontaktował, a wydawało się, że był nią, oczywiście w roli świadka, zainteresowany...

Dobrze, że praca Kudłatej była tak absorbująca. Gdy było się lekarzem, szczególnie w Polsce, miało się tak mało czasu i tyle odpowiedzialnych zadań, że praca wymagała stałego skupienia i właściwie całkowitego oddania się jej. Człowiek nie miał kiedy zastanawiać się nad jakimikolwiek innymi sprawami czy własnymi problemami, choć trudno to nazwać psychiczną odsapką.

Raczej wdeptywaniem z jednej kałuży problemów do drugiej, głębszej. Tyle że dzięki tej głębszej kałuży można było zachować dystans do własnych spraw, bo z perspektywy naprawdę poważnych problemów życiowych pacjentów te własne wydawały się nagle drobne i łatwe do rozwiązania. Toteż wracając do domu po dyżurze, Kudłata wymyśliła, że oprócz ulubionego sushi kupi Obolałemu też jego ulubioną bagietkę, mozzarellę i pomidorka, a dla siebie coś pysznego z garmażerii. I wino dobre. Planowała, że uda się jej załatwić polubownie sprawę z Obolałym i że dodzwoni się do Bazy, żeby dowiedzieć się, jak tam te jej dzieciaki i co za infekcję podłapały.

Wchodząc do domu, trochę się denerwowała. Zastanawiała się, czy Obolały będzie nadal zły. Okazało się, że niepotrzebnie się martwiła. Przywitał ją tylko pies (bez obroży oczywiście), a Obolały był tak przejęty swoim nowym projektem, że całkowicie zapomniał przyjąć pozę urażonego i zgnębionego.

- I na wszystko się zgodzili, cały mój projekt będzie autorski, a wiesz, że po rozbudowie to będzie jedna z największych galerii w Polsce? I wszędzie będę ja, mój „nejm” na afiszu, billboardy w mieście i wielki ja na rynku, i artykuły w czasopismach, wywiady. Oczywiście dużo pracy mnie czeka, czy temu sprostam? Tak, muszę, bo tylko ja mogę tchnąć życie w ten projekt! Ja!

- Cudownie... To już się nie gniewasz?

- Będiesz z dumą opowiadać koleżankom, że ten facet na zdjęciach to ja!

Kudłata zastanowiła się, jak często opowiadała koleżankom o Obolałym... Doszła do wniosku, że prawie nigdy, chyba że ją wyjątkowo wkurzył...

- Sushi kupiłam...

- I wiesz, co zrobię? Na oficjalnej gali otwarcia podziękuję wyłącznie sobie! Bo to ja do wszystkiego doszedłem sam, swoją ciężką pracą!

- Może zjemy, co? Tylko wyjdę z pieskiem...

- Tak! O, sushi, super! Słuchaj, kochana, gdy już będę sławny, to będziemy sobie codziennie jedli sushi na śniadanie, obiad i kolację! Codziennie! Całe życie przed nami! Wyobraź sobie życie w luksusie ze mną!

Nagle Kudłatej stanęła przed oczami wizja zdechłej, surowej ryby jedzonej na śniadanie, obiad i kolację codziennie do końca życia. I ona w towarzystwie Obolałego na sztucznych wernisażach, ze sztucznymi ludźmi i sztuczną sztuką, a pies w klinice chory na zapalenie pęcherza od niesikania... I nagle zakręciło jej się w głowie, i zrobiło niedobrze, bardzo niedobrze. Obolały oczywiście tego nie zauważył, bo bełkotał jeszcze coś na swój temat, przeszukując siatki, które przytargała Kudłata.

- Muszę... - i nie zdążyła dokończyć, pognąła do łazienki z prędkością światła, i dobrze, bo ledwo zdążyła.

Po piętnastu minutach walczenia z konwulsjami żołądka Kudłata była wykończona, usiadła na podłodze łazienki i się rozpłakała. Rzadko zdarzały jej się chwile słabości zarówno fizycznej, jak i psychicznej, więc sama

była zdziwiona swoją reakcją. Obolały nareszcie zorientował się, że coś z jego dziewczyną było nie tak. Czekanie na kolację przeciągało się, Kudłata nie układała ładnie związanych serwetek ani nie otwierała wina.

- Kudłata? Co z tobą? - zapukał do drzwi łazienki.

Kudłata nie chciała rozmawiać ani widzieć Obolałego, więc wykorzystwała jego naturalny wstręt do rzeczy nieładnych.

- Wymiotowałam, jestem caaała brudna, muszę się wykąpać.

- Oj, oj, tak, tak. To się wykąp najpierw, tak... - Obolały wspaniałomyślnie udzielił jej pozwolenia i pomyślał: „To pewnie stres związany z przebywaniem z tak imponującą osobą jak ja. Nakreśliłem jej możliwość cudownego życia ze mną i nie wytrzymała emocjonalnie. Swoją radość mogła dać mi jednak odczuć jakoś bardziej elegancko, zemdleć z wrażenia na przykład, to by było na miejscu, a nie takie prymitywne zachowanie...”. I Obolały stracił zainteresowanie swoją dziewczyną, bo w telewizji zaczynał się właśnie jakiś głupawy serial, a on lubił głupawe seriale, choć nigdy w życiu by się do tego nie przyznał.

Kudłata faktycznie wzięła prysznic, choć raczej dla odprężenia, niż zmycia brudu. Nasmarowała się relaksującym balsamem, założyła ulubiony żółty dresik i skierowała się do kuchni w poszukiwaniu pozostawionego tam wina. Zastała Obolałego z dziwną miną i butelką wina opróżnioną do połowy.

- Kudłata, ty mi nie możesz tego teraz zrobić - powiedział poważnie.

- Matko Bosko, czego znowu? Wymiotować nie można? Już się umyłam przecież - powiedziała umęczona Kudłata.

- Wiesz czego, ja wiem, skoro wiesz, że ja wiem, to teraz mi powiedz.

To zdanie zmyliło nawet Kudłatą.

- Ja nie wiem, co ty wiesz, więc ty mi powiedz, co wiesz, a ja powiem ci, czy wiedziałam.

- Jak nie wiedziałaś? No chyba musisz wiedzieć?

- Ale co?! - odkrzyknęła wkurzona i naprawdę zmęczona Kudłata.

- No, że w ciąży jesteś!

- Co?

- Jesteś? Bo jak jesteś, to... To... Natychmiast nie bądź! Ja jestem teraz u progu kariery, Europa, cały świat stoi przede mną otworem, będziesz tego całe życie żałowała, jeżeli spróbujesz mnie teraz zniewolić. I tak mnie zawsze ograniczałaś, ale dziecko? To już przesada, naprawdę, czy ty nie widzisz, kogo masz przed sobą? Nie jestem jakimś tam zwykłym, ograniczonym człowiekiem!

- O, widzę właśnie, że nie jesteś człowiekiem! Jesteś wyjątkowym dupkiem! A jak ktoś raz zwymiotuje, to od razu jest w ciąży, tak? Twoja serialowa wiedza o świecie jest prymitywna i ograniczona! To nie ma innych przyczyn wymiotów? Proszę bardzo, wzięłbyś raz jakąś

moją książkę do ręki, to byś zaczął myśleć. Ale nie, ty siedzisz całymi dniami na tyłku i seriale oglądasz, nie myśl, że nie wiem! I nic się nie martw, z takim prymitywem i ignorantem nie będę wychowywać dziecka!

Kudłata zabrała butelkę z resztką wina, weszła do sypialni i trzasnęła drzwiami. Tam dopiero rozplakała się na dobre. Płakała z bezsilności, niepewności i zmęczenia. Wytrąbiła przy tym pozostałe w butelce wino i zasnęła. Obudziła się w środku nocy. Powoli docierały do niej wydarzenia sprzed kilku godzin. Nagle znów ogarnęły ją skurcze w okolicy żołądka i popędziła do łazienki. Gdy już jej ciało trochę się uspokoiło, Kudłata podreptała do kuchni. Pies skomlał, Obolałego nigdzie nie było, więc półprzytomna wzięła Cystofiksa na spacer. Chłodne powietrze sprawiło, że poczuła się trochę lepiej i trochę trzeźwiej. Przeanalizowała, co jadła, i nic nie podpadało jej pod produkt powodujący zatrucie pokarmowe. Pomyślała, że może nabawiła się infekcji. Gardło ją bolało, ale pewnie od wymiotów, w głowie się jej kręciło i było jej słabo. Kudłata zawsze wiedziała, w którym dniu cyklu miesięczkowego była, a okres się jej nigdy nie spóźniał, no, ale... Wiedziała, że zabezpieczenia nie zawsze działały na sto procent. Teoretycznie we wczesnej ciąży były możliwe wymioty... Im dłużej o tym myślała, tym bardziej się niepokoiła: „O raju, nie, nie, niemożliwie, już naprawdę ogłupił mnie ten Obolały ze swoją serialową wiedzą”, pomyślała, ale pognąła z Cystofiksem do nocnej apteki.

Wróciła zdenerwowana, bo znów zachciało jej się wymiotować. Wpadła do łazienki, nie zwracając uwagi na

nic. Dopiero po chwili przemknęła jej przez głowę myśl, że nie trzasnęła kolaniem w stolik, w który powinna była trzasnąć, biegnąc do łazienki po omacku. Jednak myśl szybko zniknęła, bo Kudłata miała poważniejsze kłopoty niż nieobecny siniak na nodze.

Gdy już doprowadziła się do porządku, zrobiła test ciążowy. Zostawiła go w łazience i wyszła na przepisowe trzy minuty, żeby się nie denerwować. Chciała znaleźć Obolałego. Zapaliła światła i zamarła.

Dom wyglądał jak po przejściu tornada. I to bardzo pazernego tornada. Poznikały wszystkie bardziej wartościowe sprzęty – laptop, telewizor, ulubiony ekspres do kawy Kudłatej, a nawet włoski, szklany stolik kawowy. Pierwszą jej myślą było: „Włamanie! Gdy byłam na spacerze z Cystofiksem! Policja, dzwonić, Boski-Męski!”.

Już wybrała numer, ale spojrzała na godzinę – trzecia dwadzieścia. „No nie, nie będę go budziła po nocy, trzeba zadzwonić do jakiś funkcjonariuszy na służbie...”, pomyślała. I wtedy zauważyła kartkę na półce z książkami. Wzięła ją do ręki i zaczęła czytać: *Przykro mi, że okazałaś się tak niegodna pokładanych w tobie nadziei. Myślałem, że widzisz wielkość i prawdę przez prymitywizm ludzkiego istnienia, ale...* Nie chciała czytać dalej. Zgniotła list i wyrzuciła przez okno. Przedziwne, ale nie chciało jej się płakać. Mechanicznie poszła do łazienki, sprawdziła test. Jedna kreska. „Uch, w sumie dobrze, choć jakbyś tam już siedział, mój maluszk, też by się nic nie stało, dałabym radę, pamiętaj następnym razem”, pomyślała.

Because I am happy..., zaśpiewała głosem Pharrella komórka Kudłatej. Słowa piosenki brzmiały tak absurdalnie w porównaniu z jej nastrojem, że aż się uśmiechnęła.

- No jasne - powiedziała do siebie.

W słuchawce odezwała się Bazylia.

- Kudłatka, *sorry*, że cię budzę. Nie wiedziałam, czy masz dyżur, czy nie, ale rady potrzebuję.

- Wal.

- Padliśmy wszyscy na grypę żołądkową, wszystkie dzieciary i ja wymiotujemy od trzech godzin, na przemian okupujemy łazienkę. Słuchaj, czym ja mam poić te dzieciaki? Bo nic nie wchodzi, a młody ma jeszcze gorączkę. Czy ja mu mogę dać czopek? On już sześć miesięcy ma. Bo wolałabym jeszcze nie jechać do szpitala, wiesz.

- Jasne, Baza, już ci mówię. A wiesz, że ja też się rozchorowałam?

- No, co ty? Ciebie zmorzyło? Cyborga? No to faktycznie jakieś wyjątkowe świństwo krąży.

- Ano, słuchaj... - i Kudłata wytłumaczyła Bazylii, co ma podać, któremu dziecku, w jakiej dawce i kiedy jechać do szpitala.

Pomaganie innym leczy duszę, naprawdę. Kudłata po rozmowie z przyjaciółką w potrzebie czuła się znacznie lepiej psychicznie, choć słowem nie wspomniała o Obolałym i całej sytuacji. Umówiły się na telefon, kiedy

Baza ogarnie dzieci. Ogarnęła rano i wtedy dopiero dowiedziała się o nocnych perypetiach Kudłatej.

- No co za cham i prostak! A taką mu niby mużką byłeś!

- A wiesz, co jest dziwne? Wcale mi nie jest tak ciężko na sercu, jak myślałam, że będzie po rozstaniu... Ciężko mi na żołądku - zaśmiała się obolała Kudłata.

- Może miało tak być? Stresu się najadłeś, ale co nas nie zabije, to wzmocni. Otwierasz nowy rozdział w życiu bogatsza o doświadczenie, więc rozdział będzie lepszy.

- Tak, ale następnego dziada, jak w ogóle będę jeszcze jakiegoś chciała, to normalnie będę przez lupę badać. Będzie musiał być całkowicie idealny. Jedna skaza i nara!

- Ha, ha! - zaśmiała się Bazylia. - Znajdzie się dobry dziad i dla ciebie.

- Szanse marne, z tych prawdziwych mężczyzn na świecie ty wzięłaś jednego, a zdaje się, że Szabla drugiego. I co zostało dla mnie? Dobrze, że mam Cystofiksa, będzie teraz jedynym mężczyzną w moim życiu - zakończyła rozmowę Kudłata. A pies, słysząc swoje imię, wskoczył na łóżko ukochanej pani i ułożył się obok dwóch pomrukujących kotów.

Rozdział 24

Gazela, Szabla i Antonina były w wyśmienitych nastrojach. Po spędzonej we wspaniałym hotelu nocy – dla jednych spokojnej, dla innych szalonej – spotkali się wszyscy na śniadaniu na okwieconym tarasie restauracji. Pachniało tam egzotycznymi roślinami, owocami i pyszną kawką.

Szabla i Bizon dotarli trochę spóźnieni, ale roześmiani. Trzymali się za ręce. Co zadziwiające, Szabla nie puściła wielkiej łapy Bizona nawet w miejscu publicznym. Do tej pory nie obnosiła się z czułymi gestami, gdy była w towarzystwie swoich niechłopaków, jak sama ich nazywała.

- Chyba Bizon został pierwszym chłopakiem bez przeczenia „nie” – Antonina i Gazela, pijące już kawkę przy stoliku, obserwowały nadchodzącą parę wyraźnie w sobie zakochaną. Po pysznym śniadaniu bogatym w egzotyczne owoce, dziewczyny planowały, jak spędzą dzień, i doszło do konfliktu interesów.

- Idziemy zwiedzać, tu jest tyle ciekawych miejsc do zobaczenia - upierała się Antonina.

- Beze mnie. Ja idę na plażę - kategorycznie stwierdziła Gazela.

- No co ty! Najpierw musimy zobaczyć coś ciekawego! Leżeć możesz równie dobrze w piaskownicy przez własnym blokiem!

- Nikt mnie z plaży nie ruszy, przyjechałam tu po to, żeby na niej leżeć, ostrzegałam lojalnie przed wyjazdem.

- Jesteśmy na egzotycznej wyspie, która kryje tysiące tajemnic, a ty chcesz leżeć? Może jeszcze z zamkniętymi oczami?

- Ano właśnie tak!

- Nie no, Szabla pomóż...

- Ja się nie wtrącam, mi jest chyba wszystko jedno... - odparła zadziwiająco niezdecydowana Szabla i spojrzała błagalnie na Bizona nieźle ubawionego babskim konfliktem. W sumie było Szabli obojętne, co będzie robić, zależało jej jedynie na tym, żeby Bizon, znaczy Jacek, był blisko niej.

Dziewczyny też popatrzyły wyczekująco na Bizona, jakby był jakąś wyrocznią. Chłopak spojrzał na niebo z miną profesjonalisty, ocenił siłę wiatru, obrzydliwie oblizując palec (ach, ci mężczyźni!), i stwierdził:

- Proponuję dwa w jednym: najpierw trochę pozwiedzamy, bo będzie wiało jeszcze kilka godzin, na obiad pójdziemy do jakiejś knajpy przy plaży. Do tego czasu powinno się zrobić cudne słońeczko, zmniejszy się

wiatr, więc będziemy mogli poszaleć w falach, a Gazela poleży na plaży.

Wszystkie strony sporu poczuły się usatysfakcjonowane, toteż dziewczyny szybko (jak na dziewczyny) pozbierały potrzebne rzeczy i przyjaciele pojechali zwiedzać wyspę wypożyczonym autkiem Bizona. Okolica zadziwiała księżycowym, pustynnym krajobrazem, na horyzoncie zawsze było widać góry, jak się okazało - stożki wygasłych wulkanów, z których zbudowana była wyspa. Droga prowadząca na punkt widokowy składała się z mniejszych i większych jezorów zastygłej lawy wulkanicznej. Cynamonowy krajobraz kontrastował z cudnie błękitnym oceanem, oczy odpoczywały, patrząc na miękkie kształty.

Bizon pokazał dziewczynom najpiękniejsze miasteczko Fuerteventury, dawną stolicę - Betancurię. Niezwykłe wrażenie robiły tysiące kwitnących na czerwono pelargonii, które okrywały białe ściany zabudowy miasteczka. Urokliwe brukowane uliczki zachęcały do spaceru kolorami i cieniem padającym z wiecznie zielonych palm.

Przyjaciele usiedli na placu mieszczącym się na środku uroczej miścinki i wdychali ciepłe, pachnące kwiatami powietrze, jedli lody o przedziwnych owocowych smakach. Godzina była wczesna, więc byli jedynymi turystami. Niedaleko nich na innej ławeczce siedziało kilku tubylców w kapeluszach. Palili poranne fajki i śpiewnie rozmawiali po hiszpańsku.

- Bizon, co jest z tym powietrzem, że wszędzie tak ładnie pachnie? - pytała Antonina.

- Jesteśmy na wyspie, na środku oceanu, nie miało co tego powietrza zasmrodzić - śmiał się Bizon.

Po południu zwiedzili jeszcze stolicę wyspy Puerto del Rosario. Obejrzeliby olbrzymi port, do którego dopływały największe wycieczkowce. Miasto wyglądało monumentalnie, mimo że jego zabudowa była typowo wyspiarska, czyli niska. Jak się okazało, w Puerto del Rosario były i sklepy z ciuchami, i przeróżne restauracje, ale dziewczyny - po zobaczeniu maleńkiej, kolorowej, jakby przeniesionej z piętnastego wieku Betancurii - nie były wcale zachwycone stolicą.

- Wiedziałem, że tak będzie - śmiał się Bizon, znaczy Jacek. - Spoko, przejedziemy tylko ulicami i pykamy na północ, na moją ulubioną plażę do parku narodowego Corralejo. Zobaczycie, jakie tam są fale!

Faktycznie fale były niesamowite, zdarzały się i kilkumetrowe, bez problemu zakrywające całego wielkiego Bizona. Antonina i Gazela popluskały się chwilę przy brzegu i rozłożyły się na złotej, ciepłej plaży. Za to Szabla i Bizon bawili się jak szaleni, rzucając się w ramiona lazurowego oceanu.

Taka zupełna zmiana klimatu, kolorystyki, krajobrazu i priorytetów życiowych działała niesamowicie dystansująco i relaksująco. Nawet Antoninie minęła wieczna napina i leżała sobie spokojnie w słońcu, słuchając szumu fal. Nie zważała nawet na to, że ciepły wiatr przysypuje jej nogi drobnymi piaskiem. Po raz

pierwszy od długiego czasu nie musiała działać i myśleć. Czując błogość, jednoczyła się z Gazelą, która uparła się, że nikt i nic jej z plaży nie ruszy.

Faktycznie, do hotelu wrócili dopiero w porze kolacji. Po zmyciu z siebie niesamowitych ilości piasku i przebraniu się obejrzelili cały hotelowy ogród i poszli na promenadę, by popatrzeć na zachód słońca nad oceanem.

- A co to jest to okrągłe na końcu promenady? - zapytała Szabla.

- Miejsce naszej kolacji. Chodźcie, dostaniecie tam najlepszą rybę na wyspie - zachęcił Bizon.

Molo wchodzące do oceanu kończyło się okrągłą, drewnianą restauracją, w której podawano obiecywane przez Szablę rybki z grilla z maleńkimi ziemniaczkami - patatasami - oprószonymi grubą solą i przybranymi sałatą. Danie smakowało wyśmienicie.

- Dziwne, że coś tak prostego może być takie dobre - stwierdziła Antonina przyzwyczajona do nieco bardziej wykwintnej kuchni.

Po kolacji Bizon postawił dziewczynom piña coladę - taką prawdziwą, z prawdziwym mleczkiem kokosowym z prawdziwego kokosa, a nie z kartonu. Dziewczyny rozkoszowały się drinkiem, mlaskały i chwaliły Bizona za dobry wybór. Trzeba przyznać, że Jacek znał sposoby wkradania się w kobiece łaski.

- Może zadzwonimy do Bazy i Kudłatej? Powiemy tylko, że u nas wszystko OK - zaproponowała Szabla.

Rozdział 25

Because I am happy..., odezwał się telefon i Kudłata z ociąganiem po niego sięgnęła.

- Co? - rzuciła wrogo.

- Hejoo!!! To my!!! - usłyszała radosne ryknięcie przyjaciółek.

- Matko, nie tak głośno, głowa mi pęka!

- Nie matka, tylko my, wczasowiczki! Zgłaszamy, że doleciałyśmy na miejsce i jest cudnie! Zobaczysz zdjęcia, bo Bizon ciągle chodzi z aparatem, ale możliwe, że będzie na nich tylko biust Szabli. Ha, ha, ha!!!- przez śmiech Antoniny i Gazeli przebił się głos Szabli. - Dawajcie telefon, mały... Nie słuchaj ich, Kudłata, pijane są, co u was?

- Grypa żołądkowa...

- O rany, ty też? - zmartwiła się Szabla.

- Wszyscy: ja, Baza, jej dzieci, moja mama, pół szpitala. Dobrze, że uciekłyście, bo pół Polski ma żołądkówkę. A jak wyspa?

- Piękna, spokojna, egzotyczna i taka czysta! Woda lazururowa, piasek złoty, powietrze pachnie. Pijemy właśnie piña coladę, patrząc na ocean. Życ, nie umierać! - piszczwały wszystkie i mlaskały.

- Oj, ja umieram - zajęczała Kudłata.

- Mam nadzieję, że Obolały stanął na wysokości zadania i zajmuje się tobą? - zapytała Antonina.

- Yyyy, no powiedzmy, że wszystko, co miał zrobić, to już zrobił.

- No, mam nadzieję, bo jak nie, to sobie porozmawiamy po powrocie.

- Spoko, trzymajcie się i bawcie dobrze, i przywieźcie trochę słońca do Polski, bo tu leje bez przerwy.

- Załatwione, trzymaj się i kuruj, buziaki!

„O rany, ale im zazdrozczę... Piña colada, a ja nawet wody nie wchłaniam”, zajęczała już do siebie Kudłata i poszła odsypiać trudy dnia. Pies na szczęście nie zgłaszał potrzeby wyjścia, a koty mruczały spokojnie, leżąc na łóżku.

Całe kolejne dwa dni Kudłata spędziła w pościeli. Na pół przytomna wyprowadzała psa, po czym wracała do łóżka i spała. Była wykończona grypą i konfliktem z Obolałym, nie chciała myśleć o niczym. Dyżury poprzekładała, wyprosiła wolne do końca tygodnia. Musiała naprawdę fatalnie brzmieć w telefonie, bo mimo krytycznej sytuacji personalnej, szef nie wyraził sprzeciwu. Na trzeci dzień zadzwoniła mama.

- I jak, córcia?

- Lepiej, lepiej, ale wykończona jestem jak nigdy, a ty?

- No ja też lepiej, ale co to za świństwo, no!

- Fatalne...

- Córcia, musisz coś zrobić dla mnie.

- Muszę?

- Niestety, bo widzisz od trzech dni nawiedza mnie Pinda-Lafirynda, próbując wymusić twój adres i telefon, spławiałam ją, tłumaczyłam, że chore jesteśmy, ale łązi i łązi, coś chce od ciebie, a ja już dosyć jej mam. Mogę dać ten numer? Możesz nie odbierać...

- Dobra, dobra, daj... W sumie ciekawe, czego chce... Choć jeżeli chce przyleźć, to na własne ryzyko, o ile się grypy nie boi.

- No mówiłam jej, ale ona swoje. Jestem pewna, że dzisiaj znów przydrepcze.

- Dobra, dobra, spoko. Przywitam ją w obrzyganym dresie, ha, ha, ha!

Pinda-Lafirynda zadzwoniła natychmiast, gdy dostała numer, i po półgodzinie już była u Kudłatej, która ledwo co wyszła spod prysznic.

- Witam panią, ja przepraszam bardzo, że się ośmielam, ale widzi pani, to jest taka sprawa delikatna i dość pilna, dlatego panią niepokoję.

- Dobrze, dobrze, niech pani wejdzie, herbatę zrobię. Tylko nic do herbaty nie mam.

Pinda-Lafirynda zlustrowała ogołocone ze sprzętów mieszkanie Kudłatej (dziewczyna z powodu choroby nie zatarła śladów skandalicznego zachowania Obolałego) i zaczęła swoją opowieść.

- Bo widzi pani, mamy taką trudną sytuację, pani jest lekarzem, na pewno pani zrozumie. Wie pani, jak czasem ciężko zbierać fundusze na jakąś operację, a widzi pani, mój siostrzeniec ma wadę serca, którą można operować, ale tylko za granicą, no i zbieramy pieniądze, bo to bardzo drogi zabieg, rozumie pani, trzeba przecież, to dziecko jeszcze, ma jedenaście lat... Widzi pani, mój mąż, to znaczy niedoszły mąż, miał na takie sytuacje, to znaczy mieliśmy, zawsze schowane pewne środki, tylko on tak niedokładnie mi wyjaśnił, jaki jest do nich dostęp. To znaczy wyjaśnił, ale musiał przełożyć te środki w inne miejsce i tak nieodpowiedzialnie zapomniał mi powiedzieć, i zszedł w międzyczasie na ten zawał, wie pani, bo pani go znalazła - Kudłata ledwo odnajdywała się w mówionej jednym tchem, zakręconej opowieści Pindy-Lafiryndy. - Chciałam zapytać, czy kiedy pani go znalazła, to on coś mówił?

- Jak miał mówić? Już dawno nie żył.

- A, bo ja słyszałam, że pani z nim rozmawiała.

„Ciekawe skąd słyszałaś”, pomyślała Kudłata, a głośno powiedziała:

- Nie rozmawiałam, tylko próbowałam nawiązać kontakt słowny, co okazało się niemożliwe, bo mąż pani niedoszły już nie żył.

- A nie przekazał pani niczego?

- Rany, pani nie rozumie chyba pojęcia „nie żyć”. Skoro nie żył, to nie przekazał.

- No, pani tak brutalnie do mnie, przecież jestem pogrążoną w rozpacz w dową.

„Aha, jasne”, pomyślała Kudłata.

- No, a może coś miał przy sobie?

- Niby co?

- No nie wiem... Wskazówkę jakąś?

- Jaką wskazówkę? Zegarową taką? Ja nie wiem, reanimowałam go tylko, a nie obszukiwałam! O co pani chodzi?

- Bo widzi pani, jeśli pani coś sobie przywłaszczyła, to będzie problem.

- Jaki problem? - Kudłata na serio zaczynała się gubić w rozmowie.

- Bolesny, dla pani, bo widzi pani, ja jestem miłą osobą i ładnie panią proszę, ale moi znajomi nie są tacy mili, nie mają w zwyczaju prosić o cokolwiek, więc niech się pani dobrze zastanowi, z kim pani chce rozmawiać: ze mną czy z nimi.

- Ale z kim rozmawiać? Przecież pani zbiera na zabieg dla siostrzeńca, tak?

- Powiedzmy, że są... chirurgami, którzy pilnie potrzebują tych pieniędzy, i... mają bardzo ostre skalpele...

- Słucham???

- Niech pani wyjrzy przez okno.

Kudłata była tak zaskoczona rozmową, że wyjrzała, jak kazano. Pod blokiem stały dwa duże, czarne samochody, a obok nich kręciło się pięciu osiłków w dresach i skórzanych kurtach, a dwóch innych siedziało za kierownicami.

- I co ja mam przez to rozumieć? Grozi mi pani?

- Ależ nie, ja panią uprzejmie proszę o współpracę.

- Ale ja nic nie wiem i nic nie mam, i naprawdę niewiele z tego wszystkiego rozumiem.

- Nic pani mi nie ma do powiedzenia, ale z inspektorem Milewskim jakoś łatwiej się pani rozmawiało.

- Co???

- No niech pani nie udaje i niech się pani dobrze zastanowi, z kim opłaca się pani współpracować. Do widzenia.

Kudłata opadła bez sił na fotel. Scena tocząca się przed chwilą w jej pokoju wydawała się kompletnie nierealna, jakby pochodziła z bardzo kiepskiego filmu kryminalnego. „W dodatku z niskim budżetem”, zaśmiała się smutno, rozglądając się po ograbionym pokoju. „O nie, Boski-Męski, już mi się nie wymigasz, ty mi nic nie gadasz, a mnie nawiedzają jakieś grożące Pindy-Lafiryndy, kiedy jestem w takim stanie, że nie mam siły się bronić”, pomstując na inspektora, Kudłata wybrała numer jego telefonu.

- Hej, no, co tam? - odezwał się Boski-Męski.

- Co tam?! Właśnie grożono mi w moim własnym, obrabowanym domu! - powiedziała dość nieskładnie Kudłata.

- Yyy, co?

- Jajco! - odparowała.

Miękki głos inspektora podziałał jednak kojąco. Złość wyparowała i Kudłata łagodnie obwieściła:

- Przyjedź, proszę. Jak możesz. Wiesz gdzie. I, proszę, przywieź chleb i coś do chleba. Możesz?

- Tak, wyrobię się tu w pół godziny i przyjadę do ciebie, chyba że wysłać kogoś od razu?

- Nie, nie trzeba, zbiry już sobie poszły - powiedziała, spoglądając zza firanki na podwórko.

Zaniepokojony inspektor leciał jak na skrzydłach do sklepu, kupił chleb i byle co do chleba, a potem pognął do Kudłatej. Po czterdziestu minutach był już na miejscu. Kudłata opowiedziała mu wydarzenia z ostatnich dni ze szczegółami, choć trochę od tyłu - najpierw o groźbach Pindy-Lafiryndy, potem o grypie żołądkowej, potem o Obolałym - i zakończyła długim szlochem. Inspektor przytulił nieszczęśliwą Kudłatą i zabrał się ostro do działania.

Przede wszystkim wykonał kilka telefonów i przed blokiem dziewczyny zmaterializował się nieoznakowany samochód policyjny z tajniakami, potem kazał pilniej śledzić Pindę-Lafiryndę. Ochrzanił kogoś za to, że czegoś nie dopilnował i nie dał mu znać, potem zadzwonił jeszcze do jakiegoś Columbo po radę i tamten coś mu

obiecał. Był przy tym niezmiernie boski i męski. W tym czasie Kudłata pokrzepiła się chlebem z dżemem brzoskwinowym i żółtym serem, które po trzech dniach głodówki okazały się delicjami. Potem niestety Boski-Męski powiedział, że musi iść i osobiście załatwić kilka spraw. Już się miała rozzłościć, ale obiecał, że wróci wieczorem, i zapewnił, że jest całkowicie bezpieczna. „No niech mu będzie. Poczekamy, zobaczymy”, podsumowała w myślach Kudłata.

Rozdział 26

Inspektor Milewski był zły. Tak naprawdę zły bywał bardzo rzadko. Kiedy już osiągał ten stan, to nie przebierał w słowach, rzucał gromy z jasnego nieba i był skory do rękoczynów. Marzył wtedy, żeby mu się napatoczył jakiś agresywny przestępca i go zaatakował. Inspektor miałby pretekst do bójki, mógłby się wyżyć, waląc bandziorowi w mordę, oczywiście w koniecznej obronie własnej. Niestety Milewski nie dał ujścia swojej złości zanim wrócił na komisariat, dlatego dostał się solidny ochrzan młodym, ciapatym funkcjonariuszom, którzy mieli śledzić Kudłatą. Ściany gabinetu szefa Nadymanego słyszały już różne wulgaryzmy, tym razem jednak inspektor Milewski przekroczył wszelkie granice przyzwoitości, bo policjanci w popłochu, ze łzami w oczach wybiegli z pokoju.

Milewski dzwonił gdzieś bez przerwy i zdaje się, że kazał sprowadzić na przesłuchanie pół miasta. Policjanci nazwozili mu domniemanych morderców Diunskiego, czyli przyszłą-niedoszłą ze świtą osiłków udających, że posługują się tylko językiem rosyjskim, obie były

z obecnymi mężami, syna z narzeczoną i dwoma kolegami. Brakowało tylko tego cholernego przyjaciela z biura podróży, bo poleciał na Kanary. Podejrzany trochę wyrolował policyjnego obserwatora, zmieniając hotel. Nic się nie stało, obserwacja trwała.

- Koniec cyrku! Czas zacząć poważne przedstawienie! - ryknął Milewski. - Pierwsza podejrzana, zapraszam!

I funkcjonariusze poprowadzili do gabinetu pierwszą żonę Diunskiego. Wyszła po godzinie, zapłakana i roztrzęsiona.

- Pani następna! - Milewski wskazał drugą żonę. - A szanowny małżonek zaraz potem.

I tak mijały kolejne godziny przesłuchań, aż zrobił się wieczór. Przesłuchiwanie wychodzili z gabinetu co najmniej rozdygotani. Milewskiemu wściekłość nie mijała, ale opanował się, był nieugięty w czasie przesłuchań, twardy jak skała i nieczuły na prośby, zapewnienia, lamenty, przysięgi, płacze.

Gdy tylko przypominał sobie zapłakaną Kudłatą, jego Kudłatą, to zalewała go kolejna fala złości. Mimo licznych protestów, grózb i próśb, wszystkich podejrzanych usadził w celach na zmiękczające dwadzieścia cztery godziny, a sam udał się do Kudłatej z porządną, ciepłą kolacją, niezłym winem i herbatką miętową, tak na wszelki wypadek. Po drodze do dziewczyny myślał: „Co za debilna sprawa, nawet gdy wiemy, kto zabił, a nie mamy na to dowodów, to musimy czekać aż podejrzany sam się przyzna. Chciałbym wiedzieć, co morderca miał

zamiar zwinąć i kto mu to zwinął sprzed nosa. Logika podpowiada, że zwykle jest jakiś ciąg przyczynowo-skutkowy. Ktoś chce coś uzyskać, więc zabija i uzyskuje, a w sprawie Diunskiego rozsądek nie działa. Ktoś zabił, nie uzyskał, bo uzyskał ktoś inny. A ja szukam po omacku. Beznadzieja. A zegar tyka i robi się coraz nieprzyjemniej. No, mam nadzieję, że tymi przesłuchaniami wystarczająco podgrzałem atmosferę, zobaczymy, dokąd jutro podreptają wszystkie robaczki”.

Rozdział 27

Kolejnego dnia ekipa eksplorująca wyspę zdecydowała się na wyjazd na słoneczne południe Fuerteventury. Pierwszym punktem wycieczki był park w miasteczku La Lajita. Park nie kojarzył się dziewczynom z czymś niesamowitym. Pomyślały, że zwiedzą go szybko i pójdą na plażę. Bardzo się myliły.

Park Oasis okazał się rezerwatem zajmującym olbrzymi teren. Był podzielony na trzy części: park zwierzęcy, safari i ogród botaniczny. Każdej dziewczynie spodobało się oczywiście coś innego.

Antonina fotografowała się z olbrzymimi, kolorowymi papugami, dopóki jedna z nich nie okazała swojego niezadowolenia, zostawiając śmierdzący ślad na ramieniu prawniczki. Szabla była zachwycona wszystkimi wielkimi zwierzakami. Zaliczyła przejażdżkę na wielbłądzie, nakarmiła żyrafy i słonie, podziwiała występ fok. Gazele zainteresował pokaz gadów, nawet odważyła się pogłaskać małego krokodyla.

Na plażę i obiad przyjaciele dotarli dopiero późnym popołudniem, wykąпали się w oceanie, obżarli pyszną rybą, a jakże... Opadli z sił na tyle, że udali się na drzemkę. Wieczorem Szabla i Bizon usiedli na balkonie z kieliszkami wina i rozkoszowali się zachodem słońca.

- Dobrze mi tu, Bizon... - rozanielą się Szabla.

- Rozumiem cię, ta wyspa jest jednym z moich ulubionych miejsc podróży. Zobacz, statek!

Po oceanie sunął sporych rozmiarów wycieczkowiec.

- Piękny, ale nie mogłabym za długo takim płynąć, czułabym się chyba klaustrofobicznie, poza tym mam chorobę morską.

- No co ty, na takim statku nie można się nudzić, one mają na pokładzie kilka restauracji, baseny, salony gier, kina.

- Ee, chyba i tak wolałabym jachtem...

- O, to się da załatwić.

- Serio? Tutaj?

- Uhm, pojedziemy do Corralejo i pokażę wam marinę, mam tam zaprzyjaźnionego kapitana jachtu, może uda mi się go złapać.

- Byłoby rewelacyjnie... Kurczę, Bizon, ty chyba specjalnie nam wybrałaś ten apartament, z tego miejsca w hotelu rozciąga się najpiękniejszy widok na ocean, prawda?

Faktycznie, panorama - szczególnie wieczorem - prezentowała się imponująco. W dole rozciągał się ogród

oświetlony ciepłymi kolorami zachodzącego słońca, szumiały, a raczej postukiwały, kołysane wiatrem liście palm, intensywnie pachniały egzotyczne rośliny, a w dali połyskiwała na złoto plaża, ocean robił się granatowy, zanikała linia horyzontu.

- Pięknie, co? Są tylko dwa apartamenty z takim widokiem, nasz i ten obok. Obczaił je Książę Leto. Tak nazywałem przyjaciela, ale to inna historia. No, w każdym razie, gdy razem tu przyjeżdżaliśmy, to zawsze rezerwowaliśmy oba pokoje. Niestety tym razem nie mogłem tego drugiego zarezerwować dziewczynom. A to też dziwna historia...

- No dawaj.

- Byliśmy tu z Leto w zeszłym roku i mieszkaliśmy w tym apartamencie, który mamy teraz, a w tym obok mieszkał taki wielki Rosjanin ze strasznie chudą żoną. Ona miała wielkie, sztuczne cycki, pamiętam, bo nazwaliśmy ją Cyclerona, a faceci opowiadali o niej brzydkie dowcipy. Bywamy okrutni, hi, hi! Nie gorszą cię?

- No co ty, nie martw się, kobiety też takie bywają - zaśmiała się Szabla.

- W każdym razie temu Rosjaninowi coś zginęło z pokoju i zrobiła się straszna afera. Nie mam pojęcia, jak to coś mogło zginąć, bo w apartamencie ciągle ktoś przebywał. Rosjanin był chyba jakąś szyczą, miał ochroniarzy. To coś, co zginęło, musiało być cenne, bo szukali tego dniami i nocami. Prosili nawet wszystkich mieszkańców hotelu na indywidualne rozmowy. Muszę przyznać, że były dość nieprzyjemne, ale nie na tyle, żeby

to komuś zgłaszać. Zresztą Rosjanin zastrzegł, że nie wolno sprowadzać policji. Wszystko to było dziwne, ale właściciel hotelu bardzo się przejmował, bo Rosjanin był częstym klientem. Pozwolił mu nawet wiercić dziury w ścianach tego apartamentu, aż u nas w pokoju czuło się wibracje.

- No to nieźle, a dowiedziałeś się, co zginęło?

- Nie, co ty, to jakaś wielka tajemnica była.

- No i co? Tak rozwiercili ten apartament, że przez rok go nie zdążyli wyremontować?

- Nie, ale gdy chciałem zarezerwować ten apartament, okazało się, że jest zajęty. W innym terminie też był zajęty, więc podpytałem kumpla, o co chodzi, on mi powiedział, że ten Rosjanin to jakiś świr, bo od roku non stop rezerwuje ten pokój i nikogo do niego nie wpuszcza.

- No co ty? To faktycznie świr. Hm... Może myśli, że to coś, co zgubił, jeszcze gdzieś jest w pokoju? No ale w ciągu roku to chyba by to znalazł, nie?

- No chyba. Zresztą wywrócił ten pokój na lewą stronę, więc myślę, że ktoś to coś ukradł i wyniósł, ale Rosjanin chyba ma inne zdanie albo się tak przywiązał do apartamentu, że go nie chce oddać, ale z tego co wiem, to tu nie bywa.

- Ciekawe, hm... To wszystko jest bardzo ciekawe...

Myśli Szabli przypominały elementy puzzli... Kilka z nich zaczęło się układać w wyraźny wzór. Historia Rosjanina wydawała się do niego idealnie pasować. I już,

już, Szabla miała wyznać Bizonowi, z jakiego powodu wybrała akurat jego biuro podróży, i opowiedzieć trzepakową przygodę Kudłatej, jednak coś ją powstrzymało. Coś bardzo niepokojącego...

Rozdział 28

Tymczasem w Polsce lało jak z cebra.

Ceber, czy też po staropolsku czber, było to naczynie z drewnianych klepek służące do przenoszenia wody. Opisał je już Gall Anonim w *Kronice polskiej*. Pomiedzy klepkami zdarzały się szczeliny, przez które przeciekała woda, dlatego ludzie przenoszący cebry, wyglądali, jakby zlał ich ulewny deszcz.

Tak też w mokrej Polsce wyglądali wszyscy obywatele niebędący szczęśliwymi posiadaczami samochodów zaparkowanych w podziemnych garażach. Nie dość, że lało, to jeszcze wiało, więc na nic zdały się parasolki i kapturki. Od wieków Polacy mokli w ten sam sposób.

Taka też przemoczona do suchej nitki dotarła do domu Bazylia. Godzinę wcześniej wyruszyła z najmłodszą pociechą w wózku na podbój lokalnego warzywniaka. Niestety błędnie obliczyła swoje prawdopodobne tempo, siłę wiatru i zbyt pozytywnie oceniła rodzaj chmur zasnuwających błękit nieba.

Mówi się, że macierzyństwo uwstecznia myślenie. Nic z tych rzeczy. Niech bezdzietni sami się przekonają. Aby obliczyć czas potrzebny na zrobienie zakupów w warzywniaku, trzeba do „a gu gu!” dodać czas międzyposiłkowy i międzykupkowy bobasa, wynik podnieść do potęgi złego humoru spowodowanego złą pogodą oraz pomnożyć przez efekt zacinającego się wózka. Nie tak łatwo uzyskać miarodajny wynik, prawda? W obliczeniach Bazylia był błąd i to on spowodował, że przez piętnaście minut pchała wózek w ulewnym deszczu, którego szum nie zdołał zagłuszyć płaczu bobasa niezadowolonego z niewydolności rachunkowej mamy.

- Matko Jedyna! - sapnęła Bazylia, wchodząc do domu. Mąż tylko zerknął spod obu średnich pociech i psa (byli w trakcie zabawy w bicie i gryzienie, która polegała na zmasowanym ataku wszelkich mniejszych stworów na największego stwora w domu, i zwykle kończyła się przygnieceniem większego stwora pozostałymi).

- Ślicznie wyglądasz, skarbie, jak zwykle, taka mokrutka i mięciutka - mruknął mąż, licząc na to, że rozładuje napięcie Bazylia.

Tak też się stało, komplement zadziałał rozśmieszająco. Gdy Bazylia zdołała osuszyć siebie i spacyfikować niezadowolonego bobasa, weszła do kuchni. Na stole leżały już ciastolina, wyciskarki i foremki. Ta zabawa co prawda gwarantowała wielki bałagan, ale dawała rodzicom około pół godziny wytchnienia od maluchów. Była sobota, Baza nieśpiesznie zaparzyła wczesnopopołudniową kawkę, usiadła na

kanapie i przytuliła się do męża. Pachniał trochę wodą po goleniu, trochę kiełbasą, którą spałaszował w ramach deseru, trochę oliwką dla dzieci i trochę mokrym psem. Bazyliu uwielbiała tę domową i męską mieszankę zapachów.

- Najchętniej bym już dzisiaj nigdzie nie wychodziła - mruknęła.

- No... Ale wiesz, że za pół godziny nasze dzieci będą jak zwierzaki w klatce... Trzeba je będzie wybiegać...

- No wiem, wiem, ale ja po tych zakupach w warzywniaku jestem wybiegana na zapas. Poza tym, nie pocieszę cię, czeka nas dzisiaj wizyta u ciotki Miodzi.

- Uch... - westchnął mąż zbolonym tonem. - Musimy?

- No musimy, musimy, zapraszała nas tysiąc razy, mamy ją pod nosem i przegapiliśmy jej urodziny, to teraz z imienin się nie wymigamy.

- O matko! Nie pod nosem tylko pół godziny drogi stąd... A... Małemu zęby rosną. To podchodzi pod jednostkę chorobową, co nie? - mąż łapał się ostatniej deski ratunku.

- Nie wymigasz się, pomyśl, jedna wizyta i spokój na następne pół roku.

- Ale na chwilę, co? Pół godziny i wychodzimy?

- No dobra, dobra, postaramy się - uśmiechnęła się Bazyliu.

Mąż Bazyliu nie lubił wizyt u ciotki Miodzi, bo jego zdaniem reprezentowała werbalny pedigree pał, czyli

mówiła bardzo dużo, ale ani smacznie, ani treściwie. Poza tym spotkania u niej były wyzwaniem dla całej rodziny, bo niezbyt czysty dom ciotki obfitował w durnostojki. Te dziwaczne kurzołapy niezmiernie ciekawiły wszystkie dzieci, szczególnie najmłodszego synka, który lubił poznawać je organoleptycznie, co czasem kończyło się zjadaniem bibelotu w całości lub części. Durnostojki uwielbiały też spadać z komód, gdy tylko ktoś dynamicznie ruszył się w ciasnym pomieszczeniu, a wiadomo, że pełne energii dzieci nie usiedzą zbyt długo spokojnie na krzesłach. Niepojętym było, jakim sposobem przysadzista ciotka przemieszczała się po ciasnych pokojach zawalonych bibelotami, żadnego nie zrzucając, podczas gdy dzieci Bazylia w czasie półgodzinnej wizyty unicestwiały od dwóch do pięciu durnostojek. Ciotka lamentowała, że dzikusy niszczą pamiątki rodzinne, i patrzyła ze złością na małych wandali. Bazylia przeproszała ciotkę i proponowała, że odkupi bibelot. Miodzia się oczywiście nie zgadzała, ale mąż Bazylia podejrzewał, że tylko dlatego, żeby ukryć prawdziwą wartość durnostojek, które pochodziły zapewne ze straganu pod blokiem. Miała też ciotka pretekst do obmówienia niewychowanych, siejących zniszczenie dzieci przed sąsiadkami. Właściwie nie wiadomo było, po co i dlaczego ciotka ich zaprasza do siebie, prawdopodobnie po to właśnie, żeby mieć temat do rozmów na następne pół roku. Ciotka uwielbiała plotkować, więc Bazylia wysłuchiwała osiedlowych nowinek z ostatnich miesięcy. Gdyby nie Baza, niewiele osób by ciotkę odwiedzało. Mąż Bazylia opierał się, unikał odwiedzin jak ognia, ale musiał odpuścić, gdy żona

kilkukrotnie wygłosiła przemowę o tym, że Miodzia jest starszą, zgorzkniałą, nie do końca poczytalną kobietą, która żyje osamotniona, nielubiana. Ciotka rozpamiętywała czasy swojej młodości i świetności. A była kiedyś utalentowaną, bardzo piękną artystką rewiową. Obecnie nie chciała przyznać, że za długo wodziła za nos wszystkich adoratorów i w końcu z tego powodu została sama. Bazylia żał było zgryźliwej ciotki, która nie zauważyła, że czasy się zmieniły i nikogo już nie interesowały przeboje sprzed lat oraz dawne gwiazdy. Rozumiała, że Miodzia żyje przeszłością, bo nie potrafi dobrze odnaleźć się w teraźniejszości.

Taka już była Bazylia, patrzyła na innych przez pryzmat uczuć i musiała być Matką Teresą dla całego świata. Trochę już ją życie tej uczuciowości oduczyciło według zasady miękkie serce, twardy tyłek, ale nadal była idealistką.

Cóż było zrobić, mąż uznał, że taką właśnie Bazylię kocha i może się poświęcić raz na jakiś czas przez pół godziny. Poza tym od zeszłego roku, kiedy to ciotka wybrała się z koleżanką na tydzień na Maderę, jej stan emocjonalny uległ nieznacznej poprawie. Życie sąsiadów i rodziny nie stanowiło już jedynego tematu rozmów z Miodzią. Repertuar powiększył się o sporą ilość opowieści z Madery, jakby ciotka spędziła tam co najmniej kilka lat, a nie siedem dni. Nie dało się nie zauważyć, że większość tych anegdot była zmyślona, jednak lepiej słuchać częściowo zmyślonych, ale sympatycznych historyjek o egzotycznych miejscach, niż częściowo zmyślonych złośliwych plotek o sąsiadach.

Leniuchowanie przy kawie przerwała małżonkom kłótnia dzieci.

- Buuuuu!

- Łaaaa, on mnie uderzył!

- Buuu!

- Mamo, no!

- Buuu! Bubuś dziół mi ciacia!

- Uch, koniec tego dobrego, ojciec - westchnęła Bazylika, leniwie gramoląc się z kanapy.

- Dzieci, zbierajcie się, jedziemy do cioci Miodzi!

- Nie!!! - zgodnie zaprotestowały maluchy.

- Ja chcę do kina!

- I na ciuchcie! I lody!

- Buuuu, ciacia!

- No, będzie przeprawa - uśmiechnął się mąż Bazyliki.

- Ciapa was zaraz zje, łobuzy! Ciapa! Jedzonko!

- Aaaaaa!!! - krzyknęli chłopcy. Niedawna kłótnia między braćmi przerodziła się w zabawę, załamane buzie już się uśmiechały. Maluchy zaczęły radośnie uciekać przed machającym ogonem labradorem, który na słowo „jedzonko” wyrywał się z najgłębszego nawet snu.

Faktycznie stało się tak, jak podejrzewał mąż Bazyliki. Po początkowym sukcesie (dwie na trzy kurtki zostały założone bez płaczu) nastąpiło załamanie. Średnia latorośl absolutnie nie chciała założyć swojej kurteczki i na wpół ubrana zaczęła uciekać. Do zabawy w gonitwę

dołączył najstarszy chłopiec, a najmłodszy akompaniował braciom głośnym płaczem. Sytuacja została opanowana, gdy rodzice obiecali lody i karuzelę. Dopiero wtedy dzieci pozwoliły się ubrać, umieścić w samochodzie i przysięgły, że będą grzeczne u cioci.

Do Miodzi dojechali oczywiście spóźnieni. Nie wypadło to dobrze, ponieważ ciotka, jak się okazało, zaplanowała większą imprezę – o czym ich oczywiście nie powiadomiła – i pozostali goście w przedziale wiekowym osiemdziesiąt plus już dawno przybyli.

- No, nareszcie są nasi spóźnialscy! Ta młodzież to teraz taka nieodpowiedzialna, prawda? – ciotka zwróciła się z pełnym politowaniem uśmiechem do przybyłej na audiencję starszyczny, która pochylała się nad kawami i ziółkami.

- Pół godziny i ani minuty dłużej – warknął Bazylia do ucha męża. – A jak skrytykuje dzieci, to nie ręczę za siebie.

- Och... – jęknęła Bazylia.

Jej mąż był naprawdę kochany i wiedziała, że męczy się u ciotki tylko dla uspokojenia jej sumienia. Wiedziała też, że naprawdę trudno było go wyprowadzić z równowagi. Miał jednak swoje punkty zapalne – na przykład nie panował nad sobą, gdy ktoś szkalował jego dzieci albo dzieci w ogóle, albo się do dzieci nieodpowiednio odnosił czy też posuwał się do rękoczynów. W takich momentach mąż Bazylia przełączał się na tryb obrony przez atak. Nie przebierał wtedy w słowach, co przerażało Bazylię, i był skory do agresji. Bazylia doskonale rozpoznawała oznaki nadchodzącego

wybuchu. Kiedy żyła na czole męża zaczynała pęcznieć i pulsować, oznaczało, że trzeba natychmiast zbierać rodzinę w zacisznym miejscu, bo nie wiadomo, jak się sytuacja może skończyć. Teraz z niepokojem zerknęła na czoło męża.

- No wchodźcie, wchodźcie, my tu wszyscy głodni czekamy, bo przecież tortu bez was nie mogłam rozkroić - kontynuowała reprimendę Miodzia. - No, dajcie cioci buzi.

Na to hasło dzieci schowały się za Bazylię, a najmłodszy, jeszcze nieświadomy zagrożenia, przyglądał się ciotce z fotelika samochodowego, bacznie filując jednak, kiedy należy się rozpłakać.

- No cześć, ciociu - Bazylija jako pierwsza wystawiła się do ucałowania, dzielnie osłaniając dzieci własnym ciałem. - One nie lubią buziaków, taki wiek.

- Kto to widział?! Dawniej to było nie do pomyślenia, żeby dziecko coś chciało albo nie, prawda? - Miodzia zwróciła się do zgromadzonych. - No to już idę po tort, sama robiłam, wyszedł wspaniale, zobaczycie!

Ciotka miewała przedziwne zapędy kulinarne, właściwie gotowała przeciętnie, za to ciasta robiła fenomenalne, jeśli tylko ich nie udziwniała, a niestety miała do tego tendencję. Ciasto drożdżowe albo sernik smakowały rewelacyjnie, za to placki przekładane masami o dziwnych smakach - już niekoniecznie. Tym razem również.

- Cały dzień robiłam. Oto tort truflowo-awokadowy z brandy - zapowiedziała, wnosząc dzieło.

Zapadła cisza.

Uroczystą chwilę przerwał brzdęk. Uchu, pierwsza strata. Goście odwrócili się w stronę, skąd rozległ się dźwięk i zobaczyli uciekającą właśnie z miejsca zbrodni średnią latorośl Bazylia.

- No nic, no nic! Niech dzieci lepiej usiądą i zjedzą, w końcu lubią słodkie, chyba się nie mylę? - powiedziała ciotka z obrażoną miną.

Jak się okazało, tort był i głównym, i jedynym punktem kulinarnym programu podwieczorkowego. Był przesączony taką ilością brandy, że żaden inny smak nie przebił się przez alkoholowy krem. Dzieci siedziały smutno nad pustymi talerzykami, więc Bazylia położyła na nich ciacha misie, które przewidująco zabrała ze sobą z domu. Ciotka oczywiście obraziła się, ale Bazylia już naprawdę się tym nie przejęła. Próbowwała szybko przełknąć niesmaczny kawałek tortu i czym prędzej się ulotnić. Chciała usiąść, niestety ostatnie wolne miejsce było tuż obok ciotki na kanapie. Bazylia z westchnieniem opadła na nie, narażając się na potok słów lecących z ust Miodzi prosto do jej ucha.

Dzieci w międzyczasie pochłonęły ciacha misie i wymknęły się z tatą na korytarz. Tam rzucali pieluchą najmłodszego malca, a kogo trafiła pielucha, ten był kupą i musiał się wycierać. Po każdym dziecięcym okrzyku „kupa” i wybuchu śmiechu ciotka spoglądała karcąco na Bazylię, nie przestawała jednak mówić, a Bazylia rozmyślała: „Oby wytrzymać do końca tortu”.

- No i widzisz, Stasiakowa taka głupia, że poszła do jakiegoś lekarza, a wiadomo przecież, że lekarze to tylko w łapę biorą i nie leczą, na jakieś badania kazali jej iść, i jeszcze jej coś, nie daj Boże, wykryją, a mówiłam jej, żeby poszła do tego naszego pana Zdzisia, on wymasuje kręgosłup, i potem już nic nie boli, i jeszcze takie kamienie można u niego kupić, ja to już mam trzy, i zobacz, od razu jaśniej się u mnie w domu zrobiło, to dobra energia. Jak byłam na Maderze, to oni też tam takie mieli. W słojach stały i, widzisz, tam ludzie z lepszą energią chodzą, dobrze, że chociaż ten jej mąż zmarł, bo już naprawdę by się załamała, no wiesz, z niego był okropny dziad, aż strach mówić, nigdy nic mu się nie podobało, nic nie mówił, dobrze, że tego wnuczka ma takiego, ale jaki on biedny, jaki biedny, bo wiesz, że tę jej córkę, no jego matkę przyszywaną, bo to naprawdę jej siostry dziecko było, wiesz, mówiłam ci, ale ciiiicho, bo nikt nie wie... - tu głos ciotki przeszedł w teatralny szept, tak donośny, że wszyscy zebrani mogli usłyszeć - ...no i ona w więzieniu siedzi, ale ona nie mówi za co, ale ludzie mówią, że ukradła coś, ale ona z tymi łysymi jeździła samochodami... - Miodzia na szczęście przerwała, aby przełknąć ślinę.

- Ciociu, ale chyba jeszcze nikogo nie aresztują za jeżdżenie samochodem z łysym kierowcą... - zdążyła wtrącić Bazylią.

- No i wiesz, jaki biedny ten synek - ciągnęła ciotka, zignorowawszy uwagę Bazylii. - Jego pobili! Z niego taki grzeczny chłopiec był i wyszedł raz z kolegami, grzecznie piwko sobie przy bramie pili, no tam, przy biurze podróży

moim, z którym jeżdżę na Maderę, wiesz, na Maderze to by było nie do pomyślenia, tam wszyscy są grzeczni i mili, tak jak powinno być, a jak się pani jedna spóźniła, żeby nas oprowadzić po miasteczku, to bez przerwy nas przeproszała, no i oni na to piwko poszli, jedno przecież to nie grzech, i wylazł taki olbrzym, taki jak ten z filmu o Batmanie albo Brusie Lee, właśnie taki, i pobił ich normalnie! Wyobrażasz sobie? I podobno z biura tego mojego wyszedł, ale ja nie wiem, czy będę z nimi jeszcze jechać, bo tam się dziwne rzeczy dzieją. Ty wiesz? Tam podobno kogoś zamordowano!

- W biurze?

- No, ludzie mówią, że tak, że się właściciel powiesił na wieszaku! I, wyobraź sobie, czekam, i czekam, i na poczcie codziennie jestem, i nawet mnie nie poinformowano! Jestem przecież stałą klientką! Co za brak szacunku! Chyba, że to ta panienka z okienka na poczcie mi list ukradła, ja zawsze mówiłam, że jej to źle z oczu patrzy. A ja w ogóle myślę, że to pewnie ten dryblas, ten Bruce Lee, jak on biedne dzieci bije, no jak tak można, jak tak można, w szanowanej okolicy?! Przecież tu artyści mieszkają i profesora nawet mamy klatkę dalej, takiego od niczego, bo od genetyki. Niby co to ma być właściwie? Podobno jakaś nauka o człowieku, no ja nie wiem, co na to ksiądz, no ale zawsze tytuł to tytuł, tylko dzisiaj akurat miał urodziny ciotecznej synowej brata, sam mi mówił, i nie mógł przyjść, no jak profesor mówi, to chyba się nie myli, w końcu oni książki piszą... - potok słów Miodzi przerwały niepokojące

dźwięki dobiegające z głębi domu. Brzdęk, brzdęk!
BRZDĘK! Łubu-du!

- Oj, ciociu, przepraszam, widzisz dzieci...

- No widzę, widzę, że sobie nie radzicie, może też byś poszła do pana Zdzisia, może te kamienie działają też na nieułożone potomstwo... Ja zapytam dla ciebie...

- Musimy iść już ciociu, przepraszam cię bardzo, zresztą masz dzisiaj dużo towarzystwa...

- Widzisz, tak to jest, gdy się jest taką rozchwytywaną, każdy chciał przyjść, moje imieniny to wydarzenie, a tamta pani, widzisz, to z muzeum jest, to znaczy była tym, no... kustoszem, tylko te włosy takie brzydkie ma, niby nowoczesne to to, a fe! I wiesz, ona to zawsze z zainteresowaniem ogląda moje eksponaty. A tu pan magister od matematyki, tylko żona mu się nie udała, taka głupia, tak, wszyscy będą o nich mówili...

Brzdęk!

- No idźcie, idźcie już, bo naprawdę nic mi z pamiątek rodzinnych nie zostanie, a chciałam ci to wszystko zapisać, bo komu, jak nie rodzinie, ale te twoje dzieci to zniszczą wszystko, ale ja wiem, ja wiem, że to nie twoja wina, dziecko, to ten twój mąż, w niego się wdały...

- Ciociu, do widzenia.

- No, zadzwoń też czasami, bo nic nie dzwonisz. No, pa, pa.

W korytarzu czekało już na Bazylię całe towarzystwo, wszyscy mieli założone kurtki, dzieci stały grzecznie

z nadzieją wymalowaną na twarzach, gotowe do pójścia na obiecane lody do cukierni.

- Idziemy, idziemy, tylko ładnie, pa, pa zróbcie!

Na to hasło dzieci z prędkością światła pomachały łapkami i już były na klatce schodowej.

- Co, uratowaliśmy cię? - zapytał mąż z błyskiem w oku.

- Uch... Tak... Mam dosyć na następne pół roku.

Jak się okazało później, miały się z ciotką spotkać znacznie wcześniej przy zupełnie innej okazji.

Reszta soboty była wyjątkowo spokojna i udana. Niebo pojaśniało, więc dzieci mogły pojeździć na karuzeli, a lody w cukierni smakowały znakomicie. Maluchy bawiły się świetnie, nawet najmłodszy członek rodziny huśtał się na okrągłej huśtawce i zaśmiewał się przy tym do rozpuku. Potem wszyscy zostali nakarmieni w dobrej knajpie. W drodze powrotnej do domu dzieci zasnęły i wyglądały w fotelikach samochodowych jak trzy śliczne smerfiki.

- Rany, kiedy śpią, wyglądają jak aniołeczki - szepnęła Bazylia.

- Fakt, tylko dlaczego zamieniają się w diabły, kiedy się obudzą? - zaśmiał się cicho mąż Bazylii.

Bazylia patrzyła na świat przesuwany się za oknem samochodu i analizowała intensywny dzień. Dopiero teraz dotarła do niej pewna myśl, która błędziła jej po głowie od momentu spotkania z ciotką: „Co to za agresywny Bruce Lee z biura podróży? Rany, chyba nie Bizon...

Dziewczyny mogłyby wreszcie zadzwonić z tych Kanarów.
Pewnie się za dobrze bawią, żeby o mnie pamiętać...
Oby...”.

Rozdział 29

Bazylią musiała oczywiście podzielić się z kimś niepokojem spowodowanym opowieścią Miodzi. Mogła zostać zrozumiana tylko przez inną kobietę. Z mężem, owszem, można było pogadać, ale rezultat przynosiło to marny. Facet nie przeanalizuje, nie będzie się wgryzał w problem, dogryzał ani lamentował, rozważał czy lękał. Mąż podszedł do sprawy jak typowy facet, orzekł: „Bizon? Eee, nie. Mocno łapę podaje, zdrowy uścisk ma, żaden psychol”. Koniec wypowiedzi, koniec tematu. Jak można właściwie z uścisku ręki wysunąć wniosek, czy ktoś jest psycholem, czy nie? Ach, te dziady. Rozmowa z facetem nic nie da, baba nadal będzie się martwić.

Toteż Bazylią zadzwoniła do Kudłatej. Ta jednak nie mogła rozmawiać, bo miała urwanie głowy z przyjęciami pacjentów na oddział szpitalny. Można było przewidzieć, że nie będzie miała czasu na rozmowę, bo był poniedziałek, a poniedziałki i piątki należały w życiu lekarzy do najgorszych dni przyjęciowo-wypisowych. Dlatego dzwonienie do Kudłatej i denerwowanie jej było surowo zakazane. Dziewczyny umówiły się na kawę

w środę, środa była odpowiednia na trudne rozmowy. Zwykle wtedy mózg pracujący od poniedziałku na najwyższych obrotach trochę zwalniał i można go było wykorzystać do zdiagnozowania prywatnych spraw. Tak więc w środę po południu Kudłata zjawiała się u Bazylia.

- Jesteś, super, ale kawę to sobie zrób sama, bo ja muszę mleko robić - przywitała przyjaciółkę Bazylia.

Kudłata wyobraziła sobie Bazylię dojącą krowę we własnej kuchni i minęła chwila nim ten absurdalny obraz wyleciał jej z głowy. Potem zabrała się do robienia kawy. Ekspres umieli obsługiwać wszyscy odwiedzający Bazylię, bo była to najczęściej używana maszyna w domu.

Bazylii zajęło chwilę uporanie się z maluchem, który był tego dnia wyjątkowo marudny i nie chciał ani mleka, ani bawić się, ani przebrać, ani spać. Uspokajał się tylko wtedy, gdy był noszony na rękach. No cóż, macierzyństwo to ciężka praca i w dodatku szefa trzeba nosić na rękach, a szef czasami swoje waży.

- Nie da rady, młody zostaje, bo już nie wiem, co z nim robić - Bazylia w końcu usiadła z synkiem czerwonym od płaczu. - Chyba zęby mu rosną, bo marudzi dramatycznie. Proszę, ciocia, teraz twoja kolej na kangurowanie - powiedziała i podała malca Kudłatej.

Chłopczyk był mięciutki, pulchny i wcale nie ciężki, i pachniał tak cudnie! „Że też nie produkują perfumów o bobaskowym zapachu... Zrobiłyby furorę”, pomyślała Kudłata.

Bazylia dołała mleka do kawy i spojrzała na książkę, którą Kudłata czytała w trakcie jej nieobecności.

- *Macierzyństwo bez lukru?* Kudłata, co ty planujesz?
I z kim?

- A nie, nie, koleżanka mi dała do poczytania. Chyba w ramach obrzydzenia macierzyństwa, brakuje u nas obsady na dyżury, bo dwie dziewczyny właśnie zaciążyły. Ale muszę przyznać, że ta lektura to niezły horror...

- Bo też idiotyzmy czytasz! - wkurzyła się Bazylia. - Takie poradniki są bzdurne, oddają połowę prawdy, to jakby piękna top modelka napisała książkę o pryszczu na nosie, pomijając informacje o swojej urodzie oraz sukcesie w zawodzie. Owszem, czasem nie jest łatwo i słodko być matką, czasem macierzyństwo jest jak ten pryszcz na nosie modelki: wkurza i przeszkadza, ale co z tego, skoro jest tylko drobną niedogodnością, która pojawia się czasami i znika. Jest niczym przy ogromie piękna, jakie niesie ze sobą macierzyństwo. I po co pisać książki o pryszczu? Im więcej się go wyolbrzymia, tym bardziej wydaje się nie do pokonania, a tak naprawdę to po chwili zniknie i nie będzie się nawet o nim pamiętać. Daj sobie spokój, Kudłatka, z tą książką.

- Pewnie masz rację, nie powinnam się nakręcać. Według mojej książki z położnictwa ciąża nie może się udać. Policzyłyśmy z koleżanką procent zachorowalności na każdą z wymienionych w niej chorób i wyszło nam sto dziesięć! Straszne rzeczy piszą też autorzy książek z neonatologii i pediatrii! Brrr! I jeszcze teraz ta książka. Właściwie chciałam zrezygnować z jej czytania, bo już i tak nieźle jestem przerażona. Co tam urodzić, potem to dopiero jest horror! Masakra... Ale i tak gdy wacham

tego twojego bąbla, to mi się zachciewa zostać mamusią... - odpowiedziała rozanielona Kudłata.

Maluchowi wyraźnie podobało się na rękach u cioci, bo wpatrywał się w nią wielkimi niebieskimi oczkami i uśmiechał leciutko.

- No i super, ciotka, masz fuchę. Niańcz małego. Ty się nastawisz prorodzinnie, a mnie kręgosłup odpocznie - zaśmiała się Bazylia. - My tu gadu-gadu, a ja chciałam z tobą coś ważnego omówić.

I zaczęła się prawdziwa babska „kawa”. Zawsze kiedy przyjaciółki umawiają się na plotki, zamawiają albo robią kawę w wielkim kubku, żeby nie musiały przerywać rozmowy na robienie sobie następnej. Tak też było tym razem.

Baza podzieliła się z Kudłatą podejrzeniami na temat Bizona, a Kudłata jak typowa przedstawicielka płci pięknej rozprawiała, analizowała, myślała, zamartwiała się. W końcu przyjaciółki ustaliły, że nie będą turystek niepotrzebnie niepokoić wątpliwościami na temat Bruce'a Lee z biura podróży, tylko sprawdzą, co u nich słychać, szczególnie u Szabli. Jak ustaliły, tak zrobiły. Zadzwończyły natychmiast, ale nie dodzwoniły się do żadnej uczestniczki wycieczki, dlatego plotkowały dalej na inne tematy. Kudłata opowiedziała Bazylii dokładnie historię Obolałego w roli niedoszętego ojca, przyszłej-niedoszętej Diunskiego i może przyszłego Boskiego-Męskiego. Pleplały tak prawie do nocy z przerwami na odebranie starszaka z przedszkola, przywitanie średniaka przywiezionego od babci, zjedzenie obiadu, który mąż

Bazy wielkodusznie przytransportował z okolicznej knajpy, wykąpanie i uśpienie trójki smerfów. Bazyliowa rodzinka działała jak w zegarku, praca szła jak w wesołej fabryce.

Kiedy dzieci już spały, mąż Bazy, znawca wina, zapodał dziewczynom po kieliszku pysznego, gruzińskiego, czerwonego, półwytrawnego specjału.

- Kurczę... - zaczęła Bazylia rozciągnięta w pozycji horyzontalnej na fuksjowej kanapie pełnej dziecięcych zabawek. - Zawsze sobie obiecuję, że wieczorem po wykąpaniu dzieci coś jeszcze zrobię, pójdę do siłowni, na aerobik, pobiegać, do kosmetyczki, fryzjera i ...dupa, zawsze padam czterokończynowo...

- Eee, Baza, przecież ty nie lubisz siłowni ani biegania, no może fryzjerka i kosmetyczka wchodziłyby w grę...

- Masz rację, ale teraz jest taki szal na to bieganie i siłownię, że aż się czuję wykluczona z klanu pięknych, chudych i biegających.

- Ha, ha, no co ty, Baza, ja też się nie zaliczam to takich, choć biegam wystarczająco dużo po oddziale. Powiem ci jednak szczerze, że popieram ideę zdrowego stylu życia z całego serca. Codziennie w szpitalu widzę pacjentów, którzy sami się doprowadzili do otyłości, nadciśnienia, chorób serca. Mimo to wcale nie uważam, że każdy w kraju musi obowiązkowo wieczorem wciskać się w trykot i biegać. Wiesz, są też inne, całkiem fajne rodzaje aktywności.

- A to fakt, słuchaj przyjaciółki! - podchwycił nagle mąż Bazylii skupiony do tej pory na dłubaniu w swoim nowym latajotku.

- Ach, ty dziadu, ty tylko o jednym - chichotała Bazylia. - Ja o aerobiku myślałam, no i pływać lubię... Ej, może na basen się wybierzemy, co? No i na te konie z Szablą by można... Niech się tylko cieplej robi.

- Możemy, chociaż wolę pływanie, bo konie mnie przerażają, takie to wielkie i z przodu gryzie, z tyłu kopie... A skoro już mowa o aktywności fizycznej - siorbnęła winko Kudłata - zauważyłaś, jaki kryzys autorytetów nastąpił w naszym kraju? Zaobserwowałam ostatnio, że gdy ktoś ma zgrabny tyłek, mimo że jest to jego jedyne osiągnięcie życiowe, a częściej osiągnięcie jego genów, to staje się natychmiast autorytetem we wszystkim. Co się stało z ludźmi, którzy coś przeżyli, stworzyli, pomogli komuś, napisali naprawdę mądre, piękne książki? Czytałam, że w latach osiemdziesiątych prawie połowa młodzieży licealnej podawała za swój autorytet Jana Pawła II, a obecnie jego miejsce zajęła jakaś pani od fitnessu, nazwiska nie pamiętam. I nie mam nic przeciwko pani od fitnessu, ale niech pani trzyma się swojego miejsca w życiu i niech nie udaje, że jest psychologiem, lekarzem, mędrce, wizjonerem, artystą, znawcą wszystkiego. Jest panią od wufu, może fajną i miłą, może w przerwach między treningami czyta Nietzschego, Kanta i Freuda, ale to, że ma pięknie wykształcone pośladki, nie znaczy, że jest specjalistką od życia!

Rozemocjonowana Kudłata wzięła na tapetę programy telewizyjne szukające odpowiedzi na odwieczne pytanie „Jak żyć?” i odmalowała taką scenkę:

PANI REDAKTOR: Dziś rozmawiamy o tym, jak żyć. W naszym studiu eksperci: pani od wuefu, pan doktor od skakania na prawej nodze i pani od skakania na lewej nodze. Jak żyć, proszę państwa?

PANI OD SKAKANIA NA LEWEJ NODZE: No ja uważam, że tylko skacząc na lewej nodze, to jedyne wyjście.

PAN DOKTOR OD SKAKANIA NA PRAWĘJ NODZE: Ależ skąd, jedynie trenując skakanie na prawej nodze. Oświadczam pani, że prawa noga jest fizjologicznie i anatomicznie znacznie lepiej przystosowana do skakania przez życie! Należy skakać tylko na prawej.

PANI OD WUEFU: Proszę państwa, od dawna wiadomo, że podstawą życia są wzloty i upadki, i dlatego trzeba robić przysiady oraz wysoki, inaczej nie da się żyć!

PANI REDAKTOR: (nieśmiało) A może by tak przejść przez życie bez wyskoków?

PANI OD SKAKANIA NA LEWEJ NODZE, PAN DOKTOR OD SKAKANIA NA PRAWĘJ NODZE, PANI OD WUEFU: (chórem) Co za zacofanie, co za ograniczony umysł!

Kudłata ciągnęła dalej:

- W dodatku takie wypaczone programy powodują, że głównie kobiety, bo mężczyźni rzadko je oglądają,

zaczynają dbać tylko o powłokę zewnętrzną. Eksperci wmawiają im, że jeśli mają aż do przesady wymodelowaną sylwetkę, to automatycznie są mądre, silne, dobre i wszystko wiedzą o życiu, i trzeba brać z nich przykład. A ja uważam, że jest odwrotnie. Po zewnętrznej powłoce od razu widać, kto spędza taką dużą ilość czasu nad jej kształtowaniem, że nie ma już kiedy pielęgnować swojego wnętrza.

- Hm, to według twojej teorii po mnie od razu widać, że jestem dopielęgnowana wewnątrz, bo zewnątrz niekoniecznie - podsumowała ze śmiechem Bazylia.

- Oj, oj, uważaj Kudłata, wchodzisz na grząski teren, cokolwiek teraz odpowiesz, będzie źle - ostrzegł lojalnie mąż Bazy.

- Oj, co ty, Bazylia, każda teoria ma swoje wyjątki, takie jak ja czy ty. Jesteśmy i piękne, i mądre, i w ogóle zajefajne!

- Ha, ha, ha! - zaśmiała się Bazylia, figlarnie odrzucając piękny, kasztanowy lok z czoła. Mąż spojrzał na nią i pomyślał, że byłoby okropnie, gdyby jego ukochane, mięciutkie krągłości zamieniły się w straszne, twarde mięśnie zupełnie nienadające się do miętoszenia. Nie rozumiał, po co baby się odchudzają. „Chyba, żeby zostać ekspertkami od życia... Ale to już inną drogą nie da się do tego dojść?”, zadumał się.

Because I am happy, dźwięk telefonu Kudłatej wyrwał wszystkich z zamyślenia.

- *iHola!* - zagrzmiało w słuchawce. - To my! Właśnie wróciliśmy z wieczornej przechadzki nad oceanem, która

skończyła się kąpielą z drinami w basenie! Żałujcie, babska jedne, że z nami nie pojechałyście!

- No żałujemy, żałujemy, a wszystko OK u was?

- Mówimy właśnie, że bosko, pięknie, ciepło, przewiewnie i pijano! - przekrzykiwały się turystki. - A piña coladę to chyba przemycę jakoś dla was do Polski - dodała Szabla.

Słyszając koleżankę, Kudłata odetchnęła z ulgą i otrząsnęła się z koszmarnych obrazów wyprodukowanych przez własną wyobraźnię.

- Wystarczy składniki przemyścić, przecież to malibu, mleko kokosowe i ananas - wtrąciła jak zwykle zorientowana Antonina.

- To przemycę wszystko, z ananasem włącznie, i będę siedziała na kokosach!

- Ha, ha, to będzie chyba pierwszy raz w życiu! - zaśmiała się Gazela.

- A jak tam Bizon, opiekuje się wami? - badała Bazylika.

- Chyba Szablą! - odpowiedziała Antonina.

- Ej, no nie tylko, dzięki niemu masz swoje wycieczki krajoznawcze! - odparła Szabla.

- No dobra, dobra, w porzo jest, kończymy, bo widzę *camarero!* *iHola!* - zawołała donośnie Antonina.

- Jaka Ola? - spytała Bazylika.

- Nie Ola tylko *iHola!*, tu się „h” nie wymawia, więc tak śmiesznie wychodzi, jakby wszyscy Olę wołali. No

kończymy, jest super, choć tęsknimy już za wami, dziewczynki, ale za kilka dni się widzimy, więc nie płaczcie za bardzo! Pa, pa, pa, pa! - zawołały wszystkie na koniec.

- Buziaki, pa, pa!

- Uf, no to chociaż coś wiemy - westchnęła Bazylia i zapytała męża: - Ale w przyszłym roku to jedziemy, kocie, prawda?

- Jedziemy, jedziemy, niech tylko malutki zaczną tupać, będzie super, zobaczysz - odpowiedział mąż Bazy.

- Ciekawe, czy ja będę miała z kim jechać...- Kudłata jakoś nagle zmarkotniała.

- Wlej no jeszcze tego winka, mąż, żeby rozwiać smutki Kudłatki. Jasne, że będziesz miała, już ja ci znajdę faceta, zobaczysz, a jak nie znajdę, to będziesz miała do opieki nawet trzech, za to najwspanialszych na świecie, ciociu.

- Ha, ha! Zgoda, niech i tak będzie - uśmiechnęła się przyjaciółka.

Rozdział 30

Bizon jak zapowiedział, tak słowa dotrzymał, toteż pędzili małym autkiem na północ wyspy do miejscowości Corralejo, gdzie mieli popływać jachtem. Pogoda tego dnia była nie najlepsza. Co prawda temperatura osiągnęła dwadzieścia pięć stopni Celsjusza, ale na niebie pojawiły się chmury i wiał silny wiatr. Bizon zapewniał, że w ciągu godziny obłoki znikną, wróci słońce i będą mieli super pogodę w czasie rejsu.

W porcie w Corralejo cumowały piękne łodzie. Antonina wybrała sobie z dziesięć takich, które jak mówiła, na pewno kiedyś kupi. Przy każdej obowiązkowo robiła sobie zdjęcie, aby ją zapamiętać. Trzeba przyznać, że pasowała do tego eleganckiego miejsca: była wysoka, smukłości dodawały jej buty na obcasie i biała, letnia sukienka, na głowie miała wielki kapelusz, który kupiła na targu w Caleta de Fuste, oczy osłoniła okularami CHANEL o kocim kształcie wyszperanymi w *second handzie*. W pewnej chwili zaczęła ją grupa Hiszpanów. Próbowali się z nią porozumieć, chyba chcieli, żeby im coś narysowała na kartkach, z którymi do niej podeszli.

Antonina błagalnie spojrzała na kręcącego się w pobliżu Bizona.

- Proszę cię o autograf, wygląda na to, że pomylili cię z modelką Giselle Bundchen - Bizon z uśmiechem przetłumaczył prośby młodych Hiszpanów.

- No to może wyjaśnisz im, że się pomylili? - zdenerwowała się Antonina.

Była zła na siebie, że nie nauczyła się języka na tyle, żeby sobie sama poradzić, nie cierpiała być zależna od kogokolwiek.

- Nie ma sensu - ze spokojem odparł Bizon. - Nie odpuszczaj, lepiej się podpisz po prostu jako Giselle.

- Ale to niezgodne z prawem!

- No skoro chcesz, żeby za tobą przez cały dzień chodzili...

Rozzłoszczona Antonina wzięła kartki od Hiszpanów i rypnęła na nich swoje polskie imię i nazwisko. Kiedy mężczyźni próbowali rozszyfrować, co napisała, pobiegła na kolejny pomost i schowała się za olbrzymim jachtem. Kucnęła, niemal zakryła się swoim olbrzymim kapeluszem i czekała. „Następnym razem ubiorę szorty i *t-shirt* jak Szabla, wielkiej mody mi się zachciało, cholera jasna”, przeklinała w duchu. Wściekła na siebie podniosła się z kucków i stanęła twarzą w twarz z absolutnym księciem z bajki. Przystojny, wysoki, ciemnowłosy Hiszpan z absurdalnie błękitnymi oczami stał tuż przed nią i uważnie się jej przyglądał. „O matko, pewnie to jego jacht i myśli, że coś chciałam ukraść”,

speszona Antonina oceniła sytuację w typowo polski sposób.

- Don Antonio José Maria Kowalski - uklonił się Hiszpan.

- O matko! - wykrztusiła Antonina.

- *Señora guapa*, jak się nazywa, prosić może?

- Antonina - wykrztusiła po chwili właścicielka imienia. „Matko, czy on powiedział do mnie gapa?”

- Ja widział *señora* w opale, czy pomocy szukać?

- Nie, nie dziękuję, ja już nie w opale - łamaną polszczyzną odparła oszołomiona Antonina.

- To może *señora* zdenerwowany, to ja zapraszać na drink na jacht - Hiszpan przyjaźnie pokazał na pięknego olbrzyma.

- O nie, nie, dziękuję, ja umówiona z *friends*, znaczy, *amigos* moi czekają - Antonina zaplątała się w polsko-angielsko-hiszpańskim zdaniu. Nigdy w życiu nie była tak zmieszana i wstrząśnięta naraz, a najgorsze było to, że absolutnie nie mogła oderwać wzroku od tych pięknych, niebieskich oczu.

- To można zaproszać też *amigos*, duża miejsca jest - ucieszył się Księżę z Jachtu.

- O nie, nie, naprawdę, ale dziękuję - Antonina wreszcie oderwała wzrok od hipnotyzujących oczu i zauważyła, że reszta Hiszpana jest równie zniewalająca, więc speszona wycofywała się rakiem po pomoście. „Na szczęście chociaż wyglądam ładnie”, zdążyła pomyśleć

i w tej samej chwili obcas jej bucika zaczepił o jedną z belek kładki. Antonina próbowała ratować się, robiąc sus, co okazało się opłakane w skutkach, bo z wielkim pluskiem wpadła do wody, ocierając sobie przy tym kostkę o jakąś perfidnie przyczepioną do pomostu linę. Nim zdążyła przypomnieć sobie zasady pływania, poczuła, że coś, a raczej ktoś, łapie ją za biodra i unosi w górę. Zgodnie z intencją tych rąk wygramoliła się na pomost.

- Antonina, gdzieś ty była i coś ty zrobiła? Tu się nie pływa! - Na pomost wkroczyła zdenerwowana Szabla, a za nią przybiegł Bizon.

Na pomoście znalazł się również ociekający wodą wybawiciel Antoniny, czyli Księżę z Jachtu.

- Don Antonio José Maria Kowalski - Hiszpan jako pierwszy odzyskał rezon i przedstawił się z ujmującym uśmiechem. - *Amigos señora guapa Antonina są?*

„No teraz na pewno usłyszałam, że mnie gapa nazywa, i słusznie, buu”, pomyślała Antonina.

- Tak, tak my są, znaczy, z nią - niezbyt składnie przytaknęła uśmiechnięta Szabla wpatrzona w niebieskie oczyska Hiszpana. - Szabla - przedstawiła się, podając rękę mężczyźnie.

- Bizon, don Bizon - mruknął Bizon z ognikami w oczach, wysuwając się przed dziewczyny. - Antonina, czy pan ci się naprzykrza?

- Nie, nie, nie - powiedziała szybko Antonina, patrząc na Bizona przybierającego postawę bojową. - Pan mnie

z wody wyciągnął, bo wpadłam...

Dziewczyna się zarumieniła, przylizywała potargane włosy i karciała się w myślach: „Rany, jak nastolata jakaś, gorzej, jak nastolata z filmu dla nastolat”.

- Jak wpadłaś? - zapytała rzeczowo Szabla.

- No tyłem... - odpowiedziała równie rzeczowo Antonina i szczęśliwie ujrzała błysk porozumienia w oczach Szabli.

- Zapraszam *amigos* i *señora* Antonina na jacht na wysuszyć i drink, teraz musi - Hiszpan pokazał zapraszającym gestem na jacht i zdjął mokrą koszulkę.

- Mmm... - usłyszeli przeciągłe mruknięcie i zobaczyli Gazelkę przypatrującą się Hiszpanowi rozmarzonym wzrokiem. - No co, fajny, nie?

- Dziękujemy, ale spieszmy się - powiedział Bizon nadal gotowy do obrony kobiet.

- Ja się nie spieszę, ja się czuję zaproszona na drinka, ja idę - powiedziała odważnie Gazela.

- No, wejdźmy na chwilkę, skoro pan zaprasza - odparła delikatnie Szabla.

Skonsternowana Antonina nadal siedziała na pomoście, mając nadzieję, że jak nie będzie się ruszać, to nikt jej nie zauważy, najchętniej by się stamtąd zmyła po angielsku i doprowadziła do porządku w hotelu.

- To ja zapraszać, tam na tył są kanapas - powiedział przystojniak, podszedł do Antoniny i podał jej rękę. - *Señora* wstać może?

Antonina najchętniej zapadłaby się pod pomost, taka była zawstydzona, ale co było robić... Wstała bez problemu, tylko kostka paliła niemiłosiernie, ale postanowiła nawet na nią nie spoglądać, chodzić mogła.

Hiszpan wziął ją pod rękę i zaprowadził na białą kanapę znajdującą się na rufie.

„O rany, teraz myśli, że jestem taką fajtłapą, że już sama paru kroków przejść nie mogę”, pomyślała Antonina.

Jacht był wielki, wygodny i przepiękny. Gospodarz uraczył gości drinkami, które sam przyrządził, a których składu nie chciał podać, tłumacząc się tajemnicą rodzinną. Mimo że magiczny drink był niskoprocentowy, Bizon poprosił o wodę, bo prowadził samochód. Potem Hiszpan pochwalił się jachtem, pokazał im dwie olbrzymie kabiny sypialne, salon z kuchnią i ekskluzywną łazienkę, co panie natychmiast doceniły, a nawet z niej skorzystały.

Tajemniczy Księżę z Jachtu był pół Polakiem, pół Hiszpanem. Jego ojciec pochodził z Polski, mama była hiszpańską księżniczką, która zrezygnowała z tytułu z miłości do męża obcokrajowca. Gospodarz faktycznie więc zasłużył na przydomek, który nadała mu Antonina, był Księciem z Jachtu.

Spotkanie upływało w miłej atmosferze. Opowiadano historie rodzinne i nierodzinne, wypito kilka drinków. Nawet Bizon się rozluźnił i rozmawiał z Antoniem po hiszpańsku o jakiś technicznych, jachtowych sprawach. Dziewczyny nic nie rozumiały, dlatego nawet nie udawały,

że są zainteresowane. W międzyczasie Bizon zadzwonił do kumpla, z którym był umówiony na rejs, i na łodzi Antonia zmaterializowali się dwaj przystojni Hiszpanie. Wszyscy mężczyźni byli pasjonatami żeglarstwa, więc podnieśli kotwicę i wypłynęli jachtem na ocean, co dziewczynom bardzo odpowiadało. Pogoda się poprawiła, na niebie nie było ani jednej chmurki, a ocean był spokojny. Przyjaciółki w strojach kąpielowych wylegiwały się na dziobie, jacht sunął ospale po srebrzystych falach, a panowie jak te hiszpańskie przekupy perorowali non stop.

- To jest życie, dziewczynki, co? - zamruczała Szabla, patrząc na oddalający się chropaty brzeg Fuerteventury.

- Mmmm, cudnie tu... - odpowiedziała Gazela, Antonina tylko westchnęła.

Powoli zbliżali się do niewielkiej zatoczki przy wysepce Isla de los Lobos, gdzie chłopaki zapowiedzieli przystanek. Antonio oparty o burtę łowił ryby i właśnie z uśmiechem na twarzy wyciągał z wody już drugą.

- Być lancz, *señoras!* - zwołał z uśmiechem, pokazując okaz.

- Być, być super! - odpowiedziały mu dziewczyny.

W zatoczce było bardzo spokojnie, właściwie nie wiało, co na Fuerteventurze, wyspie wiatrów, było niespotykane. Dziewczyny wykąpały się w oceanie, a Księżę, korzystając z nieźle zaopatrzonej lodówki, przyrządził dla wszystkich posiłek. Zaserwował im smażone rybki, kozi ser w maleńkich pomidorkach obtoczonych bazylią i polanych czerwonym sosem *mojo*

verde oraz kanapki z salami hiszpańskim, a jakże. Po posiłku rozsiedli się z drinkami na białych kanapach, Hiszpanie wypytywali, jak się żyje w Polsce, a dziewczyny – jak w Hiszpanii. Najbardziej podobała im się odpowiedź kapitana, który był przyjacielem Bizona.

- Wstaje, jak się wyśpi, ale zwykle śpi do czasu, gdy zrobi się bardzo ciepło, bo śpi na jachcie, wstaje więc około dziesiątej – tłumaczył z hiszpańskiego Bizon. – Potem wskakuje do oceanu, bierze kąpiel na rozbudzenie, potem zjada śniadanie i idzie po owoce na targ obok portu, potem o dwunastej ma rejs z turystami, dwie godzinki, płynie tu, do zatoczki, łowi sobie rybę na obiad, wraca i przyrządza rybę, potem drzemka, sjesta obowiązkowa, a wieczorem gra na gitarze w pubie, jest muzykiem, nawet dzisiaj ma koncert, jesteście zaproszeni oczywiście. Co zarobi na koncercie, to przeznaczają na posiłki, co zarobi na rejsie, wykorzystuje na modernizację łodzi. Wszystko, co posiada, jest na jego łodzi, nic nie musi, nigdzie się nie spieszy. Klawe życie, co?

- O matko... – wydusiła Antonina. – A my budzik na godzinę szóstą, mycie, ubieranie, makijaż, garsonka, barchany, płaszcze, kurtki, czapy, szale, na dworze minus dziesięć, paniczne skrobanie auta ze szronu, bo już człowiek spóźniony, choć jeszcze godzina do otwarcia biura, dziki pęd przez rozjuszony miasto, korek, pęd, korek, wszyscy trąbią, ktoś ci napluje na szybę, bo stanęłaś na czerwonym, a przecież zmieściłyby się jeszcze trzy samochody, bo to był tylko ciemnopomarańczowy. Dojeżdżasz do pracy spóźniona, nie ma miejsca do parkowania, jeździsz dookoła, bo

wszędzie jednokierunkowe, wreszcie ładujesz się na płatne miejsce dla inwalidów, lecisz do parkomatu, płacisz, ale wiesz, że zapłacisz jeszcze więcej, bo stoisz na uprzywilejowanym, więc gdy wyjdiesz z pracy, blokada na kole jak nic, lecisz do pracy przez śnieg i ślizgawicę, bo zaparkowałaś pięć ulic dalej, jesteś strasznie spóźniona, opierdziel od szefowej, potem cały dzień biegania i stresu w pracy, w przerwie na lunch nic nie jesz, bo lecisz przestawić samochód, może jeszcze będzie bez blokady, ale nie - blokada jest, dzwonisz po drogówkę, czekasz, dostajesz kolejny opierdziel od drogówki i mandat i płacisz, przeparkowujesz w kolejne płatne miejsce, ale tym razem już nie dla inwalidów, znów płacisz, lecisz do pracy oczywiście spóźniona, kolejny opierdziel od szefowej, stres w pracy do wieczora, nie wychodzisz o normalnej porze, żeby się nie narazić na kolejny opierdziel, wreszcie wychodzisz, jak masz dzieci, to spóźniona pędzisz po dzieci, dostajesz opierdziel od pani z przedszkola, że ona przez ciebie się po swoje dzieci spóźni i że jesteś wyrodną matką, jak nie masz dzieci, pędzisz, próbując załatwić tysiąc zaległych spraw, ale bank ci zamykają przed nosem, pocztę też, możesz jedynie przygnębiona zrobić zakupy w śmierdzącym hipermarkecie, ale nic sobie nie kupujesz, szkoda ci pieniędzy, bo już dzisiaj zabułaś kolejny mandat, biegniesz do zimnego samochodu, pęd, korek, pęd, mega korek, zasypiasz za kierownicą, dostajesz opierdziel, że jesteś beznadziejnym kierowcą, znów opluwają ci samochód, trzeba będzie jechać do myjni albo lepiej nie, bo rano drzwi przymarzną, wreszcie trafiasz do domu, jesteś wykończona i mimo tego, że wszystko starałaś się

wykonać bez zarzutu, wszystkim dogodzić, ze wszystkim zdążyć, okazało się, że nie zdążyłaś z niczym, w dodatku dostałaś pięć razy opierdziel, dowiedziałaś się, że jesteś beznadziejnym kierowcą, pracownikiem i matką, jedyne, co chcesz, to położyć się spać i zapomnieć o tym dniu, bo jutro czeka cię następny taki sam... I po co to wszystko? Po g... Bo nie stać cię nawet na kupno własnego mieszkania, nikt ci nie da kredytu, a jak da, to na taki procent, że się nogą przeżegnasz, twój samochód to stary klekot sprowadzany dziesięć lat temu z Niemiec, gdzie miał iść na złom, ciuchy kupujesz w najtańszych sieciówkach dla nastolatek, a jak chcesz coś markowego, to tygodniami wyszukujesz najtańszą ofertę w Internecie, a jeszcze ci ją ktoś sprzątnie sprzed nosa, a jak pojedziesz raz w roku na fajne wakacje, to je przez rok spłacasz i rok wypominają ci ten tydzień urlopu, bo pan Zdzisiu nie miał urlopu od dwudziestu trzech lat i jakoś nie narzeka! Patrzysz na pana Zdzisia, twój autorytet i wzór do naśladowania: siedzi blady, łysiejący, zaniedbany, w starym swetrze i klepie coś na brudnej klawiaturze szarego komputera, w szarym boksie, wokoło same szare papiery, nie ma nawet zdjęć rodziny, bo nie zdążył jej założyć, ani zdjęć z wakacji, bo ich nigdy nie miał, tylko szary fotel, w szarym boksie, przed szarym komputerem, w szarym życiu, takim samym każdego dnia od dwudziestu trzech lat! Franz Kafka by tego lepiej nie wymyślił!

Antonina wypluła te tysiąc słów z takim żalem i z taką szybkością, że ledwo ją Polacy rozumieli, po czym rozplakała się na dobre. Hiszpanie nic nie zrozumieli,

Książę też nie, bo tempo mówienia Antoniny przypominało lektora *Teleexpressu*.

Szabla i Gazela przytuliły przyjaciółkę i pokazały zdezorientowanym panom, że mają czym prędzej dostarczyć drinka i się nie zbliżać, bo sytuacja stała się kryzysowa. Same były zaszokowane zachowaniem Antoniny, bo dziewczyna była zawsze pewna siebie, dobrze zorganizowana, zadbana, rzadko się żaliła, nigdy się nie załamywała. „Kurde, Bazylia by się tu przydała, ona jest najlepsza na takie nagłe zdołowania”, pomyślała Szabla. Antonina szlochała jeszcze długo, potem długo przeproszała za zabrudzenie tuszem do rzęs białej kanapy jachtu. Panowie uznali, że lepiej postępować z nią jak z jajkiem i za dużo nie pytać, bo jeszcze znów się rozplacze, więc proponowali tylko drinki albo przysmaki.

- No a na pomoście cudny Hiszpan powiedział do mnie, że jestem gapa, a raz w życiu chciałam się czuć doskonała.

- A, *guapa*, to znaczy „ładna” - wyjaśnił cicho Bizon.

- Naprawdę? Jakie to słodkie...

I już, już miała się rozszlochać, ale Szabla w porę opanowała sytuację.

- Idziemy się wykapać! - zarządziła. - Ty też, mazgaju! Bizon ma dla nas niespodziankę, ale żadnego już umartwiania się, tysiąc razy tłumaczyłyśmy ci, że skoro jesteś na luksusowym jachcie na Wyspach Kanaryjskich, to nie zostaniesz panem Zdzisiem! Już, przebieraj galoty, wkładaj maskę do nurkowania na twarz, bo i tak lepiej ją zakryć, i wskakuj do wody!

Twarda riposta Szabli zadziałała na Antoninę, bo grzecznie poszła się przebrać i wróciła nawet z maską zawieszoną na szyi. Księżę pomógł jej uzbroić się w pletwy, założyć maskę i cicho do niej powiedział:

- *Señora* nic nie martwi, ja pomagam *señior* Zdzisiu, *señora* nie płaczą już wcale, dobra zabawić teraz.

Antonina nic nie odpowiedziała, tylko pocałowała go w policzek. Wyszło niezbyt delikatnie, bo była już w maseczce i rurka do oddychania zwisała jej przy twarzy, ale za to całkiem romantycznie.

- No, już, już, wskakuje! - komenderowała Szabla, poganiając Antoninę.

Dziewczyny pływały w spokojnej wodzie, która była tak przejrzysta, że mogły zobaczyć na dnie każdy kamień i każdy koral oraz pojedyncze rybki. Nagle rybki zaroily się, przyływały coraz piękniejsze, we wszystkich kolorach tęczy. Przyjaciółki poruszały się między ławicami, łapały do rąk ryby wyglądające cudnie, wręcz bajkowo. Okazało się, że kolorowe stworzenia przywołał Bizon, wrzucając do oceanu odrobinę chleba. Karmienie i obserwowanie oceanicznych ryb było dla dziewczyn niezwykłą przygodą. Kolory podwodnego świata zadziwiały różnorodnością i intensywnością. Widowisko było piękne, dzięki niemu Antonina całkiem się już rozluźniła i wyszła z kąpieli w zupełnie zadowolającym humorze.

Po południu wracali do portu w Corralejo w doskonałych nastrojach. Zaprzyjaźniony z Bizonem kapitan przygrywał na gitarze, a dziewczyny do

hiszpańskich rytmów wymyślały przyspiewki w języku polskim. Książę nie spuszczał wzroku z Antoniny. Dziewczyna była naturalna, roześmiana i piękniejsza niż kiedykolwiek.

Rozdział 31

Ponad cztery tysiące kilometrów dalej, w powoli rozbierającej zimowe barchany Polsce, pewien inspektor policji wystawiał właśnie policzek na ciepłe promienie słońca, którym wreszcie udało się przebić przez chmury od tygodnia pokrywające niebo.

Śledztwo prowadzone przez niego szło nieźle, ale przysparzało problemów. Milewski myślał o nim, jak o wyrwaniu chwastów: „Ciągniesz małe zielsko, żeby je raz a dobrze wyrwać z korzeniami, a tu niespodzianka. Pod ziemią czają się kilometry skłębionych kłączy i usunięcie rośliny staje się trudne, wręcz niemożliwe. Żeby się pozbyć szkodnika, trzeba całą łąkę dokładnie przekopać”. Tak właśnie było ze śledztwem w sprawie Diunskiego.

Inspektor musiał się nieustannie dyscyplinować, żeby nie zbaczać z głównej linii śledztwa, bo przesłuchania odkryły powiązania podejrzanych ze światkiem przestępczym, którego macki sięgały daleko poza granice Polski. Byłoby pewnie nieco łatwiej, gdyby sięgały na

zachód Europy, ale nie, te obrały sobie wybitnie wschodni kierunek wiążący się z koniecznością prowadzenia dochodzenia w specyficzny sposób.

Milewski wiedział, że do zbadania tych powiązań został oddelegowany inny funkcjonariusz. Jemu z kolei, pod groźbą zawieszenia w czynnościach, nakazano skupić się na głównej części śledztwa, czyli szukaniu zabójcy Diunskiego. Zawężenie perspektywy spowodowało, że miotał się i dreptał w kółko, ale nie miał wyjścia.

Dodatkowo jego głowę zaprzętały bardzo nieprofesjonalne myśli wiążące się z jedną z podejrzanych. W związku z czym chciał jak najszybciej wyeliminować ze śledztwa Kudłatą, ale póki nie aresztował sprawców, nie mógł tego zrobić. Irytował się więc nadzwyczajnie i warczał na wszystkich współpracowników.

Milewski stał w otwartym oknie w gabinecie i grzał twarz we wczesnowiosennym słońcu, gdy nagle usłyszał:

- Tak patrzę na pana i wydaje mi się, że wakacje by się panu przydały - słowa były wypowiedziane spokojnie i cicho, a jednak inspektor drgnął spłoszony.

- Oooo, pan prokurator, dzień dobry - odpowiedział zmieszany, gdy rozpoznał niepozorną postać w długim płaszczu stojącą w drzwiach gabinetu.

Prokurator Columbo dysponował fenomenalnymi możliwościami bezszelestnego pojawiania się w różnych miejscach i znikania, kiedy nikt nie patrzył. Współpracownicy w żartach podejrzewali go o czary

i umiejętność przechodzenia przez ściany. Któryś z policjantów podrzucił na komisariat film *Człowiek, który gapił się na kozy* jako dowód, że Columbo to taki drugi Lyn Cassady, członek elitarniej amerykańskiej jednostki wojskowej, który miał zdolności paranormalne. Aurę tajemniczości wokół postaci prokuratora potęgował fakt, że Columbo pół swojego życia spędził w Japonii, gdzie zgłębiał sztuki walki i zdobywał wiedzę z dziedzin, o których współcześni Europejczycy niewiele wiedzieli. Umiał on na przykład chodzić po linie, był mistrzem kamuflażu, w jednej ze szkół walki przygotowywał się do rytualnego *harakiri*, ale po co i dlaczego, tego nikt nie wiedział. Prokurator był przede wszystkim mistrzem szybkiego i bezgłośnego poruszania się, tę umiejętność wykorzystywał często. Ćwiczył ją również na swoich podwładnych, policjanci po prostu nigdy nie wiedzieli, gdzie i kiedy pojawi się Columbo.

Nic dziwnego, że prokurator i tym razem zaskoczył Milewskiego. Na „dzień dobry” inspektora odpowiedział szybkim skinieniem głowy i przeszedł od razu do rzeczy.

- Międzynarodowo mamy związane ręce, ale nie oznacza to, że mamy powiązane mózgi. Fakty, które ustaliliśmy, wystarczą do całkiem rzetelnej analizy przestępstwa. Pokusimy się?

- Tak, oczywiście.

- Fakt pierwszy: mamy zabójstwo. Potwierdziliśmy, że wszystkie rany zostały zadane pod takimi kątami, że ofiara nie mogła sama się skrzywdzić. Około godziny po pchnięciu ostrym narzędziem już nie żyła, czyli strzał

oddano *post mortem*. Samobójstwo odpada. Fakt drugi: mamy potrójne zabójstwo, ale w odwrotnym tego słowa znaczeniu, są trzy rany, jedna ofiara. Spójrzmy na to z boku. Założyliśmy, że pojedynczego zabójcę eliminują zbyt duże odstępy czasu między kolejnymi ciosami, ale czy na pewno? Trzy rany..., trójka i trójkąt, liczba i mistyczna figura geometryczna, obie mają bogatą symbolikę, może jest w nich ukryta jakaś wskazówka... Człowieka nie determinują tylko czasy, w których żyje, ludzie mogą przecież określać siebie w kontekście innych wieków, a nawet innej kultury. Dla pana czy dla mnie trójkąt stanowi tylko figurę geometryczną, znak mający wiele znaczeń graficznych, ale na przykład dla człowieka średniowiecza geometria była oznaką boskiej działalności. Bóg jako Wielki Geometra inspirował architektów. W starożytności z kolei liczba trzy i trójkąt symbolizowały zjawiska słoneczne i świetlne, były oznaką ognia, męskiej siły, płodności, mądrości bogów, harmonii wszechświata. W chrześcijaństwie wyobrażały Trójcę Świętą oraz siłę, mądrość, piękno i Boga. Może więc nasz zabójca to człowiek zadufany w sobie. Odegrał trzy różne postacie, bo chciał zmanifestować swoją niezwykłość porównywalną z boską, a pokazał bufonadę. Wychodząc od psychoanalizy i wracając do faktów, pytam, czy możemy brać pod uwagę taką możliwość?

- Uhm..., wychodząc od psychoanalizy jak najbardziej, ale trzeba pamiętać, że każda z ran została zadana innym narzędziem, innym sposobem, z inną siłą, pod innym kierunkiem i w odstępach co najmniej dwugodzinnych. Strzał wykonany po śmierci Diunskiego

zupełnie nie pasuje do pozostałych dwóch ciosów. Ani uderzenie, ani dźgnięcie nie zostały wykonane zbyt profesjonalnie. Nasz zabójca musiałby być bardzo zadufanym w sobie szczęściarzem ze względu na brak świadków.

- Więc przyjmujemy, że poszukujemy trzech różnych sprawców, którego głównie?

- Yyyy... Wszystkich?

- Ano nie, sprawców mamy trzech, ale zabójcę jednego. Uderzenie nie było śmiertelne, sprawca może odpowiadać z artykułu 156. kodeksu karnego dotyczącego... - Columbo zawiesił głos.

- Poważnego uszkodzenia ciała...

- I zostać pozbawionym wolności na...

- Rok do dziesięciu lat...

- Dokładnie, strzał z kolei był zadany *post mortem*...

- Toteż sprawca odpowiadałby z artykułu 262. kodeksu karnego o bezczeszczeniu zwłok i podlegał karze grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch.

- A więc poszukujemy głównie osoby, która zadała cios śmiertelny, środkowy...

- Artykuł 148. Kto zabija człowieka, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy niż lat 8, karze 25 lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego pozbawienia wolności - wyrecytował Milewski.

- Jest to pocieszające, ponieważ znamy trzeciego sprawcę, ale odgórnie jesteśmy pozbawieni możliwości rzetelnego rozpracowania go i zgarnięcia. Dlatego ze spokojnym sumieniem możemy i jego, i tę część sprawy zostawić organom ścigania utworzonym specjalnie do tego zadania. Pierwszy sprawca też nas mniej interesuje, chyba że inspektor ma ochotę znów poćwiczyć torturowanie psychicznie roztrzęsionych niewiast - podśmiechał się pod wąsem Columbo, robiąc aluzję do ostatnich działań Milewskiego, czyli przesłuchania wszystkich podejrzanych w sprawie Diunskiego oraz do awantur wyczynianych na korytarzu komisariatu przez byłe i niedoszłe żony denata.

- Nie, niekoniecznie - mruknął Milewski, czerwieniąc się. Jego zachowanie podczas przesłuchań nie wykraczało poza przepisowe, choć zastosował wszelkie dostępne środki przymusu bezpośredniego.

- Niezmiernie interesujący jest za to zabójca faktyczny, czyli drugi sprawca. Przede wszystkim dlatego, że kompletnie nie możemy go z nikim i niczym powiązać. Ciekawe jest też to, że jako jedyny zniknął po zabójstwie i niczego dalej nie szuka. Z czego wniosek, że...

- Już to znalazł...

- Właśnie. I albo fika nam przed oczami kozły ze skarbem w ręku, a my, ślepcy, obracamy głowy nie w tę stronę, co trzeba, albo zwiął gdzieś daleko i grzeje się na jakimś Madagaskarze ze swoją zdobyczą.

- Nawet Madagaskar można obserwować...

- Tak, obito mi się o uszy. Funkcjonariusz Buła ma wakacje? Na Madagaskar właśnie się udał, czy na Wyspy Kanaryjskie, nie pamiętam.

„*Shit, shit, shit!* Skąd on to wie? Zaraz dostanę opierdziel jak nic. Pewnie gdzieś podsłuchał, cichobieżny skunks”, pomyślał Milewski i zbladł.

- Hm... Należał mu się wypoczynek, więc życzę mu miłego opalania. Niech pamięta o ciemnych okularach, bo słońce tam wysoko - Columbo mrugnął porozumiewawczo. - Myślę, że trzeba rozejrzeć się też na krajowym terenie, tak dla zasady.

- Tak jest! Oczywiście, rozglądamy się - potaknął gorliwie Milewski i odetchnął z ulgą.

- To do zobaczenia, inspektorze, i niech pan zawęzi obserwację, a poszerzy horyzonty myślowe, to zawsze dobrze działa. I jeszcze... Uważajcie, Milewski, na zaangażowanie, bo ono koliduje z profesjonalizmem...

Columbo zawiesił ostatnie zdanie w powietrzu i zanim Milewski zdążył je przetrwać i zrozumieć, już prokuratora nie było. „Łatwo powiedzieć, uważać na zaangażowanie. Wreszcie trafiła mi się rewelacyjna kobieta, w dodatku zagrożona. Nawet nie mam możliwości jej chronić, mogę obserwować jako podejrzaną. Dopóki nie zdejmę z niej podejrzeń, to sam nie mogę się jej prywatnie pilniej przyjrzeć, a jak zdejmę podejrzenia, to nie będę jej mógł chronić przez całą dobę. Dupa, dupa, dupa”, rozmyślał rozgoryczony inspektor.

Rozdział 32

Tymczasem fuerteventuriańska ekipa wróciła do hotelu w późnych godzinach nocnych i doskonałych humorach. Antonina i Gazela poszły jeszcze na pożegnalnego drinka z Księciem z Jachtu do hotelowego lobby, a Szabla i Bizon udali się do własnego pokoju w romantycznym nastroju. Po ekstatycznych figlach-miglach zasnęli snem kamiennym. Rano Szablę obudziło dziwne kołysanie. „Czyżbym zasnęła na jachcie?“, pomyślała nie całkiem rozbudzona. Niestety. Okazało się, że to Bizon dziwnym tańcem wprawiał łóżko w falujący ruch.

- O, przepraszam, obudziłem cię?

- No tak jakby. Dlaczego stoisz na łóżku? Chciałeś potańczyć? Czy to poranna gimnastyka?

- A nie, wiesz... Tylko się nie śmieję...

- Jestem tak zaspana, że nie dam rady, wal.

- Jestem w niewielu sprawach pedantyczny, jak wiesz... Ale akurat kiedyś pracowałem w branży budowlanej i... Spójrz na ten sufit, przecież

w renomowanym hotelu nie można tak podwieszać sufitów, żeby groziły upadkiem gościom na głowę! - rozeźlił się Bizon.

- Ha, ha, ha! Matko Jedyna, a ja już myślałam, że coś ci jest, że coś sobie w czasie nocnych igraszek złamałeś albo naciągnąłeś - śmiała się Szabla. - A ty masz fizia po prostu, ha, ha, ha!

- No, ale spójrz sama, nie drażni cię to?

- Absolutnie! - wykrzyknęła Szabla. Pociągnęła za prześcieradło tak, że Bizon zachwiał się i padł na łóżko, niemal przygniatając dziewczynę.

- No, no, lubisz niebezpieczeństwo?

- Jak widać... - wymruczała zalotnie Szabla.

I oddali się miłosnemu szaleństwu.

Leżeli spoceni, zmęczeni, z wypiekami na twarzach. Delikatny, ciepły wiaterek wlatywał przez otwarte okno i muskał ich ciała, zza kotary zaglądało do pokoju złote słońce, słychać było szelest liści palmy, która rosła zaraz przy ich balkonie, i cichy szum fal oceanu. Szabla oddawała się rozmyślaniom: „Nie wiem, czy to zasługa tej wakacyjnej atmosfery, czy tej wyspy, czy tego faceta, czy wszystkiego naraz, ale, kurde, pierwszy raz jest mi tak zajebiście dobrze. Niemożliwie, żeby mnie dopadło to dziwne uczucie, z którego się całe życie wyśmiewałam. Ja zakochana? Szabla zakochana? Nie, niemożliwie... Rany, jak on bosko pachnie, a jak całuje... *Shit*, nie da się ukryć, jestem zakochana. Ale czy on też? Tak się wydaje, ale z facetami to nigdy nie wiadomo. Może mnie traktuje

jak wakacyjną przygodę... Ale czy w takim wypadku dbałby tak o mnie? No właściwie... Faceci tak potrafią, dbają, jak nie wiem, póki służy to ich interesowi, a potem fora ze dwora, nara, *i adióś!*, do zoba. A potem dziwią się, że baba nie chce się już »zoba« na przykład na przelotny seks. No już, babo, nie psioch tak, bo sama tak z facetami robiłaś, nara, do zoba i tyle. Tyle że z innymi facetami... Nie takimi... Nie takim, tym, jednym jedynym, nim... O matko, no naprawdę mnie trafiło. Dam-dam pi dam, dam-dam pi dam... Ale białej bezy to na ślub nie założę. Wolę taką skromną sukienkę, bez wielkiego dekoltu, na ramiączkach, a pod kiecką bryczesy. I konno byśmy zajechali do kościoła, oczywiście wierzchem, a nie jakieś tam bryczki, ale czy on sobie poradzi? No mówił, że kiedyś jeździł, trzeba będzie sprawdzić, jak się trzyma na koniu, ja bym na Korcu pojechała, jemu trzeba by dać jakiegoś dużego gniadosza, może Arniego pożyczymy? I oczywiście bryczesy ujeżdżeniowe i oficery. Ale czy on się zgodzi? Ale pogalopowałaś, kochana, ha, ha, ha, ha!". Szabla śmiała się z siebie w duchu. Popatrzyła na Bizona, wyglądał na skupionego, jakby myślał właśnie o tym samym. I Szabla zachowała się jak typowa baba. Zapytała:

- O czym myślisz, kochanie?

Jak typowa baba spodziewała się odpowiedzi co najmniej w stylu: o tobie, o nas, o naszej przyszłości albo wyznania: kocham cię, zamieszkajmy razem, albo pytania: wyjdiesz za mnie?, chcesz mieć ze mną dzieci?

- Widzisz tę płytę gipsową? Ona jest podwieszona odwrotnie i dlatego jest nierówno.

„Dziad, dziad, dziad, typowy dziad! Dobrze, że nie obserwował drogi muchy na tym suficie! Ha, ha, ha, ha! O, ja głupia! Trzeba będzie zrobić listę pytań zakazanych, których nigdy dziadom nie wolno zadawać, bo albo usłyszysz taką właśnie odpowiedź, albo kłamstwo. Ha, ha, ha! Z dwojga złego wolę, że nie ściemnia przynajmniej”.

- Ha, ha, ha, ha, ha, ha! - śmiała się głośno Szabla.

- Co się stało? - spytał zdezorientowany Bizon.

- Nic, nic, z siebie się śmieję, idę się wykąpać. - Cmoknęła go w policzek i już jej nie było.

Podczas śniadania Bizon był jakiś cichy, mówił, że nie czuje się dobrze. Szabla upewniła się, że chłopakowi niczego nie brakuje i zostawiła go samego w pokoju. Wybrała się do dziewczyn okupujących już hotelowy basen. Dzień przerwy w zwiedzaniu chciała wykorzystać na dokładne przegadanie z przyjaciółkami sprawy Bizona. „Rany, taka potrzeba nie za dobrze świadczy o stanie moich emocji, a raczej ich rozchwianiu”, myślała. Burzę swoich uczuć do Jacka też gruntownie chciała obgadać.

I tak baby spędziły przedpołudnie na drinach, płotach, opalaniu i czytaniu gazet, czyli tym wszystkim, przy czym leniuchuje się najlepiej.

W porze obiadowej Szabla poszła do pokoju po Bizona, ale drzwi były zamknięte, na pukanie nie odpowiadał, a ona oczywiście zapomniała klucza. „Może śpi? Mam nadzieję, że nic mu nie jest, w końcu godzinę temu odpowiedział na SMS-a”, pomyślała.

Dziewczyny zjadły wyborny obiad. Trzeba przyznać, że jedzenie na Fuerteventurze było rewelacyjne, o ile lubi się ryby i owoce morza. Oczywiście były też na wyspie knajpy z daniami włoskimi, chińskimi, angielskimi, ale nie zasługiwały na uwagę, więc dziewczyny po raz piąty z rzędu postanowiły zjeść rybę na obiad. Obiecały sobie, że następnego dnia poszukają restauracji z domowym rosółkiem. Do tradycji już należało to, że po posiłku siedziały przy stoliczku z widokiem na ocean i sączyły piña coladę.

- Ja nie chcę wracać... - szepnęła Gazela.

- Ja też nie... - zawtórowała jej Antonina. - Ale, ale, zabronione jest gadanie o wyjeździe do ostatniego dnia, dzisiaj możecie tylko gadać o mojej randce z Księciem z Jachtu.

- O, twoja randka? To my nie jesteśmy na jacht zaproszone? - spytała Szabla.

- A nie, dzisiaj i jacht, i księżę są tylko moi!

- Tylko łzami jachtu nie zatop - zaśmiała się Gazela.

- Ja ci dam zaraz, przecież przeprosiłam, każdej się może zjazd psychiczny zdarzyć, no nie? Poza tym Księżę chce się jeszcze ze mną spotkać, więc chyba nie było tak źle, co?

- Szczerze?

- Uhm...

- Było fatalnie, więc skoro chce się jeszcze z tobą spotkać, to albo ma bardzo dobre serce, albo mu się naprawdę spodobałaś mimo odstawionej antyreklamy.

Tak czy siak leć, dziewczyno, i rób się na bóstwo! – Szabla i Gazela dopingowały przyjaciółkę.

Dało się zauważyć, że Antonina zmieniła się od czasu wpadki na jachcie Hiszpana. Żartowała, nie obrażała się jak zazwyczaj. Sobie też dała więcej luzu, spała do późnego rana i przez cały dzień leniuchowała. Szabla stwierdziła, że wreszcie udało jej się w marinie w Corralejo wykrztusić kij, który połknęła wiele lat temu, i opuściło ją sztywniactwo, jak ręką odjął. Zawsze podejrzewała, że Antonina to po prostu równa Tośka z rozbitym kolaniem robiąca najlepszy obrót na trzepaku, ale trudno to było dostrzec w sztywnej *bizneswoman*, paradującej w nienagannej garsonce, zawsze zapiętej na ostatni guzik. Szabla zdecydowanie bardziej lubiła tę drugą wersję przyjaciółki.

Odszykowana Antonina poszła wieczorem na randkę z Księciem, który przyjechał po nią pięknym, szpanerskim kabrioletem, a jakże. Gazela została w hotelowym barze. Miała oko na przystojnego barmana, a i barman był zainteresowany dziewczyną. Szabla postanowiła wrócić do Bizona.

Stała przed drzwiami do pokoju, bo usłyszała wydobywające się ze środka dziwne dźwięki. Poczła ukłucie zazdrości, ale szybko uświadomiła sobie, że odgłosy dochodzące z pokoju wcale nie przypominają namiętnych. Raczej brzmiały jak walenie młotkiem lub tłuczenie czegoś. „O matko, a jeżeli ten zepsuty sufit faktycznie spadł Bizonowi na głowę?”, pomyślała i zaczęła walić pięściami w drzwi. Dźwięki ucichły i... Nic nie było słyhać. Nikt nie otwierał.

- Bizon!!!! To ja!!!

Cisza.

- Bizon!!!! Idę po dodatkowy klucz do recepcji!

Wreszcie usłyszała chrupnięcie otwieranego zamka.

- O Matko Boska! - jęknęła Szabla na widok wnętrza pokoju i głos ugrzął jej w gardle, choć rzadko się to zdarzało.

Rozdział 33

Bazylią wstała tego dnia lewą nogą. Zastanawiała się, skąd właściwie wziął się ten związek frazeologiczny i dlaczego akurat lewa noga ma być tą gorszą, bardziej humorzastą.

Dla rozluźnienia przypominała sobie fragmenty *Teatryku „Zielona Gęś”* Gałczyńskiego.

GZEGŻÓŁKA: Niech cholera weźmie to całe życie. Piotrusiu, chodź tutaj, to cię zwymyślam i znieważę.

PIEKIELNY PIOTRUŚ: Gzegżółka znowu wstał dzisiaj lewą nogą. Trzeba coś na to zaradzić.

„Co ten Gzegżółka zrobił?”, zastanawiała się Bazylią i doszła do wniosku, że przywiązał tę lewą nogę szefa do łóżka zielonym sznureczkiem, dzięki temu prawa zawsze wstawała pierwsza. Na takie rozwiązanie było dla Bazylii za późno, bo już wstała lewą.

Zrezygnowana Baza otworzyła Internet, między naciśnięciem guzika do robienia kawy a guzika do

grzania mleka umyła zęby i popędziła szukać zaginionych spodenek starszaka.

- Mamusia, a ja miałem być piratem.

- Co?

- Piratem!

- Jakim piratem?

- No takim super, z szablą i kapeluszem.

- Chcesz się bawić w piratów? Ale teraz nie mamy czasu kochanie...

- Nie chcę, do przedszkola mam być piratem, bo mamy przedstawienie.

- Ale kiedy? Dzisiaj?

- Dzisiaj!

„*Shit, shit, pip!, shit, dlaczego, pip!, nikt mi, pip!, nie powiedział?!!!! Shit!*”, Baza zaklęła siarczyście w myślach.

- A dlaczego mówisz dopiero teraz? - z udawanym spokojem zapytała synka.

- Nie wiem.

- Ja nie mam na dzisiaj dla ciebie stroju pirata.

- Buu... Jesteś niedobra, nie kocham cię! - rozbeczał się malec.

- A na pewno potrzebujesz go na dzisiaj?

- Tak!

- A pani mówiła, że kiedy macie być przebrani?

- Jutro, dzisiaj - w języku szkraba mogło to znaczyć zarówno wczoraj, jak i za tydzień.

- A tatusiowi mówiłeś wcześniej?

- Nie wiem.

- Ojciec!!!!

- Karmię!

Bazylią wparowała do salonu.

- Piratem miał być?

- Który? - świadomie zapytał ojciec.

- Duży!

- Dzisiaj?

- No chyba tak. Wisiało coś na tablicy ogłoszeń, kiedy zawoziłeś go rano? Bo kiedy odbierałam, to nie zdążyłam zobaczyć, od razu pognałam z dziećmi na plac zabaw...

- Wiesz, wisiała informacja, że przedstawienie przygotowują, ale nie mówił, że ma być przebrany.

- I co teraz?

Starszak beczał, średniak domagał się jedzenia, a maluch chciał na ręce. Zegarek dzwiecznym pi-pip, pi-pip oznajmił ósmą, czyli godzinę wyjścia do przedszkola.

„Nie ryczeć, nie krzyczeć, nie ryczeć, nie krzyczeć. Zastanowić się”, upominała się Bazylią. Dla złapania równowagi przejrzała kilka stron internetowych i znalazła dziesięć sposobów na to, żeby nie wstawać lewą nogą. Czytała sobie półgłosem.

- *Jeden. Wstawaj powoli, nie rozbudzaj się nagle.* - Łatwo powiedzieć. W przypadku Bazylia było to niemożliwe do wykonania. Ją budziło tubalne „łee!” o trzeciej nad ranem, a potem nie mniej akustyczne „łee!” o szóstej. Gdyby wstawiała powoli, to całej rodzinie popękałyby bębunki w uszach, a do „łee!” dołączyłyby jeszcze gromkie „buuu!” i wrzaskliwe „maaammmmaa!”. - *Dwa. Kilka ćwiczeń doda ci energii.* - To się Bazylia zgadzało. O trzeciej w nocy trenowała podnoszenie dziecka raz i dwa, pupa do góry, bo tu kupa, szybki zwrot, bo smyk ucieka, sklejenie pieluszki raz i dwa, danie buziaka. - *Trzy Energetyzujący prysznic.* - Właściwie pod ten punkt mogła Bazylia podpiąć poranne obsikanie przez średniaka. Z pewnością dodało jej energii. - *Cztery Medytacja.* - Dziewczyna zaśmiała się i pominęła tę radę. - *Pięć. Zjedz śniadanie.* - Miała zamiar to zrobić, ale dopiero po nakarmieniu inwentarza, przed karmieniem było to niewykonalne. - *Sześć. Pobudź umysł.* - Starszak właśnie przed chwilą wyręczył w tym Bazylię. - *Siedem. Włącz ulubioną muzykę.* - „Łee!”, „buuu!”, „mniam!” wydawało się idealną kompozycją. - *Osiem. Powiedz partnerowi coś miłego.* - Powiedziała do męża „cholera jasna”, więc punkt ósmy już zaprzepaściła. Podobnie jak kolejny punkt poradnika: - *Dziewięć. Udawaj, że jesteś w dobrym humorze.* - *Dziesięć. Ustal plan działania.* - Ostatnia rada wydała się Bazylia pomocna. Pomyślała chwilę i powiedziała do męża:

- No dobra, kończysz karmienie średniaka, potem starszaka pakujesz do przedszkola, psa ładujesz do samochodu, ja karmię i przebieram młodziaka, odwożę

starszaka do przedszkola z młodziakiem i psem, a ty w tym czasie jedziesz do Smyka ze średniakiem po coś, co przypomina kapelusz pirata, potem odwozisz średniaka do babci, w międzyczasie ja wracam z młodziakiem, po drodze wyprowadzam psa i kupuję piórka do kapelusza, a ty podrzucasz mi kapelusz, ja z kapelusza, świecidełek i piórek robię nakrycie głowy pirata, średniak ma piżamkę z piratem, więc wycinam z niej podobiznę pirata i doszywam do koszulki starszaka, odwożę strój do przedszkola po drzemce młodziaka, robię zakupy, odbieram średniaka, przedstawienia zawsze są po obiedzie, więc przed trzynastą jesteśmy wyrobieni. *Go, go, go!*

Bazylia spędziła przedpołudnie w dzikim biegu. Gdy już wszystko zorganizowała, wykonała i dowiozła, okazało się, że strój pirata, i owszem, jest potrzebny, ale na przyszły tydzień, za to na ten dzień dzieci miały przynieść trzy doniczki i dwa guziki. Na szczęście i to udało się Bazylii zorganizować.

Mimo wszystko lewa noga nie została w pełni pokonana, zabiegana Bazylia marzyła, żeby dać nogę na spacer. I tak włączyć się noga za nogą, a nie skakać ciągle na jednej nodze i uważać, żeby się jej noga nie poślizgnęła. Czuła się trochę tak, jakby już jedną nogą była na tamtym świecie. Pocieszała się, że wieczorem zobaczy się z Kudłatą i będą miały swoje pół godziny na babskie pogaduchy.

Ale Kudłata nie wpadła, jak pech to pech, ktoś się w pracy rozchorował i Kudłata jako bezdzietna i bezrodzinna została komisyjnie wybrana na ochotnika

na przejście dyżuru, choć absolutnie nie miała na to ochoty. Zresztą ostatnio dyżurowała prawie non stop wcale nie z własnej woli. Podliczyła swoje dyżury i okazało się, że w tym miesiącu miała ich zaplanowanych aż siedemnaście. Co drugą dobę będzie spędzała poza domem, zdarzy się również dyżur trzydziestosześciodzinny. Nie miała wyjścia, z powodu żołądkówki - w ramach rekonwalescencji, jak mówiła - musiała odrobić zaległości.

- Ale chyba wam nie wolno tyle godzin bez przerwy pracować, co? - pytała Bazylia, gdy już przyjaciółkom udało się zdzwonić wieczorem.

- No tak, ale widzisz, chorowałam, więc teraz muszę poodrabiać w izbie przyjęć, choć tego nie cierpię. Olbrzymi stres, dużo pacjentów, straszne zmęczenie, działanie pod presją czasu. Nauczę się trochę, ale przypadki powtarzają się, a jak jest coś poważnego albo ciekawego, to przekazuję chorego specjalistom i nawet nie mam czasu się dowiedzieć, co się z takim pacjentem dalej dzieje. Płaca marna. Mam też dyżury na oddziale, te są nieco spokojniejsze, ale w wolnych chwilach nadrabiam papierologię, której nie zdążyłam zrobić w ciągu tygodnia, więc choć raz w tygodniu muszę taki dyżur mieć, bo nie miałabym kiedy wypełnić dokumentacji. Jeżdżę też do nagłych przypadków. W karetce jest jak w izbie przyjęć, ale lepiej płacą, więc tymi dyżurami domykam domowy budżet. A, jeszcze mam dyżury na oddziale specjalistycznym jako drugi lekarz. Te są super fajne, mogę się spokojnie szkolić i poznać sporo przypadków z dziedziny, która mnie interesuje. Jednak

wykonuję je w ramach wolontariatu, więc kieszeni nimi nie napełnię. No i widzisz, Baza, nie mogę z niczego zrezygnować.

- Kobieto, ty z siebie rezygnujesz, pracując w ten sposób!

- No wiem, wiem, mama mi to powtarza, kiedy Cystofiksa musi wyprowadzać, i Boski-Męski mi to mówi, choć ostatnio nie narzeka, że siedzę non stop w szpitalu... Taki los młodej lekarki.

- E tam, los-sros. Życie to sobie sami kreujemy. Jest ci źle, to to zmień!

- Ale najpierw muszę zrobić tę specjalizację...

- Zawsze tak mówisz, najpierw była matura, potem egzaminy na studia, potem pierwszy rok musiałaś zaliczyć, potem kolejne lata studiów, zawsze znalazło się coś, co trzeba było zrobić najpierw, przed zadbaniem o siebie, potem jakiś egzamin wielki lekarski, teraz specjalizacja, przecież to się nigdy nie kończy!

- Oj, już nie mów, że taka nietowarzyska jestem! Zresztą gdy się lekarz przestaje uczyć, to znaczy, że musi przejść na emeryturę!

- No dobra, ale powiedz, kiedy ostatnio zrobiłaś coś dla siebie?

- Hm, o, czekaj, miesiąc temu byliśmy na basenie?

- Dwa miesiące temu!

- Yyyy, może... Ale wiesz, ja naprawdę pasjonuję się tym, co robię...

- Wiem, ale wiesz, jak to jest z życiem, wyobraź sobie, że życie to stół, który ma kilka nóg, jedna to rodzina, inna to przyjaciele, następne to praca, dom, zainteresowania, wszystko, co jest ważne w życiu. Pamiętaj, że jeżeli stół ma tylko jedną nogę, nawet wielką i solidną, to nigdy nie będzie stabilny, a jeżeli ma kilka małych, ale całkiem pewnych nóg, to nigdy ci się taki stół życia do góry nogami nie wywróci.

- Hm, a co ty taka filozoficzna dzisiaj?

- Nie ja to wymyśliłam, tylko moja dawna przyjaciółka, która ścięła mojemu stolikowi jedyną nogę. Dzięki temu już do końca życia nie zapomnę tej życiowej prawdy.

- Uch, no dobra... Postaram się... Tylko mam tak mało czasu, wiesz...

- Wiem, ja też. I wiesz, powiem ci kolejną prawdę, do której doszłam sama po dzisiejszym lewym dniu. Dzieci są magiczne, a miłość to czarodziejskie uczucie, które mnoży się, kiedy się dzieli. Niestety ani czas, ani cierpliwość nie mają już takiej czarodziejskiej mocy. Nie narzekaj, że masz mało czasu, ja też mam mało, tylko tak nim gospodaruj, żeby wystarczało go zawsze na rzeczy dla ciebie najważniejsze.

- Ha, ha, ha! Nieźle! Dzieciaki dały ci w kość dzisiaj?

- A wiesz, sama chyba dałam sobie w kość tym lewym dniem... Bez sensu... Ale babą jestem i już... Stwierdzam, że obie potrzebujemy nabrać dystansu do życia. Nawet od zajebistego i najfajniejszego trzeba odpocząć. To co, podejmiemy jakieś relaksujące zajęcie?

- Hm... Książki?
- Każda może osobno czytać. Konie?
- Nie, nie, przód gryzie, tył kopie, odpada.
- A może taniec. Kiedyś tańczyłaś, prawda?
- Uhm... Dawno, dawno temu... Towarzyski, z moim bardzo, bardzo byłem...
- O, no to zobacz, ja taniec dla bab znajdę, może się uda zabawić.
- No dobra... Zaszalejmy, właściwie zapomniałam już, jak bardzo lubiłam tańczyć, ale...
- Żadnego ale, zostajesz postawiona przed faktem dokonanym.
- Dobra, niech ci będzie.
- A, Kudłatka, co tam z tym całym śledztwem?
- A nic, dupa blada. Boski-Męski prawie się nie odzywa, a wydawał się mną zainteresowany... Może on jest z takich, którzy są zainteresowani, póki się jest z innym, bo chcą posmakować zakazanego owocu, a jak już ten owoc nie jest taki zakazany, to tracą zainteresowanie. No i o śledztwie tym bardziej pogadać się nie da... Grunt, że mnie już Pinda-Lafirynda nie gnębi, z drugiej strony musiałyby chyba dotrzeć do mnie jako pacjent, bo z niepacjentami już nie mam czasu się spotykać.
- O, to przynajmniej wiem, jak cię zmusić do spotkania. Rozchoruję się z tęsknoty i już!
- Ha, ha, ha, ani mi się waży!

- No dobra, spadam, póki mam trzy godziny na sen między położeniem dużego, a mlekiem małego. Pa.

- A, Baza?

- No?

- Co było tą nogą ściętą?

- Yyyy?

- No, co twojemu stolikowi kumpela ścięła?

- Ha, ha, ha, facet, a jakże. Ale na dobre wyszło. Tak sobie teraz myślę, że ta nauka była znacznie cenniejsza od tamtego dziada, choć wtedy rozpaczałam.

- Uch, fakt, czas jest najlepszym lekarzem. *Il tempo è il migliore dei medici.*

Tak to dziewczyny wprawiły się wieczorem w filozoficzny nastrój.

Rozdział 34

- Matko Jedyna! - powtarzała Szabla wciągana do pokoju przez rozgorączkowanego Bizona. Chłopak szybko zawiesił na klamce kartkę z napisem „Nie przeszkadzać!” i natychmiast zamknął drzwi na klucz.

- Bizon, co ci jest? Co to wszystko ma znaczyć? - Szabla wskazała na wnętrze pokoju. - Natychmiast mi powiedz!

Apartament wyglądał, jakby przeszedł przez niego gigantyczny huragan. Nie chodziło o rozrzucone ubrania, o nie. Pokój był doszczętnie zdemolowany. Na łóżku wałał się gruz, zasłony leżały na podłodze, ściana za łóżkiem była rozbebeszona, ale najgorzej prezentował się sufit. Właściwie został w trzech czwartych unicestwiony. Tyle na pierwszy rzut oka dostrzegła Szabla.

Gdyby przyjrzała się uważniej, zauważyłaby z pewnością, że ta rozwałka ma w sobie pewną logikę - na środku ściany za łóżkiem znajdowała się największa dziura. W górnej części otwór zwężał się do szerokości trzech, może czterech centymetrów i cienkim wężykiem

szedł prosto w stronę sufitu. W uszkodzeniach na suficie trudno było dostrzec jakąkolwiek prawidłowość. Gdyby Szabla miała doświadczenie w kładzeniu sufitów podwieszanych, zauważyłaby, że demolka sięga dokładnie miejsca łączenia płyt. To sugerowało, że wandal, dewastując, zachował logikę i precyzję. Ale Szabla nigdy nie zawieszała płyt na suficie, dlatego zaczęła posądzać swojego faceta o szaleństwo. Widziała wielkiego, dyszącego ze zmęczenia Bizona z błyskiem w oku i wypiekami na twarzy, stojącego w samym środku pobojuwiska. Pierwszy raz w życiu Szabla przestraszyła się faceta. Faceta, na którym pierwszy raz w życiu jej zależało. Przed oczami stanęły jej wszystkie fakty: zmarły w co najmniej dziwnych okolicznościach przyjaciel, poszukiwania czegoś w piwnicy rodziców Kudłatej, organizacja wspólnego wyjazdu. Myśli Szabli galopowały: „Rany, a co jeśli... A co jeśli... Jeśli nie jest tym, kim wydaje mi się, że jest? A ja głupia już sobie kieckę ślubną wyobrażałam!”.

- Słuchaj, Szabla, wszystko ci wyjaśnię, słuchasz mnie? - Bizon próbował skupić uwagę dziewczyny na sobie, ale widząc jej przestraszone oczy, postanowił zmienić taktykę.

- No dobra, to może ci pokażę od razu...

- Nie, nie, nie, ja nie chcę nic wiedzieć! Twoje życie, twoja sprawa! Nikomu nic nie powiem, wypuść mnie tylko stąd...

- Ale, Szabla, wysłuchaj mnie chociaż...

- Nie, nie, ja naprawdę nie chcę nic wiedzieć, wypuść mnie proszę...

- Ale, Szabla... To jest naprawdę duża sprawa...

- Oj, widzę, że duża, ale ja nic nie wiem i nic nie chcę wiedzieć! Proszę, nie powiem nawet dziewczynom, nikomu, nikomu... Powiem, że się pokłóciliśmy, tylko pozwól mi wyjść teraz, proszę...

- Oj... No, ale daj mi wyjaśnić...

- Proszę, wypuść mnie...

Bizon w milczeniu oddał jej klucz.

- Będę tu czekał, aż się uspokoisz. Nie mogę teraz stąd wyjść. Ale... Ale wróć, proszę... Ja naprawdę... Ja...

Szabla trzęsącymi się rękoma otworzyła drzwi... Zauważyła błagalny wzrok Bizona i pomyślała: „To niemożliwie, przecież on nie może być mordercą. Z drugiej strony... Czy ty wiesz, jak może wyglądać morderca? Chodziłaś już z różnymi świrami, ale mordercy do tej pory szczęśliwie wśród nich nie było. Idę na drinka, żeby zacząć myśleć trzeźwo”. W zaistniałej sytuacji paradoksalna myśl wydawała się Szabli całkiem logicznym stwierdzeniem.

Piła wino, siedząc na tarasie hotelowego baru. Biało-pomarańczowy skórzany fotel był bardzo wygodny. Obserwowała baseny delikatnie oświetlone latarniami. Ogród wydawał się jej ciemny i tajemniczy, a na horyzoncie skrzył się i chlupotał ocean. Szabla myślała o niesamowitej sile, jaką jest natura, o niszczycielskiej mocy bezrozumnej wody, która mogła zadufanego w swej

mądrości człowieka sprzątnąć jednym mocniejszym liźnięciem. Podobne uczucie towarzyszyło jej, kiedy była w górach. Stojąc na szczycie Świnicy w Tatrach, zawsze myślała o ogromie, cudowności i grozie natury.

„No dobra, co mam robić?“, pomyślała, gdy już się trochę wyciszyła. Pierwszy raz w życiu naprawdę trudno było jej myśleć logicznie. „Wszystko przez to miejsce i... przez tego faceta... No tak, ale wyjścia mam dwa - wrócić albo nie wrócić. Bezpieczniej będzie nie wrócić, plus: przeżyję tę przygodę, hm... to dość istotny plus, minusy: może stracę super faceta, będę musiała nakłamać koleżankom i spać u nich na waleta albo szukać innego pokoju. Zważając na niewielkie środki finansowe, w grę wchodzi tylko waletowanie, poza tym... Hm, jeśli założyć, że Bizon jest niebezpieczny, to w sumie wszystkie powinniśmy natychmiast wynieść się z hotelu, bo zostając, narazimy się na niebezpieczeństwo. I co miałybyśmy zrobić? Spać na plaży? Do wyjazdu zostało nam tylko kilka dni, ale... Jakim cudem namówić dwie baby, żeby zrezygnowały z luksusowego, czterogwiazdkowego hotelu z basenami, drinkami, łazienkami, prysznicami, wygodnymi łózkami i suszarkami do włosów i zamieszkały na plaży pod namiotem? Nie mam szans... No dobra, założmy, że wrócę do pokoju. Minus: mogę stracić życie, plusy: może facet sensownie wyjaśni swoje zachowanie i może dalej będzie nam fajnie, i dam-dam pi dam, no dobra, nie szalejemy, ale może dowiem się, o co naprawdę chodzi, a tego jestem strasznie ciekawa... Co prawda, kiedy już

mi powie, to może chcieć mnie natychmiast uśmiercić, ale to ryzyko wpisane w powrót”.

Nagle Szabla poczuła się bardzo, bardzo zmęczona dniem, słońcem, rozważaniami i winem. Ocean śpiewał chlupoczącą kołysankę, a pluszowy fotel zrobił się taki wygodny i... Nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła.

Rozdział 35

Ślurp, ślurp, ślurp - ktoś ewidentnie oblizywał buzię Kudłatej. Początkowo dziewczyna pomyślała, że to może Boski-Męski wpadł i budzi ją pocałunkiem, ale jeśli tak, to chyba z tydzień zębów nie mył. Mając na jawie, doszła do wniosku, że to niemożliwe, bo przecież widziała go w tym tygodniu i nie śmierdział, więc albo psują mu się zęby i musi iść do dentysty, albo to nie Boski-Męski. Dla wyjaśnienia swojej teorii ociężale otworzyła jedno oko. Zobaczyła przed sobą wielkie wąsiska, mordę ze zwisającymi faflami i olbrzymiastymi zębami.

- Cystofiks, a fe! Złaź, złaź!

Był to jeden z dni przeznaczonych do odsypiania pomiędzy dyżurami, dlatego Kudłata funkcjonowała jak w półśnie. Ale zwierzaki swoje prawa miały, trzeba je było wyprowadzić, nakarmić i wyrobić zaległe głaskanki i przytulaki. Toteż Kudłata zwlekła się z łóżka, nastawiła wodę na herbatę, wciągnęła stare dresy i pognęła z Cystofiksem do parku od trupa, jak w myślach nazywała pobliski skwerek.

Zaliczyła chyba dziesięć krzaczków, bo Cystofiks tego dnia był niezmiernie wybredny, a jak wiadomo, miejsce na kupę to nie byle co. Pies musiał swoje piękne zapachy zostawić w miejscach absolutnie wyjątkowych, które uprzednio dobrze obwąchał i wytuptał, żeby żadna gałązka nie przeszkadzała. Jeżeli w ostatniej chwili zobaczył znakomitszy placyk, to całą procedurę powtarzał. Półprzytomna Kudłata gnała posłusznie za zaaferowanym Cystofiksem od krzaczka do krzaczka. Nie zauważyła, że miała ogon złożony z dwóch policjantów, którzy prowadzili stałą obserwację, oraz przedziwnej, niewielkiej kobietki ubranej w kwieciste chusty, turban i wielkie śniegowce mimo dwudziestu stopni ciepła na dworze. Kobietka śledziła Kudłatą ukryta za jednym z krzaków. Wyglądała trochę jak rosyjska drewniana matrioszka umieszczona na przenośnym krzeselku w parku, i tak się wtapiała w kwitnące wiosennie otoczenie, że była praktycznie niezauważalna.

Cystofiks spokojnie zrobił swoje, nie wiedząc nawet, jakie miał audytorium. Kudłata, też niczego nieświadoma, popędziła do sklepu po bułę dla siebie i jedzonko dla Cystofiksa. Potem udała się do domu, żeby zdążyć jeszcze zaparzyć herbatę z wody, którą wstawiła do gotowania przed wyjściem z psem na siku. Przedziwna kobietka zniknęła równie tajemniczo, jak się pojawiła, a pojawiła się wcale nie po raz pierwszy.

Rozdział 36

- Kochanie, kochanie... Chodź ze mną...

Szabla śniła, że ocean ją woła, i czuła, że bardzo chce do niego iść, bo był taki piękny, dobry, olbrzymi i błyszczący, ale bała się, że wchłoną ją fale i już nie wypłynie.

- Kochanie... Szabla...

Zdziwiła się, że ocean mówił do niej po imieniu, to było nierealne nawet we śnie.

- Szabla, no obudź się, ścierpnięta pewnie jesteś...

„No nie, to już nie jest sprawa szanownego oceanu czy ja ścierpnę, czy nie”, pomyślała zaspana i oburzona Szabla, po czym otworzyła powoli jedno oko.

- Bizon? Nie ocean?

- Hm? No, Bizon... Chodź, kochanie, tu niewygodnie.

Na dworze już świtało. Zanim Szabla zdążyła sobie przypomnieć wydarzenia poprzedniego wieczoru, doszła z Bizonem do pokoju hotelowego.

- Ej, ej, ale ja jeszcze nie zdecydowałam, czy wchodzić
- przypomniało jej się przed drzwiami.

- To ja zostawię otwarte i zdecydujesz - powiedział Bizon i wszedł do pokoju.

Apartament wyglądał... normalnie, co niezmiernie zdziwiło Szablę. Z miejsca, w którym stała na korytarzu, nie było widać niczego niepokojącego, co gorsza wewnątrz kusilo zapachem świeżo parzonej kawy i grzanek. „Może mi się tylko śniła ta demolka pokoju i ucieczka? W końcu potem rozmawiałam z oceanem...”, pomyślała i niepewnie weszła do pokoju.

Gdyby Szabla była nieco uważniejsza i stała odrobinę bliżej, zauważyłaby, że sufit był już równo podwieszony, a za łóżkiem przez środek ściany aż do sufitu biegła odcinająca się jasnym gipsem szrama. Jednak dziewczyna była zbyt zasnana i zbyt ścierpnięta (jednak ocean miał rację, niepotrzebnie się na niego oburzała), żeby dostrzec te szczegóły.

Dopiero gdy wypili kawę i zjedli grzanki, Szabla odzyskała władzę nad swoim umysłem.

- No dobra, oprzytomniałam, skoro już i tak mnie tu podstępem zaciągnąłeś... - Bizon próbował się sprzeciwić, ale dziewczyna stanowczo mu przerwała. - Nie protestuj! Kuszenie kawą i grzankami to chwyt poniżej pasa, sam o tym wiesz. Żądam wyjaśnień. Myślę, że skoro przed ukatrupieniem mnie nakarmiłeś, to wyjaśnień również mi udzielisz.

Bizon pokornie pokiwał głową, trochę się natrzęsając z poważnej przemowy Szabli.

- Co chcesz wiedzieć? Wolę sam nie mówić, bo znów się przestraszysz i uciekniesz.

- No jak to co. Jesteś mordercą czy nie?

- Co? Jakim mordercą? Chyba najwyżej siedliska karaluchów w tej ścianie.

- Brrr, karaluchy, nawet mi o nich nie mów. No to wyjaśnij, dlaczego zdemolowałeś pokój.

- No przecież nie po to, żeby sobie umilać wakacje mordowaniem karaluchów! Skąd w ogóle pomysł, że kogoś zamordowałem?

- Yyyy, o tym później, to ty się teraz tłumaczysz - przypomniała Bizonowi nieco zmieszana Szabla.

- Uch, no dobra, to długa historia. Miałem kumpla, w sumie przyjaciela, choć różniliśmy się bardzo, szczególnie w podejściu do życia. Między nami było tak, że nawet gdy spotykaliśmy się co pół roku, to gadaliśmy jak starzy kumple. Założyliśmy razem biuro podróży. Podzieliliśmy się obowiązkami, ja harowałem na miejscu, czasem jechałem z turystami, gdy brakowało w obsadzie rezydenta. Pilnowałem finansów i dbałem, żeby się interes kręcił, a on... No to był niebieski ptak, wykorzystywał rabaty, żeby zwiedzić pół świata, i luźno podchodził do pieniędzy, ale za to miał dar przekonywania. Gdy wyjeżdżał jako przewodnik, to klienci z jego grupy byli zachwyceni wycieczką. Opisywali wakacje jako niezapomniane, cudowne i dostawaliśmy od nich listy dziękczynne. Oczywiście często wykupowali kolejną wycieczkę i reklamowali nas wśród znajomych. Zdarzało się, że Leto był kilka tygodni w roku w biurze

i wtedy obroty rosły kilkukrotnie. Potrafił sprzedać każdą, nawet najdroższą wycieczkę, a klienci i tak byli zadowoleni. Jak widzisz, układ był niegłupi, bo dzięki różnicy naszych charakterów biuro nieźle działało, a nawet ominął nas kryzys. Niestety jak ma się szczęście w finansach, to ma się pecha do kobiet. Obaj byliśmy pechowi. Mnie babki zostawiały w najmniej spodziewanych momentach i jego też. Z tą różnicą, że gdy się Leto zakochiwał, to od razu robił ślubowanie z pompą, a ja raczej zawsze omijałem ten temat. No i pewnego razu mu się umarło. Nie wiem jak i dlaczego, co mnie wkurza niesamowicie, a durni gliniarze nie chcą pisać ani słówka, więc ja im też wszystkiego nie powiedziałem. Wydawało mi się, a teraz to już mam pewność, że Leto wiedział, co się święci. Zachowywał się dziwnie jakieś dwa miesiące przed śmiercią. Stał się nerwowy, odwiedzili go kilka razy podejrzani kumple, nawet w biurze go nachodzili. Pytałem go wielokrotnie, co się dzieje, ale nic nie chciał mówić, tylko jakieś dziwne teksty mi posuwał o tym, żebym korzystał z życia i gdy wreszcie znajdę najpiękniejszą kobietę na świecie, żebym wziął ją do najpiękniejszego miejsca na świecie, i takie tam. Sentymentalny się zrobił jak nie on. No i potem wydarzył się ten dziwny wypadek. Ja tam nie wiem, czy któraś z tych jego pazernych bab go nie załatwiła. Wszystkie jakieś niejasne podchody robiły przed jego śmiercią, pojawiały się i znikwały, no a ta ostatnia narzeczona to już przeginała zupełnie.

- Że co?

- No łąziła za nim wszędzie, aż go wyłaziła i potem odkleić się nie mogła. A przesłodzona była jak tort z dwoma warstwami lukru. Wydaje mi się, że ona nie spotykała się z nim bezinteresownie. Śledziłem ją i odkryłem, że zadawała się z tymi podejrzanymi gośćmi, którzy przychodzili do biura. No, ale co mi to dało? Nic. A potem pojawiłaś się ty.

- O nas to może później pogadamy...

- Nie da się później, bo zaczarowałaś mi cały świat i sam się sentymentalny zrobiłem, poza tym skoro najpiękniejsza kobieta na świecie weszła do mojego biura i zażądała wyjazdu do najpiękniejszego miejsca na świecie, to co miałem zrobić?

„*Shit, shit, shit*, i znów go kocham, masz ci los”, pomyślała Szabla.

- No i resztę już znasz.

- No właśnie nie znam, po co robiłeś demolkę w pokoju?

- No właśnie z powodu tej płyty odwróconej, tak nie mogło być.

- Rany, rozwaliłeś pół pokoju, bo nie pasowało ci ułożenie płyty gipsowej?

- No... Tak... Ja już taki jestem, nie cierpię fuszery. Leto o tym wiedział i...

- No i...

- I znał mnie aż za dobrze, zobacz...

Bizon zaczął grzebać w walizce, odrzucił zmięte i brudne ubrania, a wyjął doskonale czysty i świetnie wykonany pokrowiec na aparat fotograficzny. Jak typowy mężczyzna o sprzęt elektroniczny i jego akcesoria dbał z należytym szacunkiem. Ostrożnie otworzył futerał. Szabla zajrzała do środka.

Zobaczyła jajo.

Bizon delikatnie je wyjął.

Jajo było niewielkie i niebieskie, ozdabiały je delikatne, złote pasy. Między nimi zostały namalowane piękne baletnice. Figurka była cudna, lśniąca, baletnice wyglądały, jakby naprawdę tańczyły, a granat między złotem wydawał się mieć intensywniejszy odcień niż wieczorny ocean. Jajo na czubku zdobiła wymyślna, złota zapinka.

- Skąd to masz?

- No spod sufitu właśnie, a właściwie sznurek był pod podwieszaną płytą i wiódł aż tu, do tej zagipsowanej nad łóżkiem dziury.

- Otwiera się? - zapytała Szabla.

- Nie wiem, bałem się sprawdzić...

Szabla delikatnie wzięła jajo, okazało się dość ciężkie - czyżby złoto było prawdziwe? Niemożliwie. Otworzyła zapinkę. Ich oczom ukazały się trzy maleńkie baletnice wykonane ze złota. Tańczyły na lustrzanej tafli dookoła srebrzystej kuli. Każda dziewczyna miała inną sukienkę i inną pozę, a wszystkie były tak piękne, dopracowane i wyraziste, że aż Szabli zaparło dech w piersiach.

- Cudne, cudne - wykrztusiła.
- Ty myślisz, że to jest prawdziwe?
- Prawdziwe jajo Fabergé, jajo carskie?
- Na to wygląda... Choć zupełnie się na tym nie znam. Nie to, co Leto. On zwoził z podróży różne okazy, znał się na tym niezłe. Zdaje się, że nawet czasem coś przekazywał do muzeów. Trzymał z jakąś byłą kustoszką.
- Czyli... Sugerujesz, że jajo on umieścił w ścianie i to z rozmysłem, dla ciebie?
- No, z rozmysłem, dla nas. A widzisz inne wyjście?
- O raju...
- No właśnie...
- I co ty chcesz teraz z tym zrobić?
- Nie mam zielonego pojęcia. Jeszcze tego nie wymyśliłem, na razie rozmyślałem, jak sprawnie załatać pokój i jak odnaleźć ciebie, i przeprosić.
- No to sukces na całej linii, a teraz myśl, co robimy z jajem. Chyba trzeba by było sprawdzić, czy jest prawdziwe, czy to tylko durnostojka.
- Ale jak to zrobić tutaj, na wyspie? Może i znajdziemy jakiegoś specjalistę o wątpliwej opinii, ale nie sądzę, żeby nam pomógł... A jeśli pomoże, to... No wiesz, weszliśmy w posiadanie jaja nie do końca legalnie... Będziemy je chyba musieli oddać do tutejszego muzeum...
- No tak, przecież przewozić takich rzeczy przez granicę chyba nie wolno...

- Chyba nie...
 - Trzeba pogadać z Antoniną...
 - No co ty, im mniej osób wie, tym lepiej...
 - Antonina jest spoko, ręczę za nią. Chodźmy jej poszukać. A przy okazji, myślisz, że twój kumpel gwizdnął jajo tym Ruskom rok temu?
 - Hm, możliwe, on właśnie taki był, świr kompletny. Ciekawe, jak to zrobił...
 - Ciekawe...
 - A tak właściwie, dlaczego podejrzewałaś, że jestem mordercą?
 - Oj...
 - Ja się wytłumaczyłem, proszę o rewanz!
 - No dobra, więc zaczęło się od tego, że moja Kudłata odnalazła twojego przyjaciela w stanie już zdecydowanie nieżywym i...
- I Szabla opowiedziała całą historię o swoich nie do końca czystych intencjach inwigilacji biura podróży oraz o zupełnie przypadkowym zakochaniu się w głównym podejrzanym.

Rozdział 37

Bazylią patrzyła na wszystkie swoje dzieci zadziwiająco grzecznie bawiące się w piaskownicy osiedlowego placu zabaw. Myślała, że ten, kto wymyślił piaskownice, powinien dostać Nagrodę Nobla. Podobała jej się ta prosta idea bawiąca miliony maluchów na całym świecie i dająca chwilę spokoju milionom rodziców. Tym razem cztero- i dwulatek bawili się dość zgodnie, co też było zasługą bardzo dużej ilości autek, które Bazylią zabrała na plac zabaw, a najmłodszy, ledwo siedząc, przesypywał piasek między paluszkami i kwiczał z zadowolenia.

Dzzzzzyyńńń! Telefon wyrwał Bazę z medytacji.

- Halo, kto tam? - odezwało się w słuchawce.

„Rany, jaki jest sens telefonować do kogoś i pytać, kto tam. Tam jest ten, do kogo dzwonisz, naturalnie!”, pomyślała ze złością Baza. Gniew jej minął, kiedy na wyświetlaczu komórki zobaczyła, kto dzwoni. Miodzia. Można było usprawiedliwić jej zachowanie. Za czasów młodości ciotki jeden telefon przypadał na pół wioski albo na cały blok, więc może pytanie było sensowne.

- Halo, tu Bazylia, dzień dobry, ciociu.

- A, dzień dobry, jak dobrze, że cię zastałam.

Bazylia uśmiechnęła się, myśląc, że w dobie telefonów komórkowych bardzo trudno jest kogoś nie zastać.

- Ja też się cieszę, ciociu. Czy coś się stało?

- Ależ skąd?! Czy ty uważasz, że ja wydzwaniam tylko wtedy, kiedy coś się stanie? Może nie w waszych czasach, ale w moich aparat telefoniczny służył zarówno do powiadamiania o wypadkach, jak i do kulturalnej rozmowy. Telefonowanie do kogoś było wyrazem szacunku.

- No tak, ciociu, masz rację. O czym chciałaś porozmawiać?

- Ach, kochanie, widzisz, wstałam sobie rano i szczęśliwie wykonałam poranną toaletę, uważam, że poranna toaleta to podstawa, robię ją jeszcze przez zaparzeniem herbaty, eleganckie damy nie powinny przecież zasiadać do porannej herbaty w szlafroku czy peniuarze, prawda?

- Tak, ciociu - odpowiedziała odruchowo Bazylia i próbowała sobie przypomnieć, ile to razy sama zasiadała do porannej herbaty w peniuarze. Wyszło jej, że codziennie od czterech lat. Nie powiedziała Miodzi o swoich obliczeniach, bo z doświadczenia wiedziała, że lepiej, łatwiej, wygodniej i, co ważne, szybciej było ciotce nie przerywać. Bazylia pragnęła jeszcze skorzystać

z chwili ciszy, spokoju i promieni wiosennego słońeczka na placu zabaw.

- No właśnie. Oczywiście jak zwykle miałam rację, bo alebym teraz wyglądała... No, w każdym razie po porannej toalecie i skropieniu się perfumą, bo ja przecież nie z byle jakich jestem, a na bazarku koło mnie mają teraz takie piękne perfuma, może ci też jeden flakonik zakupię, ale to na okazję, na okazję, bo bez okazji takich prezentów się nie rozdaje byle komu.

- Tak, ciociu - bezwiednie potwierdziła Bazylia, słuchając jednym uchem i wystawiając policzek na poranne słońce.

- No właśnie, i jak już skończę tę toaletę, to w zwyczaju mam parzyć sobie herbatę. Normalnie zleciłabym to subretce, no ale już tyle tych dziewcząt przyjmowałam do pracy i żadna się nie nadaje. Nie ma już dawnej klasy, dawnych obyczajów. Obecne pokojówki nawet herbaty zaparzać poprawnie nie potrafią i sypią całą łyżkę wiórków do jednej filiżanki, kto to widział!

- Tak, ciociu - Bazylia przytaknęła po raz kolejny i oddała się marzeniom. Myślała o przyszłorocznym wyjeździe z dziećmi na piękną, kanaryjską plażę. Wpadło jej też do głowy, że jeszcze tego lata cała rodzina mogłaby bryknąć nad polskie morze. Dzieci miałyby wielką piaskownicę do zabawy. Nad Bałtyk można było dojechać w kilka godzin... Mały na pewno wytrzymałby taką podróż. Pomysł spodobał się Bazylii tak bardzo, że zdecydowała się rozpocząć kampanię przekonywania

męża. W czasie rozmyślań dziewczyny ciotka niezmordowanie ciągnęła:

- No właśnie, no, więc parzę tę herbatę, ale nie byle jak. Wy młodzi teraz to tylko worek i woda chlup. O nie, nie, ja nie z takich. W imbryku prawdziwym z porcelany parzyłam, jak przystoi damie, herbatę prawdziwą, a nie jakieś torebki. Co to za nowomodny wymysł. Gdy raz przypadkowo torebkowaną zakupiłam, to musiałam wszystkie te woreczki porozrywać. A wiesz, że z jednej to trzy herbaty można było zaparzyć? Co za marnacja, naprawdę, za grosz szacunku do tradycji nie ma młode pokolenie.

- Tak, ciociu - wymruczała Bazylia, choć nie słuchała Miodzi, tylko oczami wyobraźni przyglądała się morskim falom, piaskowi, słońku, bawiącym się dzieciom, leniuchującemu mężowi i sobie.

- No właśnie, nagle jak łupnęło! Łuuuuuppp!!!

- Jezus Maria! - Bazylia została wyrwana z marzeń przez gromki okrzyk ciotki.

- No właśnie!!!

- I co się stało?

- No właśnie nie wiem! Ale łupnęło straszliwie! Przerazająco! I cała herbata na nic, bo woda się nie zdążyła nagotować!

- Ale co łupnęło?

- No nie wiem, przecież mówię! Damą jestem, a nie tym, no, tym, elektrykiem! Przecież nie przystoi mi w kable jakie zaglądać! Ale nic a nic nie działa teraz,

a jednak trzeba być człowiekiem nowoczesnym, a mój dom, jak wiesz, przytulność i tradycję łączy z nowoczesnością, ale muszę się nad tym zastanowić poważnie, bo zobacz, jaka ta wasza, młodych, nowoczesność zawodna, jedno łup! i nic nie działa w całym domu.

- Ojeju, ciociu, ale ja teraz z małymi jestem i nie dojadę do ciebie - zmartwiła się Bazylia, ale już zaczęła zastanawiać się nad tym, jak, gdzie i którego synka umieścić, żeby pomóc ciotce.

- No przecież, kochana, nie będę ciebie obarczać, poza tym też jesteś damą, szanuj się bardziej! Od czego są mężczyźni?! Poza tym znasz się na tym tak samo jak ja i co mi tam będziesz w kablach grzebać. A ten twój małżonek, to co, do niczego się nie nadaje?

- Yyy, dlaczego do niczego?

- No, nie umie takich prostych kabli nawet naprawić?

- No umie, myślę, oczywiście, pewnie tak...

- No właśnie, to jesteśmy umówieni, tylko proszę, żeby jak najszybciej przyjechał i nie wymawiał się tymi, no, korkami, kiedyś to dżentelmen nigdy się do damy nie spóźniał, nie to co teraz. No pa, kochana. To czekam - zakończyła rozmowę Miodzia.

- Do widzenia, ciociu - powiedziała oszołomiona Bazylia do głuchoj już słuchawki. Przerażona zastanawiała się, jak ona mężowi powie, że dostał fuchę elektryka. Przy takim newsie o wakacjach nie było co wspominać...„Kurde, no, znów mnie ciotka zagadała. Nie

można myśleć o słoneczku, trzeba być czujnym, uch...
Następnym razem powiem jej...”, rozmyślała Bazylia, choć doskonale wiedziała, że następnym razem zachowa się dokładnie tak samo.

Na szczęście mąż był w pogodnym humorze, kiedy Bazylia do niego zatelefonowała. Na szczęście albo na nieszczęście, bo przecież właśnie zamierzała mu zepsuć dobry nastrój, a wybitnie tego nie lubiła. Gdy usłyszał, że ma jechać do nielubianej ciotki natychmiast i to absolutnie nie w celach towarzyskich, to z trudem się opanował. Bazylia widziała już oczami wyobraźni żyłą pulsującą na jego wysokim czole i kończącą się gdzieś między ciemnymi włosami. Wydało jej się to całkiem seksowne.

- Kochanie, proszę, zrób to dla mnie.

- Ale zawsze tak jest, Baza! Nie musisz być, pip!,
Matką Teresą! Przecież to babsko jawnie ciebie i mnie wykorzystuje! A elektrycy nie istnieją? Skoro z niej taka wielka dama, to może podkasa swój peniuar i polecą po książkę telefoniczną, i wydzwoni jakiegoś? Przecież ja jestem w pracy, nie zawsze mogę przybiec na jej żądanie!

- Kochanie, ale to jest starsza osoba, ona boi się obcych ludzi, wiesz, że nigdy by elektryka nie wpuściła...

- Jak będzie kilka dni bez prądu, to wpuści, tylko gadaniem w dziesięć minut tak go zmęczy, że sam zwieje. Ona dobrze o tym wie, dlatego dręczy ciebie. Baza, tak nie może być. Nie jestem chłopcem na posyłki, kochanie, mamy ważniejsze sprawy i zadania niż wybite korki w mieszkaniu ciotki.

- A widzisz, jak ty się na tym doskonale znasz! Tylko powiedziałam, że coś łupnęło, a ty już zdiagnozowałeś, że to były korki. Oj, pomóż starszej, nieco zakręconej pani. Będiesz miał u mnie takieego plusa, będę cię tak kochać, że hej!

- Ha, ha, ha! - Mąż Bazy wiedział, że zawsze wymięknie przy jej babskiej argumentacji, poza tym kochał w swojej żonie tę opiekuńczość wobec całego świata. Zgodził się pojechać do ciotki na prośbę Bazylia, mimo że Miodzia wkurzała go niesamowicie, bo wiedział, że z rozmysłem wykorzystuje jego żonę.

- Ostatni raz!

- Oj, ostatni, no jasne, przecież obiecałam!

- Dopiero za godzinę będę miał chwilkę, żeby się urwać. I biada ciotce, jeżeli mi powie, że się spóźniłem. Wtedy wychodzę od razu i niech radzi sobie sama. No i jedziesz ze mną, bo ja jej paplaniny nie zniosę.

- Dobrze, dobrze, wszystko załatwię.

I tak właśnie Bazylia wmotała się w mało zachęcającą wizytę, a dzień zapowiadał się tak dobrze... Miała nadzieję, że Ten z nieba wszystko widzi i ją sownie wynagrodzi.

Rozdział 38

Bazylią wspięła się na szczyty swoich możliwości organizacyjnych, żeby przygotować się do wizyty u ciotki. Jedno dziecko wyekspediowała do kolegi, drugie do babci, trzecie jechało z nimi. Dzięki wieloletniej praktyce organizacyjnej w ciągu godziny zdążyła jeszcze ogarnąć dom, przygotować na obiad i zrobić makijaż, bo do ciotki *sauté* lepiej było się nie wybierać. Czekala już z ubranym najmłodszym bobasem na męża, a karkóweczka w garnku pyrkala, drażniąc przyjemnie zakończenia nerwów węchowych. Gotowanie było tym, co Bazylią bardzo lubiła i co jej świetnie wychodziło.

„Może ja bym książkę kucharską napisała? Tylko byłaby to trochę dziwna książka... Dla matek zajmujących się dziećmi na pełny etat. *Potrawy z bobasem*”, rozmyślała Bazylią.

Na przykład taka karkóweczka – potrawa na sto dwa i niby niełatwa – a idealnie nadawała się do ugotowania w towarzystwie małego dziecka, a nawet kilku maluchów. Najtrudniejszy był tylko pierwszy punkt – kupienie ładnej

karkówki. Pokonanie tej trudności zależało od ilości posiadanych dzieci. Do tego punktu Bazylia też miała gotowy przepis:

1. Ubierz dzieci.

2. Idźcie do sklepu (sposoby: nakłanianie, prośba, przekupstwo, szantaż, przymus).

3. Skieruj dzieci w stronę sklepu mięsnego, nie zabawkowego, nie cukierni, nie lodziarni, nie placu zabaw (sposoby jak wyżej plus unieruchomienie dziecka w wózkowych pasach tak zwanego bezpieczeństwa; chyba raczej bezpieczeństwa psychicznego rodzica).

4. W mięsnym zakup karkówkę (nie parówki, nie mięsko w kształcie misia, nie dziwny pasztet, bo ma różowe pypcie i to na pewno lody w środku są), tyle plastrów, ile żarłaczy w domu.

5. Wróć do domu z karkówką (sposoby jak wyżej plus bonus: zabawa w wyścig z mamą, o ile mama jeszcze zipie; mama ma jogging za darmo, dzieci mają frajdę, karkówka się nie zepsuje podczas wielogodzinnej wędrówki do domu).

W domu trudności przysparzał żarłoczny pies, który wpychał pysk we wszystkie siatki. Jednak dzięki treningowi sztangisty - w jednej ręce pięć kilo karkówki, w drugiej pięć kilo bobasa - Bazylia pokonywała i tę przeszkodę. Zrobienie karkówki na tym etapie stawało się prościzną. Najpierw rozbierała dzieci z bambetli i zajmowała je czymś. Dawała im taką ilość soczków, przegryzek, gier, zabawek, żeby starczyło na dziesięć, piętnaście minut spokoju. W tym czasie wyjmowała

karkówkę, myła ją, soliła i pieprzyła z obu stron, potem wrzucała na patelnię na rozgrzaną oliwę i obsmażała tylko trochę, tak żeby nie było widać czerwonego mięsa. Miała dwie, trzy krótkie przerwy między odwracaniem mięsa na patelni, więc ze spokojem dolewała soczku dzieciom i przebierała pieluchę. Obsmażoną karkówkę wrzucała do gara, zalewała oliwą ze smażenia, dolewała wody, żeby pokryła mięcho i dorzucała jedną cebulę (całą, tylko obraną, broń Boże niepokrojoną, bo która mama miała czas być zapłakaną przez pół dnia?!). Następnie ustawiała palnik, tak żeby się w garnku leciutko gotowało i finito! Miała około półtorej albo dwóch godzin dla dzieci, a potem mogła nakarmić żarłacze. Karkóweczka wychodziła miodzio, pyszny sosik sam się robił, pasował i z pyzami, i ziemniaczkami.

Kiedy mąż po umówionej godzinie wpadł do domu, już pachniało gotującym się mięsem.

- Mmmmm, ale aromat! No dobra, odechciało mi się ciebie opierniczać.

Tak, tak, stare porzekadło, że do serca mężczyzny można trafić przez żołądek, było aktualne.

- No dobra, obiadek później, teraz jedziemy.

Do ciotki dojechali bez korków, więc czas mieli niezły, ale Bazylia i tak się bała, że Miodzia coś palnie, dlatego uzbroiła się w całą serię delikatnych ripost.

*

- No witajcie, witajcie - ciotka spojrzała na zegarek, a potem z aprobatą na męża Bazylia. - O, jak szybko

jesteście, cudownie, herbatę bym wam zaparzyła, ale tu takie nieszczęście... Jedyna nadzieja w rodzinie – Bazylia, siadając w salonie z maluchem śpiącym w foteliku, pomyślała, że ciotka wcale nie jest taka głupiutka.

- No, kochana, co tam u was?

Bazylia wiedziała, że Miodzi absolutnie nie interesuje odpowiedź na to pytanie, więc właściwie mogła rzucić byle co, kusiło ją nawet, żeby raz odpowiedzieć coś skrajnie głupiego, na przykład: „U nas turlututu, ciociu” albo „U nas trele-morele, ciociu”. Mogła się założyć sama ze sobą, że reakcja Miodzi byłaby taka sama jak na „Dobrze, ciociu”.

- Dobrze, ciociu – Bazylia jednak zabrakło odwagi na przeprowadzenie eksperymentu.

- No, bo wy to za spokojnie żyjecie, nigdy nic ciekawego nie macie do opowiedzenia, tak nie można, ja zawsze mam ciekawe historie, bo też bywam w wielu ciekawych miejscach, no i u mnie zawsze się coś interesującego dzieje. Na przykład wczoraj była u mnie ta moja przyjaciółka najdroższa, wiesz, pani kustosz muzeum.

- Ta była, z Narodowego, z turbanem na głowie?

- Och, kochanie, wypraszam sobie, żebyś tak obraźliwie wyrażała się w moim domu o mojej drogiej przyjaciółce! – uniosła się ciotka.

- Nie chciałam, ciociu, tak mi się wymknęło. A czym ta pani zasłużyła na miano przyjaciółki?

- No to zważaj na słowa, moja droga, bardzo cię proszę, bo następnym razem będę milczeć jak grób i nic się ciekawego ze świata nie dowiesz!

„Oho, to byłby niezły sposób na uzyskanie świętego spokoju”, pomyślała Bazylia.

- No i właśnie zaszła do mnie wczoraj na herbatkę popołudniową z odrobiną czegoś mocniejszego, wiesz, delikatny likierek pijemy jak damy, my nie z takich, co by się upijały. I wyobraź sobie, że moje eksponaty, moje cudeńka znajdą się na wystawie w muzeum. Prawdziwym, może nawet w Narodowym!

- O matko! Znaczący... Bardzo się cieszę...

- Ach, tyle lat niedoceniany był mój zmysł artystyczny, a ja zawsze wiedziałam, że osoby takie jak ja: piękne i wewnętrznie, i zewnętrznie, muszą intuicyjnie wyczuwać w rzeczach ich artyzm i piękno. I widzisz, miałam rację. Ty tego możesz nie rozumieć, ale pani kustosz się nie myli!

- Ależ skąd... A kiedy ta wystawa?

- Ach, nie wiadomo jeszcze, ale niedługo, już niedługo. Czekamy tylko na jeszcze jeden niezwyklej wagi eksponat, tak niezwyklej, że sama nie wiem jaki. Moja przyjaciółka ma już pomysł tej wystawy, ona chce pokazać artyzm wszystkiego, bo widzisz, bez brzydoty nie byłoby piękna. I ona to właśnie chce zestawić, dlatego będą sale z brzydotą, no w sumie nie wiem, co tam będzie, pewnie bohomyzy tego, jak mu tam, co kwadratowe baby malował, a obok prawdziwie piękno: rzeźba, malarstwo i moje eksponaty też! Ach, chyba będę

przesiadwała w tym muzeum od rana do nocy i pilnowała tych moich cudeniek jak źrenicy oka! Przecież do tych sal może wejść taki byle kto z ulicy i mi dotknąć czegoś drogocennego.

Bazylia z powątpiewaniem przyglądała się kamionkowym kubeczkom, emaliowanym pieskom, filiżankom, lekko obtłuczonemu posążkowi Buddy. W sumie bibeloty w sam raz nadawały się do sali z brzydota.

- Ach, jak będzie pięknie, będę sławna, znowu, tym razem jako koneserka sztuki! No co, nie cieszysz się moim szczęściem?

- Cieszę się bardzo, ciociu, oczywiście przyjdę zobaczyć wystawę.

- No dobrze, ukulturalnić cię muszę, bo ty już naprawdę nie masz swojego życia tylko te pieluchy, ale ciotka ci pomoże, o rodzinę trzeba dbać. A widzisz, ostatnio poznałam bardzo miłych i kulturalnych, co się rzadko zdarza, młodych ludzi, nie takich zabieganych jak niektórzy. I mieli czas porozmawiać ze starszą damą, i do kawiarni nawet zapraszali, ale ja nie z takich przecież, żeby się z nieznajomymi po kawiarniach wałęsać. O biuro podróży pytali, też chcieli wycieczkę zakupić, ale tam panienka tylko jakaś. Ja wiem, jak to jest z tymi panienkami, takie bezczelne i z góry na człowieka patrzą, a głupie to, nic nie wie, nie zna się na niczym. No to ja im powiedziałam, że niestety, wypadek taki, nieszczęście, właściciel zamordowany. To ale ciekawi byli! Widzisz, mnie każdy jest ciekawy! I wszystko im powiedziałam.

Tylko o tym nowym właścicielu nic nie wiem, bo jakiś taki niewydarzony, nic nie mówi, z nikim nie porozmawia, a teraz to chyba go wcale nie ma. Ja ci mówię, że on to zmarnuje ten zakład. Zważ na moje słowa.

- Skończyłem! - wykrzyknął mąż.

- Cudownie! - odkrzyknęła Bazylia.

- No, to może ja herbaty zaparzę?

- Oj nie, nie, mąż się do pracy spieszy, prawda, kochanie?

- Zaiste!

I tak się skończyła męcząca jak zawsze wizyta u ciotki Miodzi, która paplała, co jej do głowy wpadło, ale tym razem trzeba było jej słuchać nieco uważniej niż zwykle, czego oczywiście znudzona Bazylia zaniechała.

Rozdział 39

- To co robimy z tym jajem? - dopytywał Bizon.

- Nie mam pojęcia... - jęknęła Szabla.

Gazela siedziała nad basenem i flirtowała ze swoim ulubionym barmanem. Bizon, Szabla i Antonina zorganizowali w pokoju naradę. Właśnie z zachwytem przyglądali się cudnemu jajku. Było tak doskonale wykonane, że albo stanowiło sporej wartości imitację, albo faktycznie było oryginalne. Oczarowana początkowo Antonina zmieszała się na wieść o tym, w jaki sposób przyjaciele weszli w posiadanie figurki.

- Nie bardzo się na tym znam... Musiałabym poszperać w kodeksach, ale... Powiedziałabym, że jajo przedstawia wartość kulturową. Nie należy do żadnego z was, bo rozumiem, że przyjaciel nie poczynił zapisu w swoim testamencie na rzecz Bizona i nikomu jaja nie przekazał...

- No wiesz, Antonina, ja nie sądzę, żeby zdobył je legalnie, prawdopodobnie Leto faktycznie jakimś cudem sprzątnął jajo tym Ruskom rok temu i tyle. Nikomu nie

udowodnię, że było przeznaczone dla mnie, bo kto mi uwierzy w historię o sznureczku za ścianą i skrytce? A nawet gdybym udowodnił, to co?

- Swoją drogą zajebisty pomysł z tym schowkiem. Dziw, że mu się to udało zorganizować... - dodała Szabla.

- Fakt...

- Uważam, że powinniśmy oddać jajo miejscowemu muzeum albo policji, bo w końcu podejrzewamy, że jest skradzione.

- Ej, no co ty, policji? Pośmiertnie mam przyjaciela wkopywać?

- No nie, nie, ja tylko mówię, jak według litery prawa powinniśmy postąpić...

- Alternatywne opcje? - Bizon jak zwykle był konkretny.

- Muzeum? Moglibyśmy jajo podrzucić jak kukułcze i zostawić, i nikt by tego z nami nie powiązał...

- Owszem, ale na wyspie? Lubię Hiszpanów, są w porzo, ale... Wyobrażacie sobie wystawę w Polsce, w Narodowym, z naszym jajem Fabergé w roli głównej? Może właściciele innych jaj zgodziliby się przewieźć swoje okazy i zorganizowałyby się taką wielką jajeczną wystawę o światowym rozgłosie! - Szabla sama siebie nie podejrzewała o taki patriotyzm.

- No dobra, pani jajecznico o światowym rozgłosie, a jak zamierzasz przewieźć jajo przez granicę? Pod pachą?

- Uch, to może być problematyczne... No ale przecież w czasie wojen rozkradziono tyle dzieł sztuki i co? Myślicie, że pooddawano je? Grzecznie przyszli najeźdźcy z pochylonymi czołami, powiedzieli przepraszam i oddali wszystko na zgodę? Akurat! Wysłali kilka pism, odfajkowali, że pięć wagonów dzieł sztuki oddali, pozostałe setki wywiezionych zaginęły i tyle. I najpiękniejsze kolekcje poszły na zatracenie! A teraz możemy przywieźć do Polski dzieło sztuki, nie możemy tej szansy zaprzepaścić.

- No, Szabla, ty się faktycznie w patriotyzm wkręciłaś.

- Ja myślę, że Antonina ma rację, z bólem serca przyznaję, ale najlepiej będzie jajo podrzucić do miejscowego muzeum - skapitulował Bizon.

- O nie, nie oddam, jak nie chcecie, to pod pachą przewiozę, to jest już polskie jajo.

- Ale Szabla...

- Nie masz szans, jak się uprze to koniec - zaśmiała się Antonina. - Musimy raczej wymyślić, jak jajo przewieźć, bo chyba będzie to łatwiejsze niż wyrwanie go Szabli spod pachy.

- No, nareszcie kreatywnie myślicie - podsumowała zadowolona Szabla. - Mamy jeszcze dwa dni, wymyślimy coś, a teraz lećmy po Gazele i chodźmy na kolację, bo już burczy mi w brzuchu.

- Ha, ha, ha! No tak! Powiedz mi, jak ty w takim małym ciele mieścisz tyle jedzenia? - zapytał

uśmiechnięty Bizon.

- Bo ja, kochany, nadnaturalnie przemieniam materię! No już, wkładaj swoje jajo do sejfu i idziemy!

- Ha, ha, ha! Nikt tak jeszcze do mnie nie mówił.

- No widzisz, nasza znajomość przeszła na następny etap.

- Nauka nakazów i zakazów? - wtrąciła się Antonina.

Przyjaciele z nieukrywanym zadowoleniem poszli na pyszną kolację do baru przy plaży. Trochę było im smutno, że urlopowa sielanka miała się za dwa dni skończyć. Jednak myśli wypełniało im nowe zadanie.

Rozdział 40

Kudłata była zmęczona. I fizycznie, i psychicznie.

Zmęczona bywała często - taka praca - ale tym razem przemęczenie naprawdę dawało jej się we znaki i oddziaływało na całe jej otoczenie. Lekarka warczała na wszystkich, coraz częściej zdarzały się jej momenty dezorientacji. Tak to bywało czasem, gdy człowiek stał już na ostatnich nogach, a jeszcze musiał wykrzesać z siebie siłę, bo nie było widać końca udręki. Wtedy jego organizm przestawiał się na tryb oszczędny - w mało istotnych sprawach ograniczał myślenie do minimum.

Kudłata czasem działała jak na dopalaczu (właściwie pod względem medycznym tak było, jej własna adrenalina wyrzucana z zakończeń nerwowych stanowiła najlepszy stymulant, a w połączeniu z mocną kawą dawała możliwość funkcjonowania w warunkach powiatowej izby przyjęć), a czasem popadała w letarg. Niby jadła, chodziła do sklepu i z Cystofiksem na spacer, ale nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje. Prawie przestała o siebie dbać, zdarzało jej się zasnąć pod

prysznicem. Kąpiel była jej jedyną podyżurną czynnością pielęgnacyjną, bo w domu nie mogła znieść szpitalnego zapachu, którym przesiąkała. Niestety zmęczenia psychicznego nie dawało się tak elegancko wypłukać jak cielesnego. Od prawie miesiąca Kudłata bez przerwy myślała o pacjentach, ich problemach, śniła o nich, rozmawiała sama ze sobą. Nierzadko budziła się w środku nocy zlaną potem i wystraszoną, że czegoś zapomniała komuś zlecić albo w ogromie zajęć zapisała nie taki lek, jak trzeba było. Koszmar okazywał się fikcją, ale czasem zdarzało się, że w nocy dzwoniła do szpitala, nakazując, żeby jednak nie dawać panu X tego a tego leku, ale inny, albo upewniając się, że wszystko zrobiła dobrze. Rano w tramwaju planowała zajęcia na cały dzień, a wieczorem podsumowywała, co zdążyła, a czego jeszcze nie zdążyła zrobić. Najgorsza wydawała jej się papierologia i przepychanki z urzędami. Zwykle nie przejmowała się tysięcznym, wielostronicowym dokumentem, który musiała wypełnić nawet przy prostej sprawie, ale teraz była na skraju wyczerpania i denerwowało ją wszystko. Złościło ją też to, że pacjenci nie stosowali się do jej zaleceń, że ustawodawca nie pozwalał posłużyć się danym lekiem, mimo że były do tego jasne wskazania, albo go nie refundował, w związku z czym pacjent nie mógł sobie na niego pozwolić i nie był leczony odpowiednio. Irytowała się, gdy musiała przyjmować chorych po godzinach, choć nikt jej dodatkowo nie płacił. Robiła to, ponieważ ością w gardle stawały jej słowa: „Powinien pan się zgłosić do poradni za dwa tygodnie, ale mogę pana zapisać dopiero na przyszły rok”. Stawała na głowie, żeby usprawnić proces

diagnostyki i leczenia, a urzędnicy zupełnie się tym nie przejmowali i pacjent na tym cierpiał. Wściekała się, gdy zmieniano terminy badań, bo psuły się aparaty do diagnozy. Właściwie służba zdrowia od lat miała te same problemy, Kudłata była przyzwyczajona i podchodziła do nich z odrobiną humoru, jednak tym razem miarka cierpliwości lekarki się przebrała.

Może dobrze, że Kudłata żyła w takim letargu, bo nie rejestrowała wielu rzeczy, które się wokół niej działy. Przede wszystkim nie dostrzegła dwóch funkcjonariuszy, którzy mieli na nią oko non stop. Nie zauważyła też kilku innych śledzących ją osób ani ich aresztowania przez policjantów. Kudłata nie zwróciła uwagi na to, że próbowano ją namówić na rozmowę, wytrącić z wyznaczonej trasy spaceru. Pomijając działania siłowe, nie było szansy na nawiązanie kontaktu z dziewczyną. Kilku zaczepiających ją osobników potraktowała mało elegancko, zachowując skrajną asertywność. Inspektora Boskiego-Męskiego rozpieierała z tego powodu duma, choć też niepokoił się o swoją Kudłatę. Policyjna międzynarodowa nagonka na przestępców związanych ze śmiercią Diunskiego przynosiła efekty i co chwila Milewski otrzymywał telefony z pozwoleniem na aresztowanie takich a takich osobników, których najczęściej odnajdywał w pobliżu Kudłatej. Kilku bandziorów z niewiadomych przyczyn samo pojawiło się w komisariacie i byli gotowi do podpisania całkiem ciekawych zeznań. W ten sposób, między innymi dzięki funkcjonariuszom z tajnego wydziału, udało się osadzić wszystkich typków dokuczających jego Kudłatej.

Na deser inspektor otrzymał jeszcze przyszłą-niedoszłą Diunskiego oraz jej nowego absztyfikanta. Zaczęli sypać, bo nie chcieli być sądzeni za morderstwo. Spisano ich przyznanie się do bezlitosnego postrzelenia trupa. Co prawda zeznanie wyszło nieco durnie, ale oddawało stan umysłu przyszłej-niedoszłej i jej nowego kawalera. Oboje przesłuchiwani stanowili niezłą rozrywkę w komisariacie. Kłócili się bez przerwy, nawet o detale, i bluzgali takim słownictwem, że mogliby zagrać w filmach Tarantino.

Boski-Męski dowiedział się nieoficjalnymi kanałami, że głupota przyszłej-niedoszłej i epuzera odsłoniła kawałeczek polsko-rosyjskiej organizacji przestępczej, której oczywiście w całości nie dało się od razu połknąć, bo była bardzo ciężkostrawna. „Dobre i mniejsze porcje. Przynajmniej jedną sprawę mamy wyjaśnioną”, rozmyślał Milewski, siedząc w swoim ulubionym fotelu. Kotka Fuga z radością ocierała się o rękaw jego koszuli, zostawiając na nim kłaczkę szarego, błyszczącego futra. Inspektor głaskał zwierzątko i czuł zadowolenie, że jego Kudłata była wreszcie względnie bezpieczna.

Tim-tim, tim-tim, tim-tirim-tim-tim! Głośny dźwięk komórkowego charlestona wyrwał Milewskiego z rozmyślań.

- Panie inspektorze, tu Diunskie, znaczy pierwsza i druga, proszę nas już nie dręczyć tymi prześladowaniami! Chcemy złożyć zeznania!

- Ależ zapraszam panie serdecznie na komisariat, czekałem właśnie na telefon od pań, herbata już się parzy

- odpowiedział, wyłączając telefon. Szybko wrzucił na siebie wiosenną kurtkę, w locie złapał kluczyki od ulubionej škody i już był w drodze na komisariat. „Tim-tim, tim-tim, tim-tirim-tim-tim, wszystkie ptaszki lecą do klatki”, podśpiewywał pod nosem.

Rozdział 41

Antonina przez ostatnie dwa dni pobytu na Kanarach była zajęta zgoła czymś innym niż aspektami prawnymi przewiezienia jaja Fabergé do Polski. Rozmyślała raczej o tym, jak pięknie, ciepło, cudownie i beztrosko było na Fuerteventurze. Pragnęła zostać na wyspie na zawsze. Dużo miejsca w rozważaniach Antoniny zajmował również Książę, który wykorzystywał każdą wolną chwilę, żeby się z dziewczyną widywać.

Antonina nigdy by nie przyznała, że trafił jej się romans jak z bajki – zbyt twardo stąpała po ziemi – ale w sumie tak właśnie było. Książę pokazał jej kilka nieznanych zakątków wyspy oraz maleńkie plaże ukryte pomiędzy wielkimi górami. Weszli też na wulkan, z którego było widać niemalże całość wyspę. Wyglądała jak bochenek żółtego chleba położony na środku bezkresnego, niebiesciutkiego obrusa oceanu.

Kolory wyspy oczarowały Antoninę. Nigdy nie przypuszczała, że jest wrażliwa na barwy. Nie mogła się też oprzeć wrażeniu, że te mocne, piękne, wyraźne kolory

nie były naturalne tylko namalowane. Woda była lazurowa, a nie szara, zielona czy niebieska, piasek był złoty, a nie siwy, bury czy brązowy, góry cynamonowe, niebo było czyste, słońce lśniło mocno jaskrawym blaskiem, nadając ciepły odcień wszystkim kolorom.

Antonina postanowiła, że musi wrócić na wyspę. Jeszcze nie była pewna swoich uczuć do Księcia, ale wiedziała, że pokochała Fuerteventurę z całą jej surowością, niedostępnością, naturalnością. Darzyła ją szacunkiem, wręcz uwielbieniem. W głowie wirowały dziewczynie pomysły, jak to zrobić, żeby jak najszybciej wrócić na Kanary albo zamieszkać na nich na stałe. Nigdy się nie podejrzewała o to, że zasmakuje w spokojnym, bliskim naturze stylu życia. A jednak, taka egzystencja wydawała się Antoninie zachwycająca i prawdziwa.

Do tej pory rzadko w ogóle zastanawiała się nad tym, jak chce żyć. Tyrała, bo wszyscy tyrali, spłacała kredyty, bo wszyscy spłacali, żyła z dnia na dzień, nie bardzo się nad tym zastanawiając, zresztą, nie było nad czym. A teraz uświadomiła sobie, że życie miała tylko jedno. Poczuła, że może coś zmienić, zrobić z życiem, co zechce, a nie to, czego się po niej spodziewali inni: szef, koledzy czy rodzina. Poczuła wreszcie, że kontroluje swój los. Nie martwiła się specjalnie tym, że musiała wrócić do kraju, ponieważ miała plan, plan na nową siebie.

Rozmyślając, Antonina otworzyła szafę i przyglądała się ubraniom. Księżę już na nią czekał pod hotelem. Wrzuciła na siebie ostatnią w miarę czystą sukienkę,

niebieską w białe kropeczki, założyła okulary, kapelusz i spojrzała w lustro. Pomyślała, że wygląda pięknie.

Wiedziała, że kobiety wyglądały ładnie, kiedy czuły się dobrze. Ich uroda tylko w dziesięciu procentach zależała od tego, co odbijało się w lustrze, a w pozostałych dziewięćdziesięciu - od samopoczucia.

Na szczęście Księżę też to wiedział. Uważał, że jeżeli kobieta narzeka, że jest brzydka, bo tu fałd, a tam zmarcha, tam za grubo, a tu za chudo, to pod żadnym pozorem nie należy się w nią wpatrywać i szukać owych mankamentów urody. Najwyższa kara należała się temu mężczyźnie, który potwierdził, że widzi wyimaginowane niedoskonałości. Według Księcia nie należało pomagać kobiecie w poprawianiu urody, wystarczyło polepszyć jej samopoczucie. Gdy zapraszał Antoninę na smaczną kolację w dobrej knajpie albo wspólny wyjazd, mówił jej komplement lub doceniał ją w jakiś inny sposób, wtedy dziewczyna jaśniała. Nic dziwnego, kobieta zadowolona to kobieta piękna i odwrotnie. A kiedy już kobieta osiągała ten stan, to emanowała pozytywną energią, na czym mógł również skorzystać mężczyzna, gdy damski zapach umiejętnie nakierował na siebie. Z dobrego samopoczucia kobiety mógł powstać pyszny obiad albo namiętny deser. Wystarczyło przyswoić sobie instrukcję obsługi kobiety.

Księżę nie potrzebował instrukcji obsługi Antoniny, miał bowiem szósty zmysł, który pozwalał mu wyczuwać jej kobiece nastroje. Dziewczyna, ostatnio mocno skupiona na poznawaniu siebie, nie do końca zauważała, z jakim mężczyzną się spotykała. Nie okazywała

Antoniowi uwielbienia, do jakiego w kontaktach z kobietami był przyzwyczajony. Może i dobrze, bo zdobycie Antoniny Hiszpan traktował jak wyzwanie, a to jeszcze bardziej go do niej przyciągało.

- Halo, Antonina, znów się zawiesiłaś! - denerwowała się Szabla.

- Daj jej spokój, zakochana jest - stanął w obronie Antoniny Bizon.

- Ja też i co? Znaczy, nie... Chodzi mi o to, że uczucie nie zaburza mi zdolności myślenia!

- No już, już, czego wy ode mnie jeszcze chcecie? Zmusiliście mnie, żebym siedziała w holu i gapiła się na strony internetowe, zamiast spędzać ostatnie chwile na wyspie na szczycie wulkanu albo na plaży. Wyklikałam, że hiszpańskie prawo w zakresie przewozu dzieł sztuki raczej nie różni się specjalnie od polskiego. Na tej podstawie radzę wam: oddajcie jajo w ręce policji, względnie podrzućcie kukulcze do muzeum. Tak by było bezpiecznie.

- No dobra, dobra, to już wiemy, teraz warianty mniej bezpieczne.

- Załóżmy, że jajo przewozimy. Możliwość najlepsza jest taka, że nas nie łapią i nikt nie zwraca uwagi na okaz albo zwraca, ale myśli, że to pamiątka z podróży, zawozimy jajo do Polski, oddajemy muzeum, Szabla robi jajeczną wystawę i zyskujemy wdzięczność oraz szacunek instytucji kulturalnych na całym świecie. Opcja druga. Przewozimy jajo i nas łapią. Jajo zostaje skonfiskowane. To najmniejszy problem. Możemy dostać pouczenie, że

nie wolno przewozić dzieł sztuki. Oczywiście wkręcamy władzy, że nie wiedzieliśmy, co przewozimy, choć to nie zwalnia nas z odpowiedzialności. Trzeba mieć też wiarygodną bajeczkę na temat znalezienia jaja. Trzecia możliwość. Wykręcamy się od odpowiedzialności, deportują nas do domu bez jaja, za to z wpisem w kartotece, co przynajmniej mi nieco bruździ w karierze, no i Szabla nie może zrobić jajecznej wystawy. I to były opcje *light*.

- Hm, OK, a opcje *hard*?

- No, mogą nas aresztować za przemyt dzieła sztuki, za składanie fałszywych zeznań, gdy się pogubimy w bajeczkach, za zniszczenie mienia, za kradzież, no i jeszcze kilka mniejszych przestępstw by się znalazło. Mówić dalej?

- Niekoniecznie...

- Nie zapomnijmy jeszcze o właścicielu jaja. Skoro jest prawdopodobne, że przyjaciel Bizona gwizdnął je przedstawicielowi rosyjskiej mafii, to hm... Wolałabym chyba grzecznie siedzieć w więzieniu, żeby mi się do tyłka nie dobrał.

- Antonina, dramatyzujesz... Prawda, Bizon? - Szabla wreszcie trochę się przestraszyła.

- No wiesz... Z rosyjską mafią wolałbym nie zadzierać...

- No a jakie mamy szanse, że pójdzie dobrze?

- A co ja jestem, wyrocznia? Jeżeli mi je do bagażu wpakujecie, to żadne, bo się będę tak denerwować, że

mnie na pewno przetrzepią.

- No ja też... - przyznała Szabla.

- No to, Bizon, w tobie nadzieja - stwierdziła Antonina.

- Wiesz, mogę pościemniać, ale przemyt najlepiej wychodzi, gdy się naprawdę nie wie, że się robi coś nielegalnego. Wiem, bo... Właśnie Leto mnie tak kiedyś wkręcił, sam nie wiedziałem, że coś dla niego przewożę. Potem się zorientowałem i urządziłem mu awanturę, ale nieświadomy niczego przeszedłem wszystkie odprawy bez problemu...

- Sugerujesz coś?

- Nie, no przecież nie będziemy Gazeli w to wplątywać! - Szabla się oburzyła, bo przyjaciółka rozbudzała w niej instynkt opiekuńczy.

- Myślę, że to jedyna szansa na przewiezienie jajca. Oczywiście zapewniam, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak i Gazela będzie mieć kłopoty, to natychmiast przyznaję się do podrzucenia jej śmierdzącego jajca i biorę całą winę na siebie - lojalnie zaoferował się Bizon. - Przejdzie to, Antonina?

- No dla Gazeli pewnie przejdzie, potrzymają ją, przesłuchają i tyle, nic nie wie, to nic nie powie. Jakby ją chcieli zatrzymać, to się prawnika wynajmie, to Hiszpania w końcu, a nie kraj Trzeciego Świata. Ale z tobą będzie gorzej. Przemyt, podrzucenie, no i już nie wypali ściema o tym, że nie znałeś wartości jajca. Kicha. Dodatkowo wymuszają zeznania, skąd masz jajko, i nikt nie

uwierzy, że znalazłeś je na plaży albo że kormoran zniósł je prosto pod twoje nogi.

- No, dupa trochę... Czyli Szabla będzie mnie odwiedzać w hiszpańskim więzieniu.

- A to niekoniecznie, pewnie oddadzą cię w ręce polskiej władzy, ale się nie ciesz, warunki podobne. W dodatku zostaje widmo przemiłego, rosyjskiego mafiosa. Może w więzieniu masz szansę uniknąć linczu.

- Rewelacyjne rozważania jak na wakacje, co nie? - Bizon próbował zachować dobry humor, wpatrując się przez okno balkonowe w wielkie, zachodzące słońce koloru dojrzałej, soczystej pomarańczy wiszące tuż nad granatowym już oceanem.

- No, niezłe kukułcze jajo ci kumpel podrzucił, nie ma co...

Rozdział 42

Kudłata dostała zaproszenie.

Zaproszenie było nie byle jakie, w sumie aż nią wstrząsnęło i wyrwało z letargu ostatnich dni. A co robi kobieta zarówno wstrząśnięta, jak i zmieszana, której brakuje męskiego ramienia do wtulenia się?

- Bazyliu? - Kudłata wyszeptała do słuchawki telefonu.

- Witam panią... Głos jakby znajomy, ale nie mogę poznać.

- No, ej, Baza, przecież tylko kilka dni byłam zajęta...

- Kilka dni?! Ostatnio rozmawialiśmy kilkanaście dni temu!

- No dobra, dobra, wiem, kajak się!

- No, to co tam u ciebie?

- Pamiętasz, jak byliśmy w takim miejscu zabaw, wiesz, z piłkami dla dzieci?

- Kochana, ja jestem w dzidzioraju kilka razy w tygodniu. To jest wybawienie rodzica i jedyna okazja na względnie spokojne wypicie kawy!

- Gdzieś koło stycznia byliśmy tam z Obolałym...

- Nie wiedziałam, że twojego dziecienniałego byłego też tam prowadziłaś.

- Oj, raz byliśmy, z wami. No i on teraz wysłał mi zaproszenie...

- O, to ciekawe. Ten idiota?

- Baza, on nie był idiotą, tylko... No dziecinny był i nieżyciowy trochę. Jak to artysta...

- Ha, ha, ha! Chyba żartujesz? Jaki tam artysta! Dzieciak, nie artysta, i idiota! Na plac zabaw za to nadawał się idealnie, pasował najlepiej do klaunów!

- No dobra, dobra, zachował się... głupio... Ale wysłał mi zaproszenie i list, właściwie notkę taką, że wydaje się, że zależy mu, żebym przyszła...

- Jak zwykle tak natworzył, że nie wiadomo, o co chodzi, tak? I nie wiadomo, czy cię docenia, czy obraża?

- No właśnie, nie wiadomo... Chyba docenia, trochę obrażając... No w każdym razie robi wystawę pod tytułem *Kula życia - życie kuli. Ekspresyjność wielowymiarowa*. I zdaje się, że zainspirował się właśnie tym wypadem do dzidzioraju. On coś wtedy bredził o jakimś projekcie i międzynarodowej karierze, ale miał tyle tych pomysłów, że ja go wcale nie słuchałam. No i zaprasza mnie. Z osobą towarzyszącą.

- No pięknie, ale beczelny to on jest, tupeciarz jeden.

- Wiesz, on takie odczucia pojmuje w inny sposób...

- Sposób-srosób, świniak i tyle! I idiota!

- Jeny, Baza, nie da się z tobą pogadać, ociekasz jadem.

- Skrzywdził cię i zostawił, i zachował jak idiota, to za co mam go lubić? Kudłata, przecież to nawet miesiąc temu nie było, a ty już go bronisz! Zakazuję litowania się nad tym świniakiem!

- No ale teraz napisał, że odwoła wystawę, jeśli jego „kulista inspiracja” się na niej nie pojawi, nigdy jeszcze nie byłam „kulistą inspiracją”.

- Nie brzmi najlepiej... Coś jeszcze tam nabazgrał?

- Napisał jeszcze, że wie, że tego nie obejmuję swoim ścisłym umysłem, ale w jego duszy drzemią wulkany pragnień... I coś tam o oceanach wspomnień, i sile tworzenia, i jakieś tam jeszcze takie, no, że chce mnie zobaczyć na tej wystawie, i mi podziękować publicznie za bycie jego muzą... Wiesz, w muzeum będzie ta wystawa, duży prestiż i w ogóle... Już za trzy tygodnie... I że jako pierwsza dostałam zaproszenie...

- Z osobą towarzyszącą, mówisz?

- No... Pójdiesz ze mną, co?

- W żadnym wypadku!

- Co?

- A to! Jeśli w ogóle chcesz tam iść, to masz iść z najprzystojniejszym, najlepiej ubranym, najbardziej elokwentnym, błyskotliwym i oczywiście zapatrzonym w ciebie mężczyzną!

- Ha, ha, ha! To chyba tylko Cystofiks wchodzi w grę.

- Ja ci dam Cystofiksa! Boski-Męski i to w smokingu albo nie idziesz.

- No jasne, on się mną wcale nie interesuje...

- Jeszcze zobaczymy! - Bazylia powiedziała to takim groźnym tonem, że Kudłata aż się przestraszyła.

Bazylia generalnie należała do osób nie lubiących niedomówień, szczególnie w kontaktach damsko-męskich, i dlatego też tak ją irytowały perypetie Kudłatej. Twierdziła, w dodatku całkiem słusznie, że jeśli facet czegoś naprawdę chciał, to to zdobywał w sposób jawny, oczywisty i otwarty. Wykładał kawę na łąwę, i już.

Według konceptu Bazylii wszelkie niedomówienia, niepewności, strach przed związkiem, zaangażowaniem, zranieniem wynikały po prostu z tego, że baba się facetowi nie do końca podobała albo ten zakładał, że może trafi się jeszcze fajniejsza dziewczyna, ale tę obecną trzymał w odwodzie, jakby się jednak fajniejsza nie trafiła. Oczywiście nie mówił jej tego wprost, tylko bąkał raz po raz ze smutną miną o jakimś strachu, a baba już sobie dorabiała teorię, że on na pewno się zmieni, będzie wspaniały, doskonały i taki uczuciowy, tylko potrzebuje czasu *vel* czułości, *vel* miłości i oczywiście codziennie dobrego obiadu na stole, i radosnej kobiety na deser, a nie straszenia zobowiązaniami. Jakoś tak dziwnie

często się zdarzało, że gdy facet kończył związek z tą wyrozumiałą, wspaniałomyślną, dbającą o niego babą, to nagle pojawiała się inna, z którą po miesiącu brał ślub, a po kolejnych kilku (czasem nawet nie kilkunastu) pojawiał się na świecie piękny osesek, którego tatuś z dumą prezentował wszystkim znajomym. I co? Gdzie zniknął strach przed zaangażowaniem?

Porzucona kobieta oczywiście sobie przypisywała winę za rozpad związku, ponieważ nie wytrzymała i po dziesięciu latach – zmęczona codziennym przewożeniem ciuchów ze swojego mieszkania do jego – upomniała się o klucz. A wtedy trach! Facet przestraszył się na amen i uciekł, a mogła jeszcze wytrzymać ten miesiąc, głupia, bo akurat w następnym mu się zupełnie odmieniło, tyle że już z zupełnie inną babą, bo poprzednia *to zła kobieta była*.

Bazylija przejrzała tę grę dziadów już dawno i za swoją misję (zresztą jedną z wielu) uważała chronić kobiety przed byciem tą w odwodzie. Całkiem słusznie uważała, że związek z niezdecydowanym facetem to strata czasu i dla jednej, i dla drugiej strony. Oboje tkwili w zawieszeniu, a mogliby w tym czasie znaleźć swoją prawdziwą drugą połówkę.

Poglądy Bazylii i chęć odseparowania Kudłatej od Obolałego, którego szczerze nie lubiła, sprawiły, że postanowiła bezzwłocznie skontaktować się z Boskim-Męskim.

Rozdział 43

- Ja do inspektora Milewskiego! - Bazylia próbowała przekrzyknąć harmider, jaki panował w komisariacie.

- Oj, to musi się szanowna pani w kolejce ustawić, jest dzisiaj obleżony przez kobiety - odpowiedział młody policjant zza blatu biurka.

- No ładnie, ja mu dam obleżenie. Nie mam czasu czekać, jestem z małym dzieckiem - wskazała swoją najmniejszą pociechę wyciągającą chwytnie rączki w kierunku stosu papierów na biurku policjanta.

- A w jakiej sprawie, jeśli można wiedzieć?

- W niecierpiącej zwłoki i prywatnej.

- Dobrze, już anonsuję, a nazwisko szanownej pani?

- Bazylia, będzie wiedział, o kogo chodzi.

- Bam, bam! Hi, hi, hi! - maluch wyrażał właśnie niezmierne zadowolenie z powodu osiągnięcia sukcesu w zrzucaniu dokumentów z biurka funkcjonariusza.

- Oj... - powiedział ze zmartwioną miną policjant.

- Nie oj, tylko może się pan pospieszy, bo mały wam tu komisariat zdemoluje.

- Tak, tak, już, proszę pani.

Bazylią usiadła sobie spokojnie na ławeczce obok niekompletnie ubranej pani i zajęła się lekturą plakatów policyjnych wiszących na ścianie, a najmłodsza pociecha oddała się niezmiernie kreatywnemu zajęciu zrywania owych afiszy. Efekt był taki, że gdy przyszedł inspektor Milewski, połowa plakatów była przeczytana, a połowa zdarta. Utworzyła się za to nowa jakość w sztuce sloganów. Z haseł „Uważaj na kieszonkowców”, „Służba policji dumą narodu” i „Rozmiar przestępstw stale rośnie” synek Bazylii skomponował hasło „Uważaj na policji rozmiar stale rośnie”. Dwie kolejne sentencje wywoływały równie komiczne skojarzenia: „Dane statystyczne dumą narodu” i „Pilnuj swojej prostytutki”. Nawet niekompletnie ubrana pani uśmiechnęła się do malca.

Bazylią z dumą przedstawiła inspektorowi swoją szczególnie uzdolnioną manualnie latorośl i podreptała za Milewskim do gabinetu.

- Ja nie będę przez ogródki, bo ich nie lubię, zawsze na nich rosną jakieś chwasty, a i dziury się robią i można wpaść w jakąś, i się całkiem pogubić. Wolę pola, bo są proste i łatwe w obsłudze - zaczęła twardo Bazylią. - No więc pytam, co z Kudłatą?

- Jak to co?

- No i już się pogubił! Chcesz jej czy nie? I bez ogródek mi tu odpowiadaj, to jest przesłuchanie!

Na Bazylię ewidentnie bojowo działała atmosfera komisariatu. Milewski nie pamiętał, kiedy ktoś w tym miejscu mówił do niego w taki sposób. Chyba nikt nigdy się nie odważył, a tu niewielka, okrągła kobietka tak śmiało sobie poczynała. Aż trudno było mu się nie uśmiechnąć.

- Tak jest, pani prokurator! - odpowiedział.

- Aha, no, czyli chcesz, to pierwsza dobra odpowiedź. Uniknąłeś wykładu na temat niezdecydowania mężczyzn. Ciesz się, bo jest długi i przygnębiający. A teraz pytanie drugie. To dlaczego tak siedzisz jak kura na grzędzie, grzebiesz, grzebiesz, a jaj z tego nie ma?

Inspektor nie potrafił już zachować powagi ani ciut i roześmiał się serdecznie.

- Ano taka grzęda mi się trafiła.

- Oj, oj! Zła odpowiedź, bo ci zaraz przysadzę wykład o grzędach, a też nie polecam, bo skończyłam rolnictwo i niestety wiem coś niecoś na ten temat.

- Też długi i przygnębiający?

- Jeszcze bardziej, w dodatku dosadny i wyciskający łzy, a inspektorowi na służbie ryczeć nie wypada.

- To zrobię wszystko, by go uniknąć.

- To się tłumacz, co tak nic nie działasz, no? Przecież Kudłata to baba jest, a baba jak wiadomo jest złożona w dziewięćdziesięciu procentach z wody i w pozostałych dziesięciu z uczuć. Ostrzegam, że przepełnienie może doprowadzić do katastrofy!

- Oj, wiem, wiem, Bazylia - zasępił się Boski-Męski. - Tylko zrozum, ja tu mam śledztwo, a Kudłata na razie jeszcze nie zeszła z listy podejrzanych, nie mogą nas wiązać stosunki, żadne.

- Od razu o stosunkach, dziad typowy. No przecież chyba nie podejrzewasz, że jest winna? A w ogóle tyle czasu minęło i jeszcze nie złapaliście mordercy?

- Co ja podejrzewam, to jedno, a jaki jest oficjalny status, to inna rzecz. A morderców złapaliśmy, już nawet trzech.

- I co, jeszcze wam nie dosyć? Jeden trup, trzech morderców, a wy się Kudłatej czepiacie?

- Oj, bo to wszystko zakręcone jest...

- No dawaj, dawaj, i tak już powiedziałaś, a jak zakręcone dla faceta, to tylko baba zrozumieć może.

- Dobra. I tak napiszą o tym jutro gazety. Musieliśmy wreszcie coś rzucić prasie, bo już cuda na kiju wypisywali. Widzisz, pierwsze dwie niedoszłe morderczynie mamy. Przyznały się do winy, w sumie mogliśmy je zgarnąć wcześniej, bo mieliśmy narzędzie zabroni zabrane z domu jednej z nich, ale jak trochę pochodziły z wyrzutami sumienia, to zmiękły, same przyszły zeznawać. Niestety nie doprowadziły nas do kolejnego przestępcy.

- One?

- A tak, obie były żony Diunskiego. Trzasnęły go żelazkiem w łeb prawdopodobnie w afekcie. Facet naobiecował im złote jaja, potem się z nimi porozwodził.

Ale baby jak to baby. Analizują i plotkują, i tak się obie zgadały, że im Diunski obiecywał to samo. Zdaje się, że im podał domniemaną lokalizację skarbu. Kobiety nieco się rozwścieczyły, bo go nie mogły znaleźć. No i zaprosiły byłego męża do jednej z nich, bo chciały się z nim rozmówić ostatecznie, i tak nie do końca ostatecznie im to wyszło. Myślały, że niechcący go ukatrupiły, i zdecydowały, że go wsadzą do autobusu. Będzie wyglądał jak śpiący pasażer i tym sposobem nikt ich z wypadkiem Diunskiego nie powiąże, bo linia jechała akurat w kierunku jego mieszkania. Pomysł średni, tym bardziej, że narzędzie zbrodni zachowały w domu, bo kto by dobre żelazko wyrzucał.

- Ha, ha! Ekonomiczność kobieca wykracza poza męską logikę - zaśmiała się Bazylia.

- To fakt. W każdym razie przysoliły mu zdrowo, ale nie na tyle, żeby go wykończyć. I tu w historii pojawia się luka. Nie wiemy, co się działo z Diunskim aż do postrzału w głowę. Już nieżywy siedział sobie na ławce w parku Kudłatej. Tam dopadli go przyszła-niedoszła i jej pseudomafijny absztyfikant. Wiem, że to brzmi bezsensownie, ale gdybyś ich zobaczyła na przesłuchaniu, to byś wszystko zrozumiała i nawet ten pośmiertny strzał w czoło Diunskiego nabrałyby większego sensu. Generalnie próbowali wymusić od faceta zeznania dotyczące położenia jakiegoś skarbu, który podobno gdzieś ukrył, a skoro nie dało się po dobroci, a przyszła-niedoszła przecież próbowała, to postanowili zagrozić mu bronią. Okazja trafiła się idealna. W parku było pusto jak rzadko. Z wymachiwania

pistoletem wyniknął strzał. Chyba mafijny absztyfikant nie wytrzymał presji i z przyzwyczajenia strzelił milczącemu bogaczowi w głowę. Oczywiście oboje byli przekonani, że to oni właśnie ukatrupili Diunskiego. Fakt faktem, nawet go nie dobili, bo od około dwóch godzin facet już nie żył. Z dziury w głowie nie poleciała krew, dlatego Kudłata początkowo nie zauważyła rany. Za to swoją ewidentnie bezcelową reanimacją zdeptała sporo śladów, oblepiła własnymi odciskami miejsce zbrodni i samego denata.

- Hmm... No tak, ale przecież on już był dawno nieżywy.

- No był, to znaczy nie żył był, ale mamy lukę między pierwszą próbą zabójstwa a trzecią. Wtedy właśnie faktycznie popełniono morderstwo. A Kudłata nie ma wyraźnego alibi, no i te jej odciski, które są wszędzie, sprawiają, że nie mogę jej całkowicie wyłączyć ze śledztwa.

Inspektor nie dodał tylko, że istnieje jeszcze jeden powód. Mimo zamknięcia większości blisko związanych z mafią przyjaciół przyszłej-niedoszłej, cały czas wołał mieć policyjną ochronę dla Kudłatej, a mógł ją uzyskać, pozostawiając dziewczynę w kręgu ściśle podejrzanych. Przemilczał ten fakt, bo nie chciał Bazylia martwić.

- No tak... Powód masz wytłumaczalny, przynajmniej nietuzinkowy, bo takiej skomplikowanej wymówki jeszcze nie słyszałam - uśmiechnęła się Bazylia.

- Niestety - przyznał smutno Milewski. - Za to solennie obiecuję, że jak tylko się z tym wszystkim

uporam, to natychmiast wyskoczę ze swojej grzędy i nie będziesz mnie już mogła posądzać o brak jaj!

- Ha, ha, ha! No dobra, trzymam za słowo, przekonałeś mnie. Ale miałabym do ciebie jedną prośbę...

Rozdział 44

W przeddzień wyjazdu Gazela wcale nie pojawiła się w pokoju. Przywlekła się dopiero rano, godzinę przed odlotem, nieco skacowana i bardzo wczorajsza.

- Gazela, co się stało?! Musimy już wychodzić, za godzinę lecimy! Gdzieś ty była? - piekliła się Antonina.

- Świątowałam ostatni dzień na wyspie, mój barman okazał się doskonały w fiestowaniu, wyluzuj trochę, zaraz się spakuję... - zauważywszy gotowe walizki, Gazela rzuciła lekkim tonem: - O, spakowałaś mnie? No i dobrze, idę pod prysznic i jedziemy - i powlekła się noga za nogą, ziewając przy tym niemiłosiernie.

Gdy Gazela w końcu wyczołgała się spod prysznic, wsunęła tunikę Antoniny, bo sama nie miała już czystych ciuchów i zasiadła w samochodzie. Zasnęła natychmiast snem sprawiedliwego, więc bez sensu było tłumaczenie jej, że ma coś dodatkowego w bagażu. Bizon pędził dżipem jak szalony, bo musieli jeszcze oddać auto do wypożyczalni i zdążyć na odprawę.

- Zdążymy - mamrotał pod nosem. - Odloty są zwykle trochę opóźnione.

Pech (albo i nie pech) chciał, że tym razem samolot startował punktualnie. W momencie wejścia do budynku lotniska słyszeli już swoje nazwiska wymieniane jako spóźnionych pasażerów proszonych na pokład samolotu. Na szczęście nie błędzili, bo Bizon wiedział, dokąd mają się udać, jaką bramką przejść, którym przejściem, a kobiety pędziły za nim jak opętane. Po tak szalonym biegu i ekspresowej odprawie weszli wreszcie na pokład samolotu witani złowrogimi spojrzeniami pozostałych pasażerów. Tak to zwykle bywa, że temu, który się nie spieszy, nagle zaczyna zależeć na czasie, gdy spóźnia się ktoś inny. Nieważne, że samolot miał lecieć prawie pięć godzin, te trzy minuty czekania na spóźnionych pasażerów były najważniejsze.

Wreszcie przyjaciele usadowili się na fotelach, ale daleko od siebie, bo z racji spóźnienia nie mogli wybierać miejsc, i wszyscy zapadli w postresowy, kamienny sen. Nie obudziły ich ani jęki nadmiernie opalonych dam, ani śpiewy nadmiernie rozbawionych panów. Bizon i Szabla oprzytomnieli na pół godzinki przed lądowaniem, Antonina nadal trwała w letargu, a Gazela chrapała najgłośniej w całym samolocie. Szabla dołączyła do Bizona i usiadła na chwilowo wolnym miejscu tuż za nim.

- I co, myślisz, że już się udało?

- Nie wiem, jeszcze czeka nas przejście do wyjścia, ale zwykle to już formalność. No chyba że nas przejrzeliby i czekają, żeby zwinąć tego, kto odbierze bagaż.

- Hmm... - Szabla nie była pocieszona, mimo snu była zmęczona, zdenerwowana i źle się czuła. Martwiła się, że wszystko pójdzie nie tak. W sumie to przez nią i jej widzimi się Gazela i Bizon mogli zostać aresztowani, dopiero teraz do niej docierało, jaka była nieodpowiedzialna. Ale teraz już nie było wyjścia, zabrnęli za daleko, nie można było się wycofać. Tak rozmyślając, Szabla zapadła jeszcze w półgodzinną drzemkę i obudziła się, gdy samolot siadał na płycie lotniska. Gazela ziewała i przecierała oczy, a Antonina i Bizon siedzieli jak na szpilkach. Kiedy tylko pozwolono wysiadać z samolotu, Bizon szybkim, małpim ruchem doskoczył do Gazeli i poganiając ją, pędził w kierunku wyjścia. Załoga pożegnała się z miłym uśmiechem, pasażerowie przeszli przez węzowy rękaw prowadzący do hali odbioru bagażu. Tam chwilę odczekali i Bizon wyłapał z ruchomej taśmy ich walizki. Niezatrzymywani przeszli przez wszystkie bramki, labirynt utworzony z taśmy i wyszli na zewnątrz lotniska. Chłodne polskie powietrze uderzyło ich w twarze. Chyba nigdy taki niezbyt przyjemny powiew ich tak bardzo nie ucieszył. Udało się!

- No, co tak stoicie? Zimno jak piorun, taksa i do chaty jedziemy, no już! - przywołała ich do porządku Gazela.

Uśmiechnęli się do siebie, będzie mogła na nich nawrzeszczyć, gdy jej w domu wszystko wytłumaczą.

Rozdział 45

Przyjaciółki planowały spotkanie. Tak się jednak dziwnie złożyło, że nie zrealizowały tego zamiaru przez dwa tygodnie.

Szabla chyba z powodu stresu związanego z przemyceniem jaja Fabergé do Polski rozchorowała się i leżała z gorączką w łóżku, nie pojmując, co się wokoło niej dzieje. Bizon biegał między biurem podróży, w którym oczywiście nadrabiał masę różnych zaległości, a Szablą, której wciskał tysiąc zapisanych przez Kudłatą leków.

Antoninę też dopadł szal nadganiań opóźnienia w pracy, ale zadziwiająco się tym nie denerwowała. Robiła tylko to, co było konieczne, ponieważ chciała porządnie zamknąć pozaczynane sprawy. Skupiła się na zbieraniu funduszy, spieniężając wszelkie swoje wartościowe rzeczy. Spokojnie szykowała się do złożenia wypowiedzenia. Na przygotowania do tej zmiany dawała sobie jakieś pół roku.

Kudłata trwała dzielnie na piątym dyżurze w ciągu ośmiu dni, noc zlewała jej się z dniem i przegapiła, że minęła data powrotu przyjaciółek z Wysp Kanaryjskich.

U Bazylia natomiast panowała epidemia ospy, którą czterolatek przytargał z przedszkola. Na szczęście nowe wykwity na skórze chłopca pojawiały się tylko przez cztery dni. Starszak zaraził obu młodszych chłopców i tatę, który, jak się okazało, ospy nie przechodził w dzieciństwie. Od świtu do nocy Bazylia aplikowała tony leków wszystkim pacjentom, smarowała miliony swędzących kropek i kąpała w przeróżnych kolorowych roztworach. Dodatkowo starała się utrzymać wszystkich więźniów w domu, co nie było łatwe, bo każdy z nich próbował zbiec we właściwym dla siebie stylu. Mąż wymykał się ukradkiem choćby do ogródka, starszak próbował negocjacji, a gdy to nie dawało rezultatu, trenował zastraszenie za pomocą płaczu i krzyku, najmłodszy po prostu raczkował wszędzie tam, gdzie widział niedomknięte drzwi. Największe sukcesy w dezercji osiągał najmłodszy. Raz dotarł do końca ogródka. Zbieg właśnie kontemplował zamkniętą furtkę, kiedy przyłapała go Bazylia.

Opieka nad trojgiem chorych dzieci to był drobiazg w porównaniu z doglądaniem męża. Prawda była taka, że chory mężczyzna jest jak supermen bez mocy. Bazylia nie była tak silna jak facet, często miewała jakieś kobiece dolegliwości, ale przyzwyczała się do funkcjonowania w stanie niepełnej sprawności i nawet wtedy dobrze sobie radziła z obowiązkami. Mąż Bazylia działał na zupełnie innych zasadach: na co dzień był supermenem,

a pozbawiony mocy przez chorobę zmieniał się we flak kompletny, powietrze z niego uchodziło i niezdolny był nawet ruszyć ręką, choć akurat na niej nie miał żadnej ospowej kropki. Mądra Bazylia zaznajomiona z tym męskim zachowaniem wiedziała, że w czasie choroby trzeba dużego mężczyznę potraktować dokładnie tak jak małych mężczyzn, czyli okazać czułość, miłość i opiekuńczość. W nagrodę supermen magicznym sposobem w krótkim czasie powracał do mocy, tudzież moc do supermena.

Przez tydzień Bazylia funkcjonowała w przedziwnym ospowym świecie, doglądając wszystkich swoich szczęść najlepiej jak mogła, i chroniąc ich przed dodatkowymi kłopotami.

Dopiero po dwóch tygodniach od powrotu z Wysp Kanaryjskich udało się dziewczynom spotkać. Nie było to spotkanie ani umówione, ani zaplanowane, a wiadomo, że takie najlepiej wychodzą. Kudłata miała pierwszy wolny weekend od ho, ho i trochę, Szabla skończyła wcześniej jazdy, Antonina uznała, że praca nie zajac, nie ucieknie jej z biurka (niestety...), a Bazylia próbowała opanować trójkę rozpieszczonych przez dwa tygodnie choroby, niewybieganych zbójów. Ostatecznie spotkały się w jedynym możliwym miejscu - nie, oczywiście że nie w kawiarni, bo nastrój dzieciaków groziłby rozniesieniem jej w pył - na osiedlowym placu zabaw koło domu Bazylia. Antonina przyniosła ze sobą kawę w termosie, a Kudłata pyszny placek z cukierni pod jej blokiem.

Młodym mamom zarzuca się często, że trudno się z nimi umówić, porozmawiać, że potrafią tylko z innymi

mamami siedzieć w piaskownicy, a to nie tak. One często bardzo chętnie się spotkają, żeby pogadać o czymś innym niż zupki i kupki, tyle że czasem trzeba im nieco pomóc w organizacji lub odrobinę się do nich dopasować.

Bazylia rzadko myślała o sobie, przede wszystkim dbała o wygodę i dobro swoich pociech. Dlatego nie wyobrażała sobie spotkania z koleżankami w kawiarni niedostosowanej do potrzeb dzieci. Maluchy znudziłyby się po pięciu minutach i zaczęłyby indagować mamę lub rozkładać kawiarnię na czynniki pierwsze w celu znalezienia czegoś do pobawienia się, choćby kawałka rury izolacyjnej z łazienki czy frędzli z zasłonki. Bazylia знаła możliwości destrukcyjne swoich dzieci, dlatego nie chciała właścicielce lokalu dokładać zmartwień w postaci urwanej rury czy pogryzionych frędzli. Miała też na względzie spokój wszystkich klientów kawiarni oraz dobro koleżanek, z którymi w takiej atmosferze i tak by nie porozmawiała. W najlepszym wypadku musiałyby po prostu pójść z maluchami do domu. Byłaby smutna, zła na siebie i dzieci. Gorszy scenariusz zakładał uszkodzenie ciała lub/i płacz któregoś z dzieci oraz awanturę. A wtedy dramatyczną sytuację mógł uratować tylko absurdalny cytat z *Lejdis: Dziecko, weź milcz, jak do mnie mówisz*. Niestety, te słowa na dwulatka nie działały.

Awantury i płacze dziecięce zdarzały się często w życiu Bazylii. Zupełnie nie zależały one od warunków lokalowych, atmosferycznych, osobowych. Mechanizmem spustowym zatargów były nuda i nagromadzenie łatwo zniszczalnych rzeczy na ograniczonej przestrzeni. Bazylia zawsze odczuwała stres współmierny do ilości beczących

maluchów. Najgorzej jednak przeżywała publiczne awantury. Napięcie dodatkowo wzmagala reakcja otoczenia. Ludzie zwykle spoglądali z niechęcią na Bazylię, oceniając ją jako tę, która nie umie porządnie wychować dzieci. Ze zrozumieniem patrzyły tylko inne mamy, czasem babcie lub dziadkowie, którzy mieli wnuki. Zerkali z odrobiną współczucia i ciekawością. Chcieli wiedzieć, jaki Bazyliia ma sposób na uspokojenie dzieci i czy jest skuteczny, dlatego nadstawiali uszu, a nie gapili się, bo domyślali się, że to matkę irytuje. Przecież nie tylko dzieci Bazylii się awanturowały. Prawdą jest, że maluchy tak mają i to niezależnie od tego, jak są wychowywane. Po prostu jedne pieklą się mniej, inne więcej, a powodów tego nie można zmierzyć i ocenić. Bazyliia uważała, że jeśli jakiś rodzic mówi, że jego dziecko nigdy się nie awanturuje, to albo kłamie, albo nie zna swojego potomka, albo maluch jest chory i trzeba iść z nim do lekarza.

Przyjaciółki rozumiały rozterki Bazylii, dostosowały się więc do jej możliwości towarzyskich i potrzeb maluchów, dlatego wybrały plac zabaw jako idealne miejsce na spotkanie. Tam zorganizowały kawowy biwak. Aura sprzyjała i słońeczko towarzyszyło babskim pogaduchom, muskając radosne dziewczyny ciepłymi promieniami. Kawa z termosu przypominała przyjaciółkom dawne czasy, kiedy wyjeżdżały na prawdziwe biwaki do lasu czy nad jezioro, a pyszny drożdżowy placek przywodził na myśl ten pieczony w domu przez najlepszych cukierników świata – babcie.

Dzieciaki Bazy były zajęte swoimi niezmiernie ważnymi sprawami, nawet siedmiomiesięczny szkrab kontemplował zapiaszczoną łopatkę, siedząc dziarsko w piaskownicy. „Zjeść czy nie zjeść, oto jest pytanie”, zdawał się mówić mądrymi, niebieskimi oczkami, a z jego buzi wydobywało się wdzięczne „gu gu gu”.

- No co ty, i nic nie mówiłyście?! Wkręcacie nas, tak? Gdzie niby macie to jajco? - Bazylia i Kudłata z wypiekami na twarzy wysłuchały niesamowitej opowieści koleżanek i nijak nie mogły w nią uwierzyć. Pokrzykiwania Bazylia przyciągały wzrok innych mam na szczęście ulokowanych po drugiej stronie placu zabaw.

- Mam je w domu, w lodówce trzymam - odpowiedziała dumnie Szabla.

- No przecież ci się nie zepsuje, Szabla!

- A czy ja wiem, jak się je powinno przechowywać? Przeczytałam, że stare obrazy trzyma się w warunkach umiarkowanej hipotermii, no to do lodówki wsadziłam, w końcu to jest dzieło sztuki. Ach, jest takie piękne, że się nie chce go oddawać!

- No, no - wtrąciła Antonina. - Plan był taki, że praworządnie oddajemy.

- No tak, wiem... Ale musisz jeszcze do tej naszej praworządności jakąś prawnie logiczną historyjkę stworzyć, bo kiedy muzeum dostanie jajko, to na pewno o kurnik zapyta.

- To fakt, kurczę, ten sam dylemat, co w Hiszpanii. Najlepiej by było podrzucić...

- Ale to Polska jest, zanim podrzucisz, to już ci świsną. Poza tym napracowaliśmy się i nastresowaliśmy, żeby je tutaj przywieźć, to tak bez pompy mamy je oddać? - zmartwiła się Szabla.

- Myśl, kobieto, sława to ci bokiem wyjdzie, gdy z powodu jaja wylądujesz na torturach u jakiegoś rosyjskiego mafiosa! Ja już się dosyć stresu najadłam i, szczerze mówiąc, już mi to jajco bokiem wychodzi, chciałabym się go pozbyć i tyle, po cichu. Dlatego oddajemy do muzeum i to anonimowo, bo inaczej trafimy na policję i będziemy się tłumaczyć, skąd jajo mamy. Ta sama bajka co w Hiszpanii, a z polskich komisariatów łatwiej informacje mogą wypłynąć do sąsiadów za granicą - odfuknęła Antonina.

- No ale jak chcesz je podzucić anonimowo? - zapytała Bazylija.

- Właśnie nie wiem... Najlepiej byłoby już nikogo więcej nie mieszać w sprawę, ale wolałabym też, żeby nikt z nas jajka nie odnosił do muzeum... Nie wiem...

- A nie można zostać anonimowym darczyńcą?

- Można, ale anonimowym dla gazet i ludzi, ale nie anonimowym dla policji, jeżeli wchodzi w grę popełnienie przestępstwa...

- Matko, znów straszysz, Antonina, a taki piękny dziś dzień...

Kudłata uśmiechnęła się do słońca. Dawno go nie widziała. Zwykle w dzień i w nocy otaczało ją takie samo światło pochodzące z mrugających jarzeniówek izby

przyjęć i usypiającego ekranu komputera. Czasem miała tyle pracy, że zapominała, która jest godzina, rytm dnia wyznaczały jej wyniki zlecanych badań. O porankach informowały Kudłata panie pielęgniarki proszące o wyznaczenie przed śniadaniem dawek insuliny dla pacjentów. To znaczyło, że lekarka miała zrobić obchód oddziału. Kudłata żyła swoimi pacjentami. Nawet teraz gdy miała dwa dni wolne, nie potrafiła o nich nie myśleć, kusiło ją, żeby zadzwonić do dyżurującego lekarza i zapytać, jak się czuje pani X czy pan Y ma nadal duszności, czy jest już wynik tomografii pani Z. „Nie wolno, nie wolno tak myśleć. Dzisiaj liczy się tylko słoneczny dzień, muszę odpocząć, muszę”, ganiła się Kudłata i zachwycona słuchała gaworzenia malucha Bazylia. Beztroskie, dziecięce „gu gu gu” wydawało się jej najpiękniejszym dźwiękiem na świecie. Mogło się wydawać, że Kudłata była nawiedzona albo czuła wszechogarniający instynkt macierzyński. Było jednak inaczej, dziewczyna padła ofiarą czegoś, co Bazylia żartobliwie nazywała zjawiskiem euforii podyżurowej. Kudłata długo przebywała w atmosferze bardzo obciążającej psychicznie i fizycznie, widywała codziennie wielu ciężko chorych ludzi i nie każdemu mogła pomóc. Ze szpitala wychodziła przybita i dlatego każdy przejaw normalnego, beztroskiego życia wydawał się cudem, czuła się tak, jakby spomiędzy ciężkich, gradowych chmur przebijał się promyk słońca.

Kudłata od dłuższego czasu nie śledziła rozmowy dziewczyn, bo przysłuchiwała się z rozczuleniem

wdzięcznemu „gu gu gu”. Z letargu wyrwał ją podniesiony głos Szabli.

- Kudłata! Załatwione czy nie?

- Yyyy, tak?

- No to super! Ja też uważam, że to najlepsze rozwiązanie. Tam będzie dużo ludzi, nikt nie zauważy. Tylko Kudłatą trzeba trochę przeszkolić...

- Yyyy, tak?

- No tak, tak, ale to Bizonowi zostawimy. A, Antonina, co tam u twojego Księcia z Jachtu? - zmieniła temat Szabla, pozostawiając Kudłatą w oszołomieniu. Temat okazał się tak interesujący, że wciągnął dziewczyny całkowicie. Zanim wszystkie kanaryjskie przygody Antoniny zostały opowiedziane, piękny dzień zamienił się w deszczowe popołudnie i warunki atmosferyczne zmusiły przyjaciółki do zakończenia niezwykle owocnego spotkania towarzyskiego.

Rozdział 46

Przygotowania do spotkania z byłym szły Kudłatej całkiem nieźle, udało jej się wygospodarować czas na otwarcie wystawy i nawet na mianikiur u kosmetyczki. Zadzwoił też Boski-Męski i zaoferował siebie jako doskonałą osobę towarzyszącą. Oczywiście Kudłata wiedziała, że zrobił to pod presją Bazylii, ale chętnie przystała na jego propozycję, bo była przerażona perspektywą samotnego udania się na wystawę.

Dobrze szło do czasu. Dwa dni przed imprezą manikiurzystka się rozchorowała, a Boski-Męski zadzwonił, że będzie zmuszony pracować akurat w ten weekend. W związku z tym Kudłata zadzwoniła do Bazylii, aby się pożalić. Przyjaciółka obiecała krwawą zemstę na zapracowanym inspektorze i zaoferowała, że sama potowarzyszy Kudłatej. Robiła to z ciężkim sercem, bo jako młoda mama miała wieczorami obowiązki. Bazylii myślała, że przyda jej się nieco ukulturalnić i dobrze jej zrobi wyjście do ludzi, ale czuła też wyrzuty sumienia wobec dzieci i męża, że będzie nieobecna w tak zwanym czasie priorytetowym.

Wielodzietna Bazylkowa rodzina miała swój czas priorytetowy na przykład w porze wieczornej. Jednej osobie trudno było sobie poradzić (oczywiście wszystko jest możliwe, nawet kiedy przypomina ostrą jazdę bez trzymanki) z kąpielą trzech zbójów w różnym wieku. Z kolei dwójce rodziców to zadanie szło jak w zegarku: ja nalewam wodę, ty rozbierasz bobasa, ty kąpiesz, ja robię kaszkę, ja wynoszę, ty przebierasz, ja nalewam wodę do wanny dla starszaków, ty karmisz małego, ja zgarniam do kąpieli dużych, ty usypiasz małego, ja kąpię dużych, ty robisz dla nich kolację, ja wycieram, ty ubierasz ich w piżamki, ja daję soczki, zagarniam do łóžeczek, ty czytasz bajeczki i tak dalej, i tak dalej. Oczywiście zdarzały się zmiany, modyfikacje planu, ale tak czy siak doprowadzenie trzech miłujących brud, małych, ukochanych terrorystów do stanu czystości graniczyło z cudem. W tych rozgrywkach z maluchami istniały jeszcze *questy* poboczne, czyli mycie zębów, uszu i włosów. Misje zakończone sukcesem pozwalały rodzicom wejść na najwyższy *level* skomplikowanej gry strategicznej o nazwie *Toaleta wieczorna*. Dlatego właśnie Bazylka miała z mężem niepisana umowę, że poza sprawami naprawdę ważnymi starają się w godzinach priorytetowych pozostawać oboje w domu, w innych porach dnia – hulaj dusza, piekła nie ma.

Niestety wystawa Obolałego, jak większość wydarzeń kulturalnych, kolidowała ze świętym czasem kładzenia dzieci do łóžek.

- I myślisz, że będziesz się tam dobrze bawić? - zapytał mąż Bazylki.

- Szczerze? Nie sędę... I wcale nie pałam chęcią do świętowania sukcesu Obolałego, no chyba że wystawa okaże się wielka klapą, wtedy będziemy miały co oblewać.

- Powiem wprost, że wolałbym, żebyś wyszła na imprezę, o której wiesz, że będzie dla ciebie przyjemna, szczególnie jeśli już idziesz w godzinach priorytetowych, moja ty Matko Tereso.

- Oj, wiem, wiem, ale nie mogę teraz Kudłatej zostawić, szczególnie że ma misję do wykonania. Jeśli ja nie pójdę, to ona nie pójdzie i cały plan weźmie w łeb.

- Matko Jedyna, te wasze babskie misje - zaśmiał się mąż.

Jedynie co mu pozostawało, to przygotować się psychicznie na ostrą wieczorną jazdę i tyle. „Uch, nawet piwka nie będzie można wypić wieczorem”, westchnął smutno w myślach. Mąż Bazylia nie wykazywał skłonności do alkoholizmu, raczej wręcz przeciwnie - stronił od jakichkolwiek używek. Uważał natomiast, że dzieci najlepiej wychowuje się na lekkim wspomaganii. Przy odrobinie piwa we krwi do domowego kotła podchodził z większym luzem, mniej się denerwował, przejmował, spokojniej tłumaczył po raz pięćdziesiąty, dlaczego nie wolno wbijać nożyczek w kanapę albo dlaczego należy bezwzględnie założyć buciki, kiedy zimą wychodzi się z domu, albo dlaczego nie można powiedzieć o sąsiadce z przeciwka, że jest gruba, brzydka i śmierdzi, choć ewidentnie jest gruba, brzydka i śmierdzi. Mąż Bazylia żartował, iż pewna ilość alkoholu powinna być odgórnie

przydzielona każdemu rodzicowi i chętnie podpisałby się pod informującą o tym ustawą, gdyby tylko jakakolwiek partia chciała ją uchwalić. Niestety, żaden z polityków nie wpadł jeszcze na taki pomysł, dlatego potrójny tatuś odwiecznie narzekał, że nie ma na kogo głosować.

Bazyliowa rodzina miała jeszcze jedną niepisaną umowę. Jeżeli w domu z dziećmi zostawał tylko jeden rodzic, to miał zakaz spożywania jakiegokolwiek alkoholu. Dwóch rodziców mogło się umówić, który z nich relaksuje się przy piwie czy lampce wina. Ta umowa rodzinna też miała swoje uzasadnienie - przy trójce zbójów nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Niby spokojne, leniwe popołudnie, a tu nagle wylewa się soczek i jeśli pozostanie na podłodze dłużej niż pół minuty, to od razu rozjeżdżają się na nim łapy labradora oraz nóżki jednej i drugiej pociechy. A potem tragedia gotowa: jeden chłopiec uderza się w kolano, drugi w nos, nos krwawi, zabarwiając plamę z soczku na krwistą czerwień, na dźwięk płaczu dwóch maluchów przybywa trzeci, który również się rozplakuje, bo jest empatyczny; w ramach pocieszenia mniej uszkodzony starszak podaje maluchowi pieniążek (bo każdy się cieszy z pieniążka), który ten natychmiast zjada, w międzyczasie utytłany w soczku labrador wyciera się o ściany, miażdżąc przy tym kota, który również drze się w niebogłosość i drapie psa, średnia pociecha próbuje pocieszyć kota i ukoić jego ból, w związku z czym zostaje dotkliwie poraniona. W ten sposób spokojne, leniwe popołudnie kończyło się w trzy minuty, poszkodowanych było pięciu - jedno uszkodzenie chrząstki nosa, jedno połknięcie monety, jedno

podrapanie, w sumie dwa, bo pies też podrapany, i jedno zmiżdżenie kota. Poturbowanych wystarczyłoby do zapełnienia dwóch urazówek: ludzkiej i weterynaryjnej. Do opanowania takich akcji potrzebne były wybitnie trzeźwy umysł i umiejętność pospiesznego reagowania. Trzeba było w porę zdiagnozować uszkodzone towarzystwo i opatryć. Niepisane umowy miały spory sens. Jednak kiedy mąż Bazylia zostawał sam z dziećmi w sobotni wieczór, musiał trwać w gotowości bojowej.

Rozdział 47

- *Nadejszła wiekopomna chwila* - uroczyście powiedziała Szabla. - W końcu jesteśmy wśród samych swoich - podsumowała, przekazując Kudłatej jajo Fabergé pięknie obwinięte wełnianym szalikiem w polskie ludowe wzorki.

Szabla, Bizon i Bazylia zrobili nalot na Kudłatą, aby dograć szczegóły akcji podrzucenia jaja. Kudłata dopiero na dzień przed wielkim wyjściem dowiedziała się o misternie uknutym planie, w którym miała wziąć czynny udział, a właściwie grać główną rolę, i była niezmiernie niepoczyszona.

- Matko kochana... - westchnęła. - Wy na serio?

- No jasne, a co myślałaś?

- Ale, ale... Ale ja się nie zgadzam! Ja nie mogę, jestem lekarzem, to zawód zaufania publicznego, nie wolno mi i już.

- Ale Kudłata, zgodziłaś się!

- Nie byłam w pełni świadoma, na co mnie narażacie! Poza tym to nie moje zgniłe jajo, ja się w to wtrącać nie będę.

- No, ale... To co my z tym jajem teraz zrobimy... Bazylia? Bazylia, kochana nasza Bazylia! - ucieszyła się Szabla. Kudłata potrafiła być stanowcza, ale przekonanie Bazylia było dziecinnie łatwe.

- Ale ja nie umiem kłamać ani nic podrzucać...

- A to fakt - zmartwiła się Szabla. - To może ja pójdę na wystawę zamiast ciebie, w końcu ja tego piwska nawarzyłam, to je wypiję.

Bazylia już się w duchu zaczęła cieszyć...

- O nie, co to to nie! - oburzyła się Kudłata. - Bazylia jest moim wsparciem emocjonalnym na tej imprezie, nie wolno mi jej zabierać!

- Ja też mogę być wsparciem, chyba...- zastanowiła się Szabla.

- Ha, ha! No jasne, przy twoim wsparciu emocjonalnym to ja skoczę z mostu, zanim dojdę na tę imprezę, kochana. Nie ma mowy, jesteś jak słoń w składzie porcelany, jeżeli chodzi o delikatność.

- No dobra, to wracamy do punktu wyjścia. Kudłata?

- Nie! Poza tym miałam przecież iść z inspektorem na tę imprezę, co wtedy byście zrobili? Miałabym podrzucać nielegalne jajo pod okiem policji?

- No miałaś, ale nie idziesz, olał cię, co nie?

- No widzisz, właśnie o tym mówię, Szabla, zero delikatności!

- No przecież ja fakt tylko stwierdzam!

- Fakt to jest taki, że jesteś wyzuta z uczuć.

- Jaka? Wypluta?

- No jakby...

- No dobra, wyście mamy jedno. Kudłata, spróbuj załatwić jeszcze jedną wejściówką, ja pójdę z Szablą, Szabla podrzuci kukułcze jajo, a ja cię wesprę dodatkowo emocjonalnie - powiedział nieco rozbawiony całym zajściem Bizon.

- A ty umiesz wspierać emocjonalnie? - Kudłata zapytała podstępnie.

- A myślisz, że jak inaczej bym wytrwał z Szablą? - śmiał się dalej Bizon.

- O, i ty, Brutusie, przeciwko mnie?! - oburzyła się Szabla.

- Ja? Nigdy! Ja najwyżej naprzeciwko ciebie, a chętniej nad albo pod tobą...

- Marzenie ściętej głowy! - ofuknęła go Szabla już z uśmiechem na ustach.

Może to był dobry pomysł, żeby Bizon też szedł na wystawę. Wiadomo, że w grupie samych kobiet męczyzna łagodzi obyczaje. Babki, mimo że się przyjaźnią i kochają, raz na jakiś czas muszą sobie do gardeł skoczyć.

- Ale impreza jest jutro, jak ja załatwię wejściówki? Przecież nie będę do Obolałego dzwonić.

- No fakt, spoko, da się zrobić, trochę przepłacimy, ale czego się nie robi dla kraju. Załatwię to - zaoferował się szarmancko Bizon.

- Facet, a jednak czasem się przydaje - zaśmiała się Kudłata.

- Ty lepiej powiedz, co z tą kawą Kudłata? - zainteresowała się Szabla.

- Wiesz co, że nie wiem, kiedyś ją w domu widywałam, ale w sumie ostatnio prawie tu nie mieszkam i kawę pijam w pracy albo u Bazylia...

- A w lodówce coś masz?

- No. Yyyy, śmietankę. O, nie, już masło, hm... raczej ser...

- A fe, chyba pleśniowy!

- Hi, hi, możliwe...

- Żyjesz jak stary kawaler, kobieto! Lepiej wyciągaj te kiece, wybieramy, w której jutro pójdziesz. Chyba że też je masz w pracy albo u Bazylia, albo ci mole zeżarły, albo się rozpadły ze starości.

Szabla w swoim mniemaniu okazała wiele delikatności. W końcu ochrzaniła Kudłatą tylko za brak pożywienia i powyśmiewała za brak ciuchów, ale za to delikatnie pominęła fakt, że mieszkanie Kudłatej było zakurzone jak egipski sarkofag, a sama przyjaciółka wyglądała na zmęczoną, zabiedzoną i bladą. Bazylia

zauważyła ziemistą cerę i pozbawione blasku, szare włosy Kudłatej. Nawet Bizon spostrzegł, że dziewczyna wyglądała przerażająco nieatrakcyjnie w porównaniu z opaloną kanaryjskim słońcem, zarumienioną nową miłością Szablą. Bazylia nie byłaby sobą, jakby czegoś na to nie poradziła.

- Dobra, kochani, kiece sobie wybierajcie sami, bo ja muszę lecieć do pisklaków. Potem, Kudłata, idź spać, masz czas do dwudziestej, gdy młode uspię, wpadnij do mnie i robimy coś z tobą.

- A co ty chcesz robić? Ja nic nie potrzebuję - przeraziła się Kudłata, po czym dostrzegła wymowne spojrzenia całej trójki przyjaciół. Dopiero wtedy popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Nie przelotnie (czy umazałam się batonem?) tylko tak dokładnie się sobie przyjrzała i zbladła jeszcze bardziej.

- No dobra, Baza, będę u ciebie wieczorem, rób, co chcesz, ale coś zrób... - powiedziała zrezygnowana.

Bazylia uśmiechnęła się do niej promiennie.

- Nic się nie martwi, zrobię cię do jurta na takie bóstwo, że cię Obolały nie pozna!

No i jak można było nie lubić Bazylia? Kudłatej od razu zrobiło się lepiej na sercu.

Rozdział 48

Efekt dwudziestoczerogodzinnych Bazyliowych zabiegów na Kudłatej był olśniewający. Mama trzech małych zbójów dysponująca bardzo ograniczonym czasem na czynności związane z upiększaniem potrafiła dokonywać cudów w wyglądzie w kilka minut. Z Kopciuszka umiała wyczarować królową.

Bizon i Szabla ledwie poznali Kudłatą stojącą na schodach przed wejściem do Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Mieli wrażenie, że Baza towarzyszy jakiejś zagranicznej modelce ubranej w czarną sukienkę do kolan i buty na obcasie. Dziewczyna miała pięknie wyeksponowaną talię, lśniące, głęboko kasztanowe włosy zmierzwione w krótkie loki, nienaganny makijaż, przepiękną cerę. Była trochę blada, ale to nadawało jej tajemniczości rusałki i delikatności. Nawet Bizon, który preferował kobiety z krwi i kości, a nie żadne nimfy, był pod wrażeniem przemiany. Trochę przestraszyło go to, że kobiety tak doskonale potrafiły oszukać rzeczywistość. Wyobraził sobie, że podrywa taką rusałkę, a ta za tydzień zmienia się w Kudłatą sprzed dwóch dni. Brr! Bizon jak

każdy facet był wzrokowcem. Owszem, liczyły się dla niego ciepło, czułość, dobroć, intelekt i wszelkie inne wspaniałe damskie cechy, ale na pierwszy rzut oka po prostu nie było ich widać. A ten pierwszy rzut oka był dla mężczyzny decydujący. Łatwo więc było przeoczyć pełną zalet i skromną kobietę, bo można jej było w ogóle nie zauważyć.

- Kudłata, wyglądasz wow! - powiedziała Szabla, witając się nią.

- Matko kochana, stać w tych buciorach nie umiem, a co dopiero chodzić, i jeszcze tu się maźnęłam o coś... - zaczęła po swojemu zdenerwowana Kudłata, po czym przypomniała sobie zasadę Bazylia o przyjmowaniu komplementów. - A właściwie to dzięki... A gdzie macie jajo? Dostaliście wejściówki?

- Tak, tak, wszystko mamy, a jajco mam w torebce. Myślisz, że nie będzie problemu z podrzutem?

- Nie wiem, zobaczymy, wystawy Obolałego bywają bardzo dziwne, czasem wszystkie eksponaty są pod kloszami, czasem obrazki wiszą, zwykle nawet ładne, ale mazy takie, że nic nie rozumiem, a czasem nie wiadomo nawet, co jest eksponatem, a co nie. Na jednej wystawie myślałam, że ktoś krzeselko woźnej obciachał nożyczkami, bo stało takie niekompletne pod ścianą, a okazało się, że to jeden z polskich czołowych rzeźbiarzy wyrażał w ten sposób swoistość przenikania czasu czy coś takiego. Obolały mi potem długo tłumaczył, że jak powietrze przelatuje przez tę dziurę, to jest nowe,

a krzesło pozostaje stare i że ten czas oznacza przemijający stan rzeczy, i takie tam.

- Hm... To co, wchodzimy. Nie mamy wyboru.

Dziewczyny, chwiejąc się na obcasach, podreptały powoli po zielonym dywanie w górę schodów. Zauważyły, że wejście było przepięknie udekorowane połączanymi kwiatami, które zamiast pąków miały kolorowe kulki. Bizon dostrzegł coś zupełnie innego - kilka czarnych limuzyn stojących przed wejściem w obszarze zakazu parkowania i paru roślących facetów w czerni zupełnie niezainteresowanych wystawą. Poza tym zauważył kilka radiowozów policyjnych. „Ulala, jacyś ważni goście z ochroną?“, pomyślał.

- Ale tu dzisiaj poważnie i elegancko - powiedział i wskazał na limuzyny.

- Inauguracja wystawy, czasem tak jest, choć muszę przyznać, że Obolały nie zrobił chyba jeszcze niczego z taką pompą...

Większość gości była ubrana elegancko, rzadko przewijał się ktoś w spranych dżinsach albo kimonie na lewej stronie. Taką rymującą się nazwą Kudłata ochrzciła wymyślne stroje, w których też czasami chodził Obolały. Obserwując tłum, myślała, że trochę stęskniła się za atmosferą wieczornych wyjść. Jednak po chwili wystawa i ludzie wydali się jej sztuczni. Nawet ona sama czuła się jakaś nieprawdziwa. Zastanawiała się, czy dawniej też tak było, tylko ona tego nie zauważała.

Przyjaciele przeszli przez zielony dywan i znaleźli się w olbrzymim, pięknym holu ze wspaniałymi kolumnami

i rzeźbionym sufitem, goście witali się tu ze sobą, a elegancko ubrane panie rozdawały albumy z opisami eksponatów i planem zwiedzania. Bazylia i Bizon oddali płaszcze do szatni i wszyscy razem weszli do sali głównej, gdzie według albumu miała się mieścić główna atrakcja wystawy, czyli wielowymiarowe dzieło autorstwa Obolałego i kilku innych artystów zatytułowane *Kula życia - życie kuli*. Gdy weszli przez rzeźbione drewniane wrota, oniemieli. Bazylia skamieniała. Stali tak w czwórkę z pół minuty, aż inni elegancko ubrani goście zaczęli ich delikatnie przeproszać, gdyż tarasowali wejście do sali z największą atrakcją wystawy. Bizon jako pierwszy odzyskał rezon.

- Hm... interesujące - powiedział, tłumiąc nieudolnie wybuch śmiechu.

Dziewczyny nie wytrzymały, Szabla parsknęła śmiechem, dołączyła się Bazylia, a w końcu i Kudłata roześmiała się mimo wieloletniej praktyki w tłumieniu wybuchów radości. Dzieło było zaiste imponujące. Prezentowało sobą wypisz, wymaluj dokładnie taki plac zabaw, na jakim Obolały i Kudłata byli kilka miesięcy temu z Bazylią i jej dzieciakami.

- O, Kudłata, ja chciałam od zdziecinnienia odpocząć, a ty mi takie coś fundujesz na wieczór - ryczała ze śmiechu Bazylia. - Ja mam takie arcydzieła na co dzień, mogłam maluchy zabrać do dzidzioraju, a nie tu w szpilach paradować!

Wtedy dojrzeli Obolałego, sunął w ich stronę uśmiechnięty od ucha do ucha. Miał na sobie coś

pomiędzy białym szlafrokiem a nieco pogniecionym kimonem przewiązanym szerokim, krwistoczerwonym pasem. Strój robił z niewysokiego i dość szczupłego Obolałego coś na kształt cherlawego księdza.

- Tak, tak, brawo! - wołał, podchodząc do nich.

Kudłata, Bizon i Szabla zdążyli już trochę ochłonąć z wrażenia, za to Bazylija nie potrafiła się powstrzymać od śmiechu mimo mocnych kopniaków Kudłatej. Bizon próbował schować Bazę za sobą, ale to też nic nie dało, w cichej sali piskliwy śmiech dziewczyny rozchodził się natychmiastowo. Obolały, zignorowawszy Bizona, podszedł wprost do kulającej się ze śmiechu Bazylii.

- To jest kobieta, która rozumie sztukę! - krzyknął, a Bazylija dostała jeszcze większej głupawki. - To jest proszę państwa matka, matka rozumna i otwarta na odczuwanie, powiem nawet więcej, jest arsenałem empatii. Jej rolą, jej życiowym imperatywem jest odczytywanie emocji i ich przedstawianie. Cudownie, cudownie, tak właśnie należy odbierać to dzieło! To wspaniałe, że jego głębia dociera do prymitywnych umysłów rządzących się tylko potrzebą emanacji! To znaczy, że jest prawdziwe, rzeczywiste, jedyne, doskonałe jak kula! Ta kula! - zakrzyknął, wziął do ręki jedną z kulek leżących sobie spokojnie w kulkowym basenie i odwrócił się do zaproszonych fotoreporterów, którzy uważnie śledzili rozwój wydarzeń. Pozwolili sobie porobić kilka zdjęć Obolałego z kulą w wyciągniętej ku górze dłoni i na tle rozchichotanej Bazylii, którą szybko zakrył sobą Bizon niepewny, czy dziewczyna będzie zadowolona

z takiej reklamy, gdy już oprzytomnieje ze śmiechowej głupawki.

Po chwili dla fotoreporterów Obolały odwrócił się do Kudłatej, w tym czasie Bizon i Szabla odprowadzili rechoczącą Bazylię na stronę.

- Witam, moja droga, widzę, że jesteś pod wrażeniem, więc dam ci w spokoju kontemplować dzieło. Zjawię się później. A, i poproś koleżankę, żeby już nie wydawała takich jarmarcznych dźwięków, udało mi się uratować jej nieszczerólnie ciekawy *image*, ale to ostatni raz, kiedy się poświęcam. Dziś jest mój wieczór i tylko mój! Mogłaś się ubrać nieco stosowniej, o, jak Greta na przykład. No lecę, Greta! Ciao!

Ostatnie słowo Obolały wykrzyczał i popędził w stronę Greta tak szybko, że niemal potykał się o końce swojego przydługiego kimono-szlafroka.

Kudłata, chcąc nie chcąc, spojrzała na kobietę. Myślała, że poczuje ukłucie zazdrości, ale... tłumiąc kolejny wybuch śmiechu, postanowiła jak najszybciej zlokalizować przyjaciół. Jak się okazało, siedzieli w kącie i udawali, że Bazylii zrobiło się słabo z wrażenia, jakie zrobił na niej eksponat, a winowajczynie popiskiwała tylko cichutko, starając się zupełnie uspokoić.

- No i co? Powiedziałaś mu? - zapytała Szabla.

- A co miałam powiedzieć?

- No jak to co? Bazę obrażał!

- E, no co ty, nawet jakbym mu powiedziała, to nic by nie skapował, mówił tylko o sobie i Grecie.

- Jakiej Grecie?

Kudłata w tym momencie popełniła błąd kardynalny, osobie próbującej wyjść ze śmiechowej głupawki pokazała coś bardzo zabawnego. Osobistość o imieniu Greta. Jak to powiedział Bizon, w jego dzielni dwóch minut by nie wytrzymała, zaraz ktoś by jej perukę zerwał. Faktycznie, pierwsze co przyciągało wzrok w wyglądzie Grety, to był ogrom czarno-czerwonych, długich, poczochranych włosów. Następnie zauważało się buty, bo miały niebotyczne koturny, na których nogi wyglądały jak końskie kopyta, podeszwy dziwacznych obcasów były krwistoczerwone, co sugerowało nie byle jaką markę. Czarne, długie cholewy przypominały nogawki legginsów, były tak długie, że nie było widać, gdzie się kończyły, bo zakrywała je króciutka, czarna sukienka, która z tyłu prezentowała się w miarę zwyczajnie, za to z przodu miała dekolt w szpic do pępka. W dodatku Greta nie była młódką, której można wybaczyć takie fanaberie modowe, tylko niezłe zakonserwowaną panią w wieku pięćdziesiąt plus.

- I to jest twoja następczyni? - Bazylija nieudolnie próbowała powstrzymać następny wybuch śmiechu.

- Ano, Obolały leci i nadskakuje jej jak opętany, więc wszystko możliwe - powiedziała smętnie Kudłata.

Tego Baza już nie wytrzymała i przyjaciele musieli ją wyprowadzić na świeże powietrze. Szabla po drodze zwinęła z boczego stołu dwa kieliszki z szampanem przygotowane na późniejszą przemowę i toast. Jeden

kielon obaliła duszkiem Bazylia, drugi słusznie należał się Kudłatej. Potem Bizon ustalili:

- Wchodzimy z powrotem, Kudłata i Bazylia dokonują dywersji, wciągają w nią Obolałego. On rozkręci większe *show*, skieruje na siebie kamery i aparaty dziennikarzy. I o to chodzi, bo nikt nie może uchwycić momentu, kiedy my z Szablą wrzucamy jajo do basenu z kulkami. Gdy zwiejemy, ty, Kudłata, głośno i wyraźnie zachwycisz się pięknym, lśniącem przedmiotem leżącym pomiędzy piłkami i pochwalisz artystów za... no nie wiem, wymyśl coś, jak Obolały zapodaj, nauczyłaś się chyba przez te kilka lat. Powiedz coś o pięknie kuli z kurzego kupra czy jakoś tak...

- No ty już lepiej, Bizon, teorii sztuki nie wymyślaj! OK, poradzę sobie - powiedziała dziarsko Kudłata podbudowana odrobiną alkoholu i brakiem choćby odrobiny zazdrości o Gretę.

Brak choćby odrobiny zazdrości o Gretę zdziwił ją i nawet trochę zasmucił, myślała, że wciąż coś czuje do Obolałego, a tu... W sumie w Kudłatej zaczęły kiełkować zupełnie inne uczucia, powoli zauważała sztuczność, a nawet śmieszność wystawy i spotkanie z Obolałym zaczynało ją bardziej bawić niż stresować. Śmiała się też z dawnej siebie, ale nie szyderczo, tylko raczej oczyszczająco. Czowała się wolna, dziecinnie czysta. „Jeżeli ta wystawa tak na mnie zadziałała, to gratuluję artystom. Idea rewelacyjna”, pomyślała Kudłata, wzięła pod rękę już niemalże uspokojoną Bazylię i wróciły do muzeum.

Zajęcie uwagi Obolałego i dziennikarzy nie było wcale takie łatwe.

Obolały miał tysiąc obowiązków i biegał od fotoreporterów do Greta, od Greta do gości, zaczepiał każdego ubranego w dżinsy albo kimono, ponieważ musiał przywitać wszystkich artystów, i jeszcze nadskakiwał jakiejś ubranej w koc, wymalowanej babie z ogromnym kolorowym turbanem na głowie. Gdy już do nikogo się nie przymilał, to stał akurat tak niefortunnie, że wrzucenie jaja do basenu groziło niechybnie serią dokumentujących zdjęć, co z kolei zakończyłoby się trzema innymi fotkami na posterunku policji – profil lewy, prawy, przód.

Przyjaciele musieli więc czekać na odpowiedni moment, dlatego pozostali na wystawie jeszcze prawie godzinę, aż do inauguracyjnej przemowy Obolałego. Bizon i Szabla na zmianę stresowali się i nudzili jak mopsy. „Żeby się chociaż dali pobawić, jak na normalnych placach zabaw... A tu nic, stoisz na niewygodnych obcasach i patrzysz. Bez sensu”, myślała Szabla.

Za to Kudłata i Bazylija zaczęły się całkiem dobrze bawić. Bazylija głównie dlatego, że po raz pierwszy czuła się na wystawie prawdziwie zorientowanym koneserem, prawdopodobnie nikt z gości nie wiedział tyle, ile ona na temat tej formy sztuki. Kudłata dlatego, że nareszcie miała wszystko i wszystkich obecnych na nadmuchanym przyjęciu Obolałego w głębokim poważaniu i pierwszy raz w życiu nie czuła się od nikogo gorsza ani głupsza. Czuła się jak bohater filmu *Matrix*. Przejrzała na oczy, widziała

teraz każdą sztuczność, każdą bujdę, którą Obolały i jego poprzebierani przyjaciele próbowali jej wcisnąć. Ba, nawet przesunęła się na kolejny etap oświecenia – dla żartu sama zaczęła ściemniać, zmyślać, kreować, blefować i naprawdę dobrze się przy tym bawiła. Bawiła też coraz bardziej pijaną Bazylię.

- *Paris* na zakupy? O nie! – mówiła właśnie do bardzo wysokiej kobiety zrobionej od stóp do głów przez sztab specjalistów. Lalka przyszła z grubawym, niskim biznesmenem, który bez przerwy gadał do telefonu, głównie słowa niecenzuralne.

- *Non, non, Paris* jest *passé*, proszę pani, pani nawet o tym nie wspomina, bo miałam panią za kogoś lepsza klasa. New York może jeszcze, ale tam *vintage* dobry znaleźć to *limousine* na cały tydzień trzeba wynająć, a one mają zakurzone klimatyzacje, wiedziała pani? Tam z klimatyzacji wychodzą takie małe robaczki, te *worms*, i mogą wejść pod skórę, i potem je trzeba gonić, i igłą wyciągać! Na dodatek nigdy nie wiadomo, kiedy się wylęgną i pojawią! A pani na wernisażu na przykład albo na inauguracji wystawy... A kiedy pani ostatnio *limousine* jeździła? – Kudłata łączyła filmy science fiction z wiedzą lekarską i bujdą na resorach na całego. – Bo na zakupy jedynie Szanghaj, proszę pani, ale to nie w pora deszczowa, *non, non!* No i na *limousine* trzeba uważać, zawsze pytać o rok produkcji, żeby klimatyzacja nowa była! Bo w tych firmach takie samochody, że nawet trzy lata mają! *Oui!* Pani sobie wyobraża jeździć samochód, co trzy lata ma? A, *oui*, racja pani ma, że pewno z desek robione takie są, ja nie wiem, *non, non*, u mnie

w California nie ma takich już od trzech albo i czterech lat.

Bazylija, słuchając Kudłatej, tak prychała co chwila, że niemal szampan leciał jej nosem. Po kryjomu robiła komórką zdjęcia dla męża, żeby się pochwalić, na jakiej światowej wystawie była.

Wreszcie nadszedł czas przemówienia Obolałego. Dobrze się składało, bo podium było ustawione w odpowiednim kierunku. Patrząc na nie, wszyscy goście i fotoreporterzy byli ustawieni plecami do basenu z piłkami. Pozostawało tylko oślepić na chwilę Obolałego i trzech dziwacznie ubranych artystów stojących obok niego.

Obolały mówił długo i rzewnie, wreszcie dotarł do fragmentu najbardziej interesującego Kudłatą.

- I to moje dziecko, szczere, świeże, dobre, wypieszczone, ukochane nie powstałoby, gdyby nie jedna osoba, muza, która dała mu początek, ta, od której wszystko się zaczęło. Zawsze czułem, że jesteś przy mnie jak słońce kuliste za dnia, a księżyc krągły nocą, nawet gdy fizycznie cię nie było, czułem, że przekazywałaś mi swoje emocje, napełniałaś mnie siłą i mocą tworzenia. Podejdź tutaj, kochana... Greto!

- A to skunks! - wyrwało się Kudłatej, która zastygła z wymuszonym uśmiechem na ustach.

Bazylija, Szabla i Bizon spojrzeli ze strachem po sobie. Kudłata zabrała Bazylii kieliszek z szampanem, wypiała resztkę, która w nim była, szepnęła do Szabli: „Szykuj jajo”, i ruszyła do ataku.

I nim ustały oklaski na cześć Greta, już była w połowie drogi na podium. Wchodząc, porwała jeden z trzech mikrofonów, stanęła tak, żeby wszyscy – łącznie z Obolałym, Gretą, pozostałymi artystami i fotoreporterami – byli ustawieni plecami do basenu z piłkami, po czym teatralnie oparła się o filar, złapała za serce i przemówiła.

- Ach, jak ranisz, jak ranisz! I to ty, który zowiesz się ojcem dziecięcego piękna, czystości, miłości, dobroci i prawdy, ty, który wyrażasz swoje życie uczuciem, jedyną prawdziwą i nieśmiertelną pasją namiętności zaklętą w tworzeniu, ty... Jak możesz plugawić tak swoje życie, ach, nie tylko swoje życie, ale życia nas wszystkich! Przecież to ciebie słuchamy, ty jesteś naszym orędownikiem, przewodnikiem po świecie odczuwania, uwielbiana, pasji, namiętności, pożądania, a nawet, nie, nie boję się tego powiedzieć, miłości! I to tej prawdziwej miłości, wyższej, duchowej! Kim przeto jest artysta?! Ojcem dla nas, dzieci nieświadomości, zrodzonych z miłości, z dobroci. I czy godzi się, czy godzi, drodzy państwo, by nasz ojciec duchowy plugawił prawdę i okłamywał nas, nas wszystkich? Pani się godzi? A Pan? Jego jedno kłamstwo to oszczerstw tysiące, bo łgając mi, zwodzi nas, nas wszystkich, pluje na czystość dziecinnych serc naszych, brudzi nasze dłonie, ściera dziecięcy uśmiech z twarzy, zderza nas z fizycznym, brutalnym, bezwzględnym, bestialskim światem. Światem zdemoralizowanym, zezwierzęciałym. Zamykam oczy przeto na twoje dzieło, artysto, jest ono kłamstwem, takim samym jak twoje słowa miłości do mnie. Nie chcę

na nie patrzeć, nie widzę już nic i nie chcę widzieć, wolę pozostać ślepa do końca swoich dni niż spoglądać na twoje bestialstwo wobec nas, nas wszystkich! – Kudłata, pochlipując efektownie do mikrofonu, powoli schodziła z podwyższenia.

- I to jest kłamstwem! – pokazała na dekoracje ze złotych róż.

- I to! – wskazała na artystyczne instalacje.

- I nawet to! – zbliżyła się do basenu, wsunęła rękę między piłki i wyciągnęła połyskujące jajo Fabergé.

Wtedy stała się rzecz przedziwna.

Kudłata planowała, że wróci na scenę, wręczy Obolałemu jajco, a potem demonstracyjnie wyjdzie, ale stało się inaczej. Nagle z oszołomionej, zastygłej w oczekiwaniu publiczności wyskoczyła jakaś przedziwna, niezwykle zwinna postać. Odwinęła z turbanu szal, rzuciła go w górę, a potem zacisnęła, gdy wylądował na szyi Kudłatej. Jednocześnie znalazła się tuż za Kudłatą, wyrwała jej jajo z ręki i dźgnęła ją w bok jakimś przedmiotem. Twarda, zimna, nieprzyjazna rzecz nasuwała jedno skojarzenie. Tymczasem z każdego kąta wybiegali faceci w czerni, których Kudłata brała uprzednio za odwiedzających wystawę. Zdążyli wyprowadzić kilku gości zanim dziwna postać zakrzyczała:

- Nikt nie wychodzi, bo będę strzelać!

Faceci w czerni stanęli w rozkroku z bronią wycelowaną w tajemniczą kobietę.

- Policja! Na ziemię! - usłyszała Kudłata i próbowała wykonać rozkaz.

- Nie szarp się lepiej, kochanieńka, powolutku stąd wychodzimy - kobieta z bronią syknęła jej do ucha teatralnym szeptem.

- Stać! - wielki policjant zatarasował przejście uciekającej napastniczce.

Kudłata była tak oszołomiona, że ledwo trzymała się na nogach i nie poruszała się wcale. Ludzie wokoło padli plackiem na podłogę, więc dziewczyna czuła się trochę jak królowa, której poddani biją pokłony, choć w tej dramatycznej sytuacji to skojarzenie było co najmniej absurdalne. Kątem oka dostrzegła Obolałego pełznącego ze strachu w kierunku drzwi. Dostrzegła też kogoś z tyłu bardzo powoli skradającego się do niej i kobiety z bronią, ale nie mogła rozpoznać, kto to jest.

- Proszę państwa, proszę pozwolić mi spokojnie wyjść razem z tą miłą panią, a nikomu nie stanie się krzywda. Jestem pokojowo nastawiona, ale niebezpieczna i uzbrojona, jeżeli mnie nastroicie wojowniczo, nasze spotkanie może się skończyć wieloma ofiarami, a tego przecież nie chcecie, prawda? - powiedziała dziwna postać przymilnym głosem. Głosem, który Kudłata skądś znała. Nagle sobie przypomniała.

- Mopa?! - wypaliła. - To znaczy pani, pani...

- No widzisz, kochanieńka, nawet mojego nazwiska nie pamiętasz! I tak ma być, właśnie tak!

- Ależ, Arleto, co ty robisz! - odezwał się głos z końca sali.

- Ciocia Miodzia?

- Bazylia? No nareszcie wyszłaś do wielkiego świata, brawo!

Leżący na podłodze zaczęli powoli podnosić głowy niepomni niebezpieczeństwa, ponieważ zaciekawiała ich ta rodzinna wymiana zdań. Tylko Obolały nie zwracał na nic uwagi, nadal niestrudzenie pełznął w stronę drzwi, wplątując się co rusz w poły swojego szlafroka. Ciotka Miodzia podniosła się na kolana i otrzepywała spódnicę.

- Na ziemię! - krzyknął na nią rosły policjant stojący na środku sali, po czym zwrócił się do napastniczki: - A pani jest otoczona! Proszę uwolnić zakładniczkę, powoli położyć broń na podłodze, przesunąć ją w moim kierunku i stać z rękami w górze!

- Na żadną ziemię nie będę się kładła, młody człowieku, poza tym nie wypada, żeby młody mężczyzna podniesionym tonem odnosił się do damy! - skwitowała ciotka, twardo wstając z klęczek. - A ty, kochana - ciotka zwróciła się do kobiety z bronią - kończ już tę farsę, przecież nie jesteśmy jakimiś kryminalistami tylko oświeconymi damami, koneserkami sztuki! A ty, ty byłaś przecież kustoszem!

- Wielu już dla sztuki ginęło, nic się nie stanie, jeżeli zginie jeszcze jedna osoba. Jakiego to nada dramatyizmu mojej wystawie! - zawołała Mopa.

Miodzia zrobiła krok do przodu, wtedy rosły policjant zastąpił jej drogę.

- Niech pani pomyśli spokojnie, jeszcze nic się nie stało, może się pani wycofać! Proszę uwolnić zakładniczkę! - naciskał na napastniczkę inny policjant, który stał przy filarze.

- Ja myślałam już wielokrotnie, marzyłam o tym od lat, od lat, wreszcie moje marzenie się spełni! Mam cały plan na przyszłość przygotowany, nigdy mnie nie znajdziecie! Za to zapraszam na wystawy - Mediolan, Paryż, Madryt, Rzym! Zobaczycie, zobaczycie, ale jeżeli chcecie, żeby pani zakładniczka też zobaczyła, to się odsuńcie!

Sytuacja robiła się patowa.

Kudłata czuła się dziwnie. Nie знаła się na broni, nie była przyzwyczajona do tego, że ktoś ją straszy. Sytuacji, która jej się przytrafia, jej mózg nie potrafił zakwalifikować jako zagrożenia życia. Dlatego Kudłata mimo grożącego jej niebezpieczeństwa stała sobie spokojnie i powoli zaczynała się nudzić. Analizowała przebieg wieczoru. Całkiem nieźle uporała się z przeszłością i uczuciami do Obolałego, w dodatku wykonała ważne zadanie. Alkohol zaczął powoli wietrzeć z głowy Kudłatej i dziewczyna robiła się coraz bardziej znużona i senna.

Mopa tymczasem energicznie zacisnęła szal z turbanu na szyi Kudłatej, zimny kształt wbiła jej mocniej w bok i popchnęła zakładniczkę do przodu. Krok po kroku kobiety kierowały się w stronę drzwi.

- A teraz proszę o podstawienie limuzyny z kierowcą, przecież pani zakładniczka nie będzie podróżowała w niewygodzie! - zawołała Mopa, kiedy udało im się dojść do przedsionka.

- Musi pani poczekać na limuzynę, wejście jest zastawione wozami policyjnymi, musimy je przestawić, żeby umożliwić drogę wyjazdu, i dopiero wtedy możemy pani podstawić samochód - powiedział spokojnie policjant nadal stojący pod filarem.

- Trele-morele! Dawać samochód, natychmiast! - krzyknęła Mopa i rozzłoszczona pchnęła Kudłatą mocniej w stronę wyjścia.

Kiedy zataczały koło, bo Mopa szła, ocierając się plecami o ścianę, a zakładniczka dreptała posłusznie przed nią, coś rzuciło się na Kudłatą jak grom z jasnego nieba i zamknęło w ciemności. Dziewczyna nic nie widziała, bo została zakryta kocem, ale już po sekundzie czyjeś mocne ramiona chwyciły ją i odciągały na bok. Kudłata była gotowa na huk wystrzału, ale zamiast niego usłyszała krzyk funkcjonariusza „Stać!” i tupot ciężkich buciorów oraz kilka uwag w niezrozumiałym dla niej policyjnym języku. Kiedy z czyjąś pomocą wyswobodziła się z koca, zobaczyła najmiłszą twarz pod słońcem.

- Boski-Męski! - powiedziała rozanielona, czym wzbudziła śmiech pozostałych funkcjonariuszy. Zobaczyła też Mopę eskortowaną przez kilku policjantów do radiowozu. Przed wejściem do samochodu zatrzymał ich nagle jakiś szuszfolowaty mężczyzna. Chwycił za turban Mopy, zrobił jakieś czary-mary i wydobył z niego jajo

Fabergé oraz kilka dziwnie wyglądających przedmiotów przypominających ceramiczne jaja i pałki.

Kudłata odetchnęła. Wtuliła się w Boskiego-Męskiego i całkowicie po babsku rozryczała się, bo co też lepszego w tej sytuacji mogła zrobić.

Rozdział 49

Do Kudłatej została wezwana karetka. Mimo protestów dziewczyny ratownicy przebadali ją i odtransportowali do szpitala. Nie podobał im się poziom wyczerpania fizycznego i emocjonalnego koleżanki po fachu. Młoda lekarka była faktycznie zmęczona, nie miała nawet siły kłócić się z ratownikami, poddała się ich woli. Na szpitalnym łóżku zapadła w kamienny sen. Nie zbudziły jej sprzątaczkę o szóstej rano ani pielęgniarki pobierające krew o ósmej, ani nawet wizyta lekarska o dziewiątej. Zbudziła ją dopiero Bazylia około południa.

- No, kochana, rosółek przyniosłam!

Bazylią uważała, że każdego człowieka, który lądował w szpitalu, najszybciej uleczy to właśnie danie. Niezależnie od jednostki chorobowej zdiagnozowanej u pacjenta rosół się należał, bo naprawiał wszelkie zło - tę mądrość Baza przejęła od swojej babci, a ta od swojej babci, a ta od swojej i tak dalej... i absolutnie nikt nie miał prawa jej kwestionować. Toteż pierwsze co zrobiła po późnym powrocie do domu z pechowej wystawy, to

zabrała się za gotowanie rosółku dla Kudłatej. Spać i tak nie była w stanie po wieczornych emocjach, więc gotowanie wydało jej się najsensowniejszą czynnością.

- O mamó, ile spałam? - zapytała ledwie rozbudzona Kudłata.

- No z dwanaście godzin - pochwaliła koleżankę Bazylia, stawiając przed nią talerz z parującą zupą, którą udało jej się nawet podgrzać dzięki uprzejmości pielęgniarek.

- O rany, tyle nie spałam od... Nie pamiętam nawet od kiedy... Mmm... Cudnie pachnie, dziwnie co prawda jeść rosółek na śniadanie, ale w sumie... Ostatnio tak rzadko jadłam coś ciepłego i domowego, więc może być i na śniadanie - uśmiechnęła się.

Czuła się fantastycznie. Wyspała się, wypoczęła, opuścił ją stres związany z ostatnimi wydarzeniami i jeszcze raczyła się najlepszym daniem świata. Było jej dobrze i nie chciała o niczym myśleć. Za to Bazylia rozmyślała aż za dużo.

- No dobra, ty jedz, a ja będę mówić, bo już dłużej nie wytrzymam. A ty, biedulo, pewnie nie wiesz nawet, co się stało.

- Uhm - wymruczała Kudłata, siorbiąc ze smakiem.

- Zatrzymali Szablę i Bizona, no i Mopę, ale to już wiesz. Ona chyba jest jakąś międzynarodową terrorystką! Przyznała się do zabójstwa Diunskiego! Nie bardzo całą tę sprawę rozumiem. Wiem tylko tyle, ile mi powiedziała

zaspana Szabla, kiedy przed godziną wypuścili ją z komisariatu.

- Ale dlaczego Szablę zatrzymali? I Bizona?

- A bo w ogóle te nasze matactwa były o tyłek rozbić! Aleśmy sobie umyślili, Fabergé do kulek wpychać i myśleć, że nikt nie zauważy. A Boski-Męski i ten jego prokurator wszystko mieli na oku, a na muszce Mopę, a Mopa ciebie.

- A dlaczego mieli Mopę?

- W sumie nie wiem... Musisz Boskiego-Męskiego zapytać, na pewno ci powie, bo Szabla mówiła, że jej i Bizonowi nie chciał nic powiedzieć, tylko domagał się wyjaśnień w sprawie jajca. No i opowiedzieli mu wszystko jak na spowiedzi, nie mieli wyjścia, a kiedy ich wersje pokryły się nawet w szczegółach, to inspektor ich wypuścił, choć Bizona dręczył nieco dłużej. Szczęśliwie Mopa przyznała się do zabicia Diunskiego, więc chyba już was wszystkich Boski-Męski z podejrzeń oczyścił. No może wystosować zarzut bezczeszczenia jaja Fabergé przez ukrycie go wśród kulek na niewartej funta kłaków wystawie. Ale podobno obiecał Szabli, że jakoś postara się ich sprawę załagodzić, w końcu powinien, bo ona i Bizon działali dla dobra kraju. Chyba teraz nam zabiorą to Fabergé, jak myślisz?

- Mmm... - mlaskała Kudłata. - Nie wiem, nie znam się na tym. Ale jak ta Mopa zaciukała Diunskiego?

- No nie wiem, wiem tylko, że na wystawie miała ukryty w turbanie japoński sztylet, który wyglądał jak ceramiczna pałka. Dobrze, że ten prokurator, który ją

aresztował, znalazł się na starożytnej japońskiej broni, bo rozpoznał to paskudztwo. Przeszukał Mopę i zabrał jej niebezpieczne narzędzia. A w ogóle to on i Boski-Męski wymyślili, jak ciebie uwolnić z rąk tej wariatki.

- To oni byli?

- A co myślałaś?

- No wiesz co, nie posądzaj mnie o myślenie w takiej chwili!

- No oni, oni, skoczyli na was z filarów z płachtą z czegoś takiego... koralu czy kevlaru. W każdym razie z takiego mocnego tworzywa, które cię miało uchronić przed ewentualnymi obrażeniami.

- Przecież miała mnie na muszce!

- Co ty, ona żadnego pistoletu nie miała, przecież przez bramki by nie przeszła, bo piszczałyby. Straszyla cię ceramicznym sztyletem czy czymś takim. Dowiedziałam się, że są w Japonii sztuki walki oparte na takich dziwnych szpikulcach. Mopa mogła cię nieźle uszkodzić. Ja myślę, że takim sztyletem załatwiła Diunskiego w autobusie.

- Właściwie to dlaczego go załatwiła?

- Tego to nie wiem. Szabla zrozumiała tyle, że Mopa prowadziła z Diunskim jakieś szemrane interesy. Ona dawniej była kustoszem w muzeum i zna się na sztuce. To już mi ciotka opowiadała, zresztą bardzo wzburzona, bo też ją na komisariacie policjanci przetrzymali. Diunski chyba chciał się wycofać z interesu, bo te były i przyszłe deptały mu po piętach, policja też już sporo wiedziała

i bał się, że wpadnie, a Mopa pewnie się bała, że on ją pograży.

- Ale żeś nawymyślała, takie historie się nie zdarzają
- Kudłata siorbnęła ostatnią łyżkę rosołu i poczuła, że żyje. Poprzedni wieczór wydawał jej się zupełnie nierzeczywisty.

Przyjaciółki usłyszały pukanie i zobaczyły głowę inspektora Boskiego-Męskiego w drzwiach sali.

- Mogę?

- No jasne! - rozpromieniła się Kudłata, zanim jeszcze uzmysłowiła sobie, że zasnęła bez zmycia makijażu i wyszorowania zębów, a po obudzeniu nie nadrobiła zaległości w toalecie, tylko pożarła talerz tłustego rosołu.

- Jak się czujesz dzisiaj?

- Dobrze, naprawdę - powiedziała, widząc jak spogląda na nią z troską. Uświadomiła sobie, że faktycznie musi wyglądać nie najlepiej.

- Cieszę się, naprawdę, nie chciałem, żeby... aż do tego doszło... Ale nie można było inaczej. To może ja pójdę do lekarza i porozmawiam, żebyś miała czas na... No, te, takie kobiece.

I wyszedł w popłochu z sali. Bazylia zachichotała.

- O mamó, aż tak źle wyglądam? - zapytała ze strachem Kudłata.

- Hi, hi, najlepiej to nie jest, ale rumieńce już ci wyszły, oko zaraz ci zmyjemy i będziesz jak nowo

narodzona.

Kilka minut później Kudłata obejrzała się w lustrze szpitalnej łazienki i pękała ze śmiechu. Pod oczami miała zacieki od tuszu i łez, szminka rozmazała się jej wokół ust, puder z policzków zszedł na brodę i w połączeniu z tłuszczem z rosołu stworzył klejącą maź, nic dziwnego, że Boski-Męski uciekł w popłochu. Kudłata zmyła wszelkie pozostałości poprzedniego dnia, biorąc długi prysznic. Skorzystała z przyniesionych przez przewidującą Bazylię kosmetyków niezbędnych do życia każdej kobiecie. Specyfików było sporo, no bo przecież szampon jest do włosów, żel do ciała, po szamponie należy nałożyć odżywkę, żeby się potem włosy dało rozczesać, na żel pilling, żeby być gładką i piękną, no i balsam, ale jeden jest do ud, inny na cellulit, inny nawilżający, a jeszcze inny do biustu i na pośladki, inny na ujędrnienie i gładkość, potem krem do stóp, masło do ciała, krem do twarzy i pod oczy, koniecznie podkład pod makijaż, fluid, puder, róż, tusz, cienie do powiek, szminka do ust, bronzery, mgiełka, nabłyszczacz, perfumy... Zaledwie w dwie godziny Kudłata była gotowa.

Lekarz prowadzący pod wpływem nalegań pacjentki zgodził się na opuszczenie przez nią szpitala. Niestety nie było jej dane wrócić do domu. Inspektor musiał zgodnie z procedurami zabrać ją na komisariat i przesłuchać, za to obiecał, że w ramach rekompensaty zabierze ją następnego wieczoru na wyśmienitą kolację do najlepszej knajpki w mieście.

Przesłuchanie było bardzo oficjalne, odbyło się w obecności szuszfelowatego faceta, który razem

z Boskim-Męskim uwolnił Kudłatą z rąk Mopy. Inspektor zadawał pytania, Kudłata odpowiadała, nie mogli porozmawiać normalnie. No ale tak to chyba musiało wyglądać. Inspektor uśmiechał się do dziewczyny przyjaźnie, kiedy mały, szuszfolowaty nie patrzył. „Dobre i to”, pomyślała Kudłata.

Rozdział 50

Kolacja Kudłatej z Boskim-Męskim okazała się tak wyśmienita, że przeciągnęła się do śniadania następnego dnia, a potem były kolejne kolacje i kolejne śniadania, które szybko stały się rytuałem. Boski-Męski wpadał tylko do domu nakarmić kota i wracał od razu do Kudłatej. Dzięki miłości dziewczyna zachowała na stałe zdrowe barwy policzków (takie jak po Bazyliowym rosołku), a nawet te policzki zaokrągliły się nieco.

Przyjaciołom udało się spotkać dopiero po tygodniu od feralnej wystawy, choć nie mogli się doczekać, by podzielić się informacjami. Wreszcie przyszli w gości do Bazylii na spaghetti po bolońsku ze świeżą bazylią, a jakże. Kiedy mlaskania już ustały, zebrani przy stole zażądali od Kudłatej gruntownych wyjaśnień w sprawie śledztwa.

- No i co, to faktycznie Mopa zaciukała Diunskiego? - nie wytrzymała Szabla.

- A tak, ona, jakimś sztyletem sai. To taka japońska broń, no taki ostry, powykręcany widelec. W ogóle to się

okazało, że wiele lat przemieszkała w Japonii, potem była kustoszem w polskim muzeum. Pasjonowała się starymi rzeczami, zwłaszcza bronią. W czasie przeszukania jej mieszkania odnaleziono niezłe cacka, głównie japońskie właśnie, stare, oryginalne. A Diunskiego podobno zaciukała nie byle jakim sztyletem, tylko jakimś rzeźbionym cudem. Do akcji w muzeum specjalnie kupiła cały zestaw broni ceramicznej, miała jej przy sobie tyle, jakby się do wojny szykowała.

- Trzeba przyznać, że tym turbanem niezłe zamiotła.

- Zna sztukę walki typu aikido z tanto, takim nożem. Boski-Męski - tu Kudłata nabrała wyraźnych rumieńców - mówił, że ten jego prokuratorzek Columbo zna się na tym i od razu stwierdził, że nie ma sensu do Mopy podchodzić, bo aikido to sztuka uników, a jeśli kobieta umie tak atakować, to uniki ma w jednym palcu, więc może zdążyć mi coś zrobić. Postanowili ją zaatakować, ale z zaskoczenia. Columbo wymyślił, że skoczą na Mopę z góry i natychmiast odseparują ją od ofiary, znaczy się mnie - powiedziała dumnie. - Resztę już widzieliście. Ten starszy policjant zagadywał, bo czekał na żagiel z kevlaru. Chcieli mnie osłonić, bo nie byli pewni, jaką Mopa ma broń, podejrzewali nóż, ale nie było wiadomo na pewno. W ogóle to sobie w necie obejrzałam filmiki z tego aikido, kiedy patrzy się na ruchy wojowników, to można pomyśleć, że oni wręcz tańczą, aikido wygląda przepięknie...

- No, przepięknie, zaiste, mogła cię zabić, kobieto! - mruknęła Antonina.

- No tak, ale grację, z jaką by to zrobiła, trzeba docenić - upierała się Kudłata.

- Dobra, a dlaczego ona tego Diunskiego zadźgała?

- No to już jest tajemnica śledztwa.

- Oj, nie gadaj, że nie wyciągnęłaś tej informacji z Boskiego-Męskiego, miałaś cały tydzień!

- A więc znów byłam na przeszpiegach? - oburzyła się Kudłata.

- Taką miałyśmy nadzieję - odparła bezpardonowo Szabla. - Bo niby co tak długo z Boskim-Męskim porabiałaś?

- Hi, hi, no jasne, że tylko i wyłącznie zgłębiałam arkana śledztwa, dniami i nocami - zaśmiała się Kudłata.

- No to mów, mów! - ponaglała Bazylia.

- Faktycznie było tak, że Diunski ze swoich podróży przywoził różne legalne i mniej legalne cacka, a Mopa znajdowała na nie nabywców. Sporo też zostawiała dla siebie. Podobno w mieszkaniu miała niezłą kolekcję, w ogóle chyba oszalała na punkcie gromadzenia dzieł sztuki, jajo też chciała, ale Diunski jej nie dał, nikomu nie dał, miało być jego zabezpieczeniem na przyszłość. Kiedy zaczęło się robić gorąco, bo policja skumała, że jego działalność jest nie do końca legalna, pojechał na Kanary i ukrył jajo. Wtedy też zaczęły go nachodzić Pinda-Lafirynda i obie były żony, którym zdaje się sporo naobiecował, a one straciły cierpliwość.

- I wszyscy razem go tak ukatrupili tego samego dnia?

- Tak. Byłe żony przydybały go, bo był pierwszy dzień w Polsce po miesiącu nieobecności. Mopa zaatakowała z rozmysłem, bo się bała, że ją wyda. Śledziła go, widziała, jak byłe żony próbowały zaciukać Diunskiego, i chciała na nie zrzucić odpowiedzialność za morderstwo. No a Pinda-Lafirynda z głupoty, przypadkiem wpadła na siedzącego nocą w parku i skorzystała z okazji, bo dość już miała narzeczonego krętacza.

- No, tak trochę ją rozumiem... No co? - wszyscy spojrzeli na Szablę z niedowierzaniem, a Bizon z odrobiną strachu.

- A dlaczego Mopa przyczepiła się do ciebie, Kudłata? W sumie wszystkie kobiety Diunskiego przyczepiły się do ciebie, a ty akurat tutaj najmniej winna.

- Nie wiesz, że niewinnemu dostaje się zawsze najbardziej? Prawdopodobnie Mopa widziała, jak usilnie reanimowałam Diunskiego, i może myślała, że go przeszukałam i jakąś wskazówkę znalazłam. Potem widziała kręcących się wokół mnie Pindę-Lafiryndę i kilku policjantów, co potwierdziło jej przypuszczenia. Była pewna, że coś wiem.

- No i całkowicie w sumie przypadkiem miała rację, a wszystko przeze mnie, przepraszam... Naprawdę trzeba było to zgniłe jajco podrzucić muzeum w Hiszpanii i tyle... - Szabla miała minę kota ze *Shreka*.

- Oj tam, nic mi nie jest. Dzięki temu całemu zamieszaniu morderczyni została pojmana, a jajko trafiło do polskiego muzeum, no przynajmniej tymczasowo, nim wyjaśni się jego sytuacja prawna.

- To jaja też mają sytuacje prawne? - zapytała Bazylia.

- Takie jaja mają - stwierdziła Antonina.

- Jedno mnie jeszcze intryguje. W jaki sposób ten Diunski rzekomo w stanie nieżywym przetransportował się z autobusu, w którym posadziły go żony i dobiła Mopa, aż na trzepak w twoim osiedlowym parku?

- A widzisz, na to pytanie nawet Boski-Męski nie zna odpowiedzi, Mopa zapierała się, że nigdzie go nie transportowała. Z autobusu Diunskiego wysadził kierowca, gdy skończył trasę, i nawet zadzwonił po karetkę, bo pasażer był niekumaty i podejrzewał że ranny, ale kiedy pogotowie przyjechało, już gościa nie było.

- Ciekawe...

- A teraz najważniejsze pytanie, co z tobą i Boskim-Męskim? - zapytała ciekawa Bazylia.

- A to już zupełnie inna historia.

Kudłata zaczęła długą „opowieść o nowym facecie” (tak umieją tylko kobiety) ze wszelkimi szczegółami, z rozważaniem każdego słowa, gestu, mimiki twarzy, intonacji. W połowie opowieści Bizon chrapał już smacznie na kanapie razem z tłustym labradorem Ciapą, a dziewczyny swobodnie gadały prawie do rana, a przyjemniej do nocnego mleka najmłodszej Bazyliowej latorośli.

Rozdział 51

Złapał pierwszy przymrozek.

Kudłata nie cierpiała przymrozków. Czuła się oszukana przez pogodę. Najpierw lato, pięknie, ciepło, a tu nagle łups! Niemiła, oblodzona niespodzianka. Tego dnia też tak było, ledwo Kudłata wyszła z bloku, jej mała stopa w eleganckim buciku na obcasie poślizgnęła się i dziewczyna rymsnęła na ziemię. Normalnie zaczęłaby przeklinać tę ewidentnie zawziętą na nią aurę, ale tym razem uśmiechnęła się do uciekającego zajaca, otrzepała biało-zielony tyłek i pomaszerowała dalej przez park na przystanek. Przyczyną dobrego humoru Kudłatej był Boski-Męski, który brał właśnie prysznic w jej łazience.

„Ach, jak dobrze może dobry mężczyzna wpłynąć na kobietę! Przy dobrym mężczyźnie kobieta emanuje energią życiową w takiej ilości, że może góry przenosić i nic jej nie jest straszne”, myślała Kudłata w miłosnej euforii. Niezrażona przeciwnościami pogodowymi szarżowała dalej przez park, bo oczywiście była spóźniona do pracy. Jak zawsze mimochodem spojrzała

na feralny trzepak, mimo że od kilku miesięcy żaden trup na nim nie zwisał.

A tu masz ci los! Trup był! Wisiał na trzepaku dokładnie w takiej pozycji jak poprzedni. Najpierw Kudłata pomyślała, że ma omamy i wyobraźnia podsunęła jej obraz poprzedniego trupa. Zamknęła oczy, otworzyła, ale niestety trup nie zniknął, nadal wisiał.

„Jak pech to pech. No teraz to już na pewno Boski-Męski nie uwierzy, że tego faceta też nie ukatrupiłam”, pomyślała, po czym z rezygnacją podreptała w kierunku miejsca zbrodni. Była zła na trupa, trzepak i cały park.

- Tylko nie myśl, że i ciebie będę reanimować - mruknęła niezadowolona, podchodząc.

Pochyliła się, chcąc sprawdzić czy delikwent oddycha i czy ma na czole dziurę wlotową od kuli. Była przekonana, że skoro zwłoki wiszą w tej samej pozycji, co poprzednie, to niechybnie mają te same uszkodzenia.

I wtedy Kudłata rozpoznała trupa! Właściwie wcale jej się to nie wydawało dziwne, już do tradycji weszło, że denat na trzepaku powinien być jej znajomym.

- Pan Kramik? - powiedziała smutno.

- O, dzień dobry, pani doktor, z nieba mi pani spada! - Trup przemówił, co zdziwiło i bardzo ucieszyło Kudłatą.

- O, witam, jak się cieszę, że... pan... no, że pan tu jest, coś się stało?

- Ano, źle się oddycha dzisiaj - usłyszała w odpowiedzi.

Faktycznie pan Kramik wyglądał niezbyt dobrze, mówił przerywanymi zdaniami, z trudem nabierał powietrza, usta miał sine, białe ręce drżały, klatka piersiowa unosiła się z trudem przy każdym wdechu, nawet bez stetoskopu można było usłyszeć świsty i furczenia nad płucami.

- Już dobrze, dzwonię po kolegów, zaraz pana zabierzemy do szpitala - mówiła, wykręcając numer szpitalnej izby przyjęć. Wytłumaczyła kolegom co i jak. Chłopaki pożartowali sobie, że chce podwózki do pracy, ale obiecali, że będą za dziesięć minut. Kudłata została z panem Kramikiem.

- A może usiądzie pan na ławce, będzie wygodniej niż na tym trzepaku.

- A nie, sama mnie pani uczyła: jak dusi, pochylić się do przodu, żeby dodatkowe mięśnie klatki piersiowej uaktywnić.

- Tak, tak, ale niekoniecznie na trzepaku, na ławce też można, a będzie panu wygodniej.

- O nie, ja wierzę w trzepak, na trzepaku najlepiej. Kiedyś spotkałem takiego jednego, co już nawet nie dychał tak jak ja, tylko wcale nie dychał... - tu pan Kramik musiał zrobić przerwę i wyrównać oddech. - Chyba napruty był jak stodoła, więc ja go łups! na ten trzepak i tak sobie wisiał, i przychodzę za godzinę... - tu nastąpiła kolejna wymuszona przez duszności przerwa w opowieści - ...i już go nie było. No może dwie godziny minęły, bo ja też butelczynę napoju zdążyłem obalić. Ale

trzepak pomógł, a myślałem już, że się chłopina nie wylize.

- A kiedy to było?

- A dawno już, zima była, mróz trzaskający.

- No, ale historia! - powiedziała Kudłata. Nie wyjaśniała swojemu ulubionemu pacjentowi, że delikwent nie zszedł z trzepaka o własnych siłach. W leczeniu podstawa to wiara, być może trzepak uzdrowi pana Kramika, w końcu placebo też działa leczniczo.

Rozdział 52

- Halo, Baza? - Kudłata nie wytrzymała i zadzwoniła do Bazylia, zaraz gdy zeszła ze swojej zmiany w szpitalu.

- Halo, Kudłata?

- Chcesz wiedzieć, jak trup dostał się na trzepak?

- Zawsze!

I Kudłata opowiedziała ze szczegółami historię pana Kramika.

- Ale jaja!

- O, nie, nie, tylko mnie już w żadne jaja nie wplątujcie. Słyszałam, że Bizon jeszcze się tłumaczy z Fabergé i to przed władzami najwyższymi.

- Dzisiaj szedł do sądu, ale Antonina, twój Boski-Męski i ten Columbo coś tam działali i ma dostać tylko pouczenie.

- A ona serio wyjeżdża?

- Antonina? No wyjeżdża, za dwa miesiące, już ma bilet na samolot, musimy jej bibę pożegnalną wyprawić.

- Koniecznie!

- U mnie, co? Zobacz, jak ci pasują weekendy z tymi dyżurami twoimi. To co kupujemy?

- Tort jakiś tłusty? Czekoladowy, taki z kremem! I może te takie małe ostre papryczki albo nie, śledzika w śmietanie, mniam!

- Yyyy, no dobra, też może być, a alkohol jakiś? Może te piña colady zrobimy?

- E, mi i tak wszystko jedno.

- Co?

- Yyyy...

- O, no nie mów!

- Mówię... Ale ty jeszcze nikomu nie mów...

- Ale cudownie! Dam ci całą górę takich małych, tycich, tyciutkich ubranek i grzechoteczki, i karuzelkę, i taki bujaczek prawie nieużywany, i...

I tak się zaczęła kolejna babska opowieść, przygoda największa i najciekawsza ze wszystkich w życiu.

Trup na trzepaku

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-267-1

© Konstancja Nowicka i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Izabela Sieranc

KOREKTA: Elżbieta Zasempa

OKŁADKA: Magdalena Zawadzka

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: © Shevchenkon

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

